

SIECI

PREZES IPN:

**PRZECHODZIMY
DO OFENSYWY**

**ŁOSIEWICZ:
OMICRON – OSTATNIA
BITWA PANDEMII?**

**BUDZISZ:
WOJENNE
SCENARIUSZE**

**ROKITA:
CZY TUSK POŁKNIE
LEWICĘ I HOŁOWNIĘ**

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 4 (478) 2022
24–30 stycznia 2022

CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

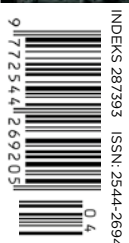
SIECI

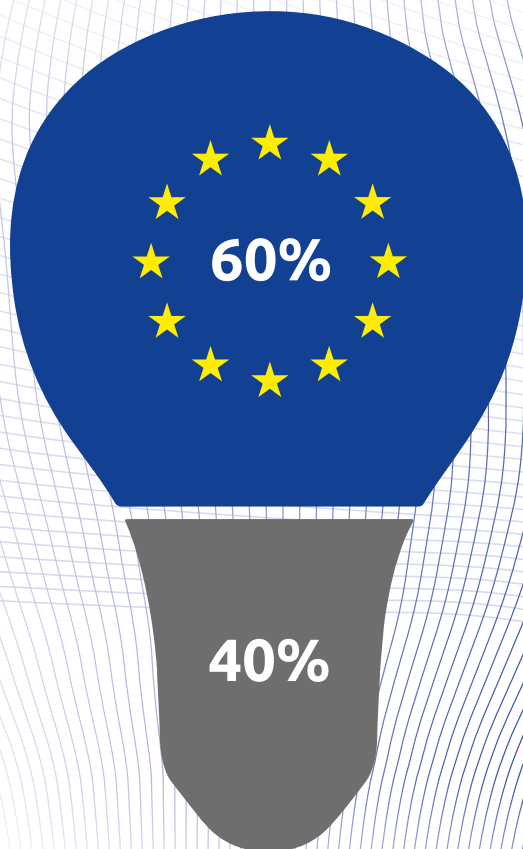
**TA „AFERA”
JEST DUŻO
BARDZIEJ
DĘTA, NIŻ SIĘ
KOMUKOLWIEK
WYDAJE.
CHODZI O OBRONĘ
KILKU OSÓB, KTÓRE
MAJĄ PROBLEMY
Z PRAWEM**

TYLKO U NAS

OPOZYCJI

KŁAMSTWA O PEGASUSIE





**Opłata klimatyczna Unii Europejskiej
to aż 60% kosztów produkcji energii**

**POLITYKA KLIMATYCZNA UE = DROGA ENERGIA
WYSOKIE CENY**

Ukraińska lekcja

Podczas każdej z moich dość licznych w sumie wizyt na Ukrainie oraz spotkań z tamtejszymi politykami i dziennikarzami zawsze uderzało mnie pewne wielkie złudzenie, któremu w Kijowie w pełni ulegano. Otóż bez względu na różnice cały prozachodni obóz polityczny mocno orientował się na Niemcy. Bez wątpliwości. To tam, w Berlinie, nie tylko miała świecić latarnia wskazująca Ukrainie drogę na Zachód. Tam też miał się znajdować gwarant jej bezpieczeństwa.

Nieśmiało podnoszone przestrogi Polaków, by jednak uważać z tak bezwarunkową ufnością wobec Niemców, przyjmowano z poczuciem specyficznej wyższości. Odnosiłem wrażenie, że gospodarze uważają, iż Polacy po prostu im zazdroszczą, bo w relacjach Warszawy z Berlinem, zwłaszcza za rządów Zjednoczonej Prawicy, stale zgrzytało. Nie rozumieli, że te napięcia to wynik zrozumięcia przez część polskich elit, o co naprawdę i w jaki sposób gra europejski hegemon.

Dziś ton prasy ukraińskiej jest całkowicie odmienny. Oto na stronie „The Kyiv Independent” czytam bardzo ciekawy, ale i gorzki w wymowie tekst Igora Kossova. Publicysta precyzyjnie opisuje postawę Niemiec wobec kwestii bezpieczeństwa Ukrainy. Ocenia, że za wszelką cenę hamują one zastosowanie przez wspólnotę międzynarodową ostrzejszych środków w celu powstrzymania Rosji. Kossov cytuje ekspertów, którzy nazywają niemiecką postawę „odrzuconiem rzeczywistości”. Po polsku powiedzielibyśmy wprost: udają idiotę.

Nie jest to tylko wrażenie publicysty. Rosjanie na serio się przestraszyli możliwości odłączenia od międzynarodowego systemu bankowego

SWIFT. Widać to było w tonie mediów rosyjskich. Byłaby to dla tamtejszej gospodarki całkowita katastrofa, paraliż wszelkich transferów finansowych ze światem, cios w elitę władzy. Ale natychmiast niemiecki ekonomiczny dziennik „Handelsblatt” pospieszył z zapewnieniem, że niemieckie elity polityczne i gospodarcze takiej opcji nie przewidują. Zdaniem gazety rząd niemiecki nie życzy sobie nawet jakiegokolwiek rozmowy na ten temat.

Tę samą strategię uników stosują w kwestii przyszłości gazociągu Nord Stream 2 („Rurociąg nie powinien być wciągany w ten konflikt”). Niemcy, potężny eksporter broni, są także konsekwentnie przeciwne dostawom uzbrojenia na Ukrainę. Narzędzia wcale nie wojenne, wymagające tylko podjęcia minimalnego ryzyka, a jednocześnie mogące uratować Ukrainę, są odrzucane. Zamiast tego nowa szefowa niemieckiego MSZ po rozmowach w Moskwie stwierdza: „Widzimy ogromny potencjał do współpracy w wielu sprawach”.

Oto słynna solidarność europejska. Jeśli to robią narodom Europy Środkowo-Wschodniej teraz, to co zrobią z nimi, gdy już zbudują swoją „federację”, tę nową IV Rzeszę, gdy mniejsze państwa narodowe zostaną pozbawione atrybutów suwerenności? Przechandlują z Moskwą, jak przechandlowali Ukraińców? Bardzo możliwe.

Musimy to zapamiętać. Są w Polsce politycy, którzy przyszłość naszej ojczyzny widzą właśnie pod niemieckim protektoratem, kłamliwie ludząc Polaków „świętym spokojem” i „pełnym bezpieczeństwem” uzyskanym w momencie podporządkowania się Berlinowi.

To kłamstwo – nie będzie ani jednego, ani drugiego. Będą tylko koszty i handlowanie wpływami w Polsce z Moskwą. To cel, który pozostaje niestety stałym elementem polityki niemieckiej. Dlatego tak dużo wysiłku wkładają w odzyskanie pełnej kontroli nad Wisłą, dlatego organizują tak silny propagandowy ostrzał obozu pro-polskiego, dlatego kilka miesięcy temu przysłali tu swoje zasoby kadrowe.

Michał Karnowski





26 **Oblężenie PiS** *Stanisław Janicki*



42 **Klimat absurdu** *Konrad Kołodziejewski*



54 **Rewolucja antropologiczna** *Grzegorz Górny*

NA POCZĄTEK

- 6** **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** **PAŃSTWO TEORETYCZNE**
Krzysztof Feusette
- 9** **W DOMOWYM ARESZCIE**
Dorota Łosiewicz
- 10** **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejewski
- 12** **DANSE MACABRE NA RURZE NS2**
Jan Pietrzak
- 12** **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13** **CO NAM GROZI**
Bronisław Wildstein
- 14** **WALIZKA ANDRZEJA RAFAŁA POTOCKIEGO**
Michał Korsun
- 16** **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17** **SZTUKA NA ULICACH MIAST**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18** **EUROPA NA WOLNYM OGNIU GOTOWANA**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20** **MITY O PEGASUSIE**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 26** **OBLĘŻENIE PIS**
Stanisław Janicki
- 29** **SPÓR O LISTY**
Jan Rokita
- 32** **Z DR. KAROLEM NAWROCKIM**
rozmawiają Michał Karnowski, Andrzej Rafał Potocki i Marcin Wikło
- 37** **COVID ZOSTAJE Z NAMI**
Dorota Łosiewicz
- 40** **ATAK INFORMACYJNY NA POLSKIE WOJSKO**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 42** **KLIMAT ABSURDU**
Konrad Kołodziejewski
- 46** **Z WOJCIECHEM KACZMARCZYKIEM**
rozmawia Marcin Wikło

ŚWIAT

- 48** **WSZYSCY PRZECIWKO JEDNEMU**
Aleksandra Rybińska
- 51** **JEŚLI ROSJA ZAATAKUJE UKRAINĘ**
Marek Budzisz

OPINIE

- 54** **REWOLUCJA ANTROPOLOGICZNA**
Grzegorz Górny
- 57** **TOŻSAMOŚĆ KONSTITUCYJNA**
Bronisław Wildstein

- 62** **Z GIUSEPPEM ADAMO**
rozmawia Goran Andrijanić

HISTORIA

- 64** **ANTONI JEZIORAŃSKI – ZAPOMNIANY GENERAL 1863 r.**
Artur Jagieła

SIECI KULTURY

- 67** **OD KOMEDII PO HORROR**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 69** **MORDERCY I KONESERZY**
Stanisław Janicki
- 70** **PAMIĘĆ W NOWYCH PRZESTRZENIACH**
Wojciech Łada
- 72** **WIELKA KSIĘGA MANIPULACJI**
Robert Tekieli
- 73** **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 74** **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

- 76** **Z KAROLEM POGORZELSKIM**
rozmawia Stanisław Koczot
- 78** **Z PRZEMYSŁAWEM DACĄ**
rozmawiają Maciej Wośko, Arkady Saulski

KUCHNIA

- 90** **MOJE SZLAKI: RADOSŁAW LISZEWSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 91** **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 92** **GAZYFIKACJA KOPALIN**
Wojciech Reszczyński
- 93** **POLSKA, DO NOGI!**
Aleksander Nalaskowski
- 94** **W OBLCZU ZAGROŻENIA**
Jan Pospieszalski
- 95** **ODWAŻNY TEST BARTŁOMIEJA SIENKIEWICZA**
Jerzy Jachowicz
- 96** **BALCEROWICZ MUSI WRÓCIĆ!**
Ryszard Makowski
- 97** **27 STYCZNIA – DZIEŃ, O KTÓRYM PAMIĘTAMY**
Leszek Długosz
- 98** **EKOLOGIA INFOSFERY**
Katarzyna Zybortowicz



NARODOWY BANK POLSKI informuje:

Prezes Narodowego Banku Polskiego prof. Adam Glapiński poinformował o rekordowym zysku (ponad 10 mld zł), który NBP wypracował w 2021 roku i przekaże do budżetu państwa.

W związku z tym suma wpłat do budżetu państwa za kadencji prof. Adama Glapińskiego (ponad 30 mld zł) będzie największa (w porównaniu do wpłat dokonanych za kadencji poprzednich prezesów NBP).

Również rezerwy walutowe (blisko 150 mld euro) i zasoby złota NBP (prawie 229 ton) osiągnęły w tym czasie największy w historii poziom.



Sygnalista nadaje



Donald Tusk ruszył w Polskę. W Mińsku Mazowieckim podszła do niego starsza pani, która zadała liderowi PO kilka pytań: „Dlaczego pan nic nie robi? Dlaczego pan tak sprzyja Niemcom? Dlaczego pan sprzyja? [...] Dlaczego pan w ten sposób, że pan narodowi polskiemu nie sprzyja, tylko pan sprzyja temu silniejszemu? Niemcy są silniejsze, Rosja jest silniejsza, a pan powinien wszystko robić, żeby walczyć, jeśli jest pan Polakiem. Bo może pan nie jest Polakiem? I pan wie, o co chodzi”. Cały naród wie.



Pani mówiła, że ma 84 lata, przeżyła wojnę i powstanie warszawskie, w którym straciła swoich braci. Tusk odpowiedział tak: „Ja mam wielki szacunek dla pani, dla pani życia i dla pani doświadczenia. I bardzo pani współczuję jednej kwestii, że dała pani sobie tak namotać w głowie – będę delikatny – takiej fałszywej propagandzie”. Dodał, że jego rozmówczyni „ma temperament polityczny”, życzył „krytycznego myślenia i odwagi myślenia”. Nawet jeśli to „propaganda”, to w tym wypadku jej podstawy są wyjątkowo solidne.



Tusk odwiedził m.in. przetwórnictwo owocowo-warzywną w Starym Bojanowie w gminie Śmigiel. Spotkał się tam z Przemysławem Gilem, który, jak twierdzi, „marzy o modernizacji swojej firmy”. Niestety nie może tego zrobić powodu „sytuacji na rynku i podwyżek cen”. Szybko się okazało, że zakład otrzymał w latach 2000–2021 ok. 1 mln zł bezzwrotnej pomocy, a w 2017 r. dostał 3 mln zł z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Wdzięczność pol-

skich przedsiębiorców powoli staje się przysłowiowa.



W „Newsweeku” ukazał się wywiad red. Jacka Pawlickiego z Peterem Oliverem Loewem, niemieckim historykiem i tłumaczem, zajmującym się sprawami polskimi. Prawdziwą furorę zrobiły pytania zadane przez dziennikarza z Polski: „Relacje polsko-niemieckie na innych poziomach: gospodarczym, lokalnym, międzyludzkim, też PiS udało się popsuć?”, „Skąd tyle cierpliwości dla rządu PiS? Dlaczego politycy pokroju szefowej dyplomacji Annaleny Baerbock, która kilka tygodni temu została potraktowana przez swojego polskiego odpowiednika jak uczennica, znoszą różne afronty?”. Po co im Polska, skoro są Niemcy?



Na pytanie, „jak Niemcy to znoszą”, Peter Oliver Loew odpowiedział: „A jak mieliby reagować, jeśli nie cierpliwością? Walić w Polskę tak samo, jak rządzący w Warszawie walą w Niemcy? Sięgać po tę samą broń, groźby czy frazesy, co PiS? Za rok mielibyśmy nad Odrą i Nysą wojnę, a przecież o to nikomu nie może chodzić! Niemieckie elity polityczne i medialne zbyt dobrze wiedzą, co Niemcy robili w Polsce w pierwszej połowie XX w.”. Niemcy tak bardzo przejmują się historią, że niczym lunatyk wracają na stare tory.



Pawlicki jednak nie odpuścił i pytał dalej: „Patrząc na aktywność ambasadora Arndta Freytaga von Loringhova, który nieustannie składa gdzieś wieńce, spuszcza do połowy niemiecką flagę albo w jakiś inny sposób przypomina o niemieckiej winie,

Leszek Miller po dymisji 13 z 17 członków Rady Medycznej przy premierze: „Strategia rządu w walce z pandemią to gusła i zabobony. Minister Niedzielski powinien podać się do dymisji. Trzeba słuchać wyłącznie ekspertów. Politycy się nie liczą”. Ale żeby aż tak bardzo zwątpić w siebie?

Niemcy o niczym nie zapomnieli. Może jednak po 77 latach od II wojny światowej przydałoby się więcej asertywności? Wyobrażam sobie, że kiedy słyszycie opowieści Kaczyńskiego o IV Rzeszy, to puszczają wam nerwy...". To jednak dobrze, że Niemcy nie mają silnej armii. Gdyby miały, „Newsweek” prosiłby pewnie o interwencję zbrojną.

🔊 Ostatecznie Loew przyznał, że nerwy Niemców są mocno napięte: „[Nerwy] Puszczają, ale politycy tego nie uzewnętrzniają. [...] może będą próbowali w inny sposób rozmawiać? Pierwszą jaskółką takiej zmiany była deklaracja Olafa Scholza podczas grudniowej wizyty w Warszawie. Kanclerz powiedział, że reparacje wojenne dla Polski nie wchodzi w rachubę, zwłaszcza że Niemcy są największym płatnikiem do budżetu UE, którego Polska jest największym beneficjentem. To jest zupełnie nowy argument w tej debacie. [...] skoro jesteśmy razem w UE i wspólnie realizujemy ów europejski projekt, to jeden kraj nie może domagać się od drugiego zapłacenia prawie biliona euro. To nie pasuje do ducha obecnych czasów!”. Polska to ma pecha. Gdyby tylko roszczenia trafiły w inny czas, szlachetni i etyczni Niemcy na pewno zapłaciliby za swoje zbrodnie.

🔊 Europoseł Janusz Lewandowski, minister ds. prywatyzacji w rządach Bieleckiego i Suchockiej, podsumował połączenie Orlenu i Lotosu stwierdzeniem: „Widać jakąś taką żądzę odwetu na niepokornym Pomorzu”. W sumie „Orlen w tej chwili to jest firma, która [...] jest takim narzędziem politycznym Kaczyńskiego. Putin ma Gazprom, a my mamy quasi-Gazprom na miarę naszych potrzeb i możliwości”. Z jednym można się zgodzić: gdyby misja Janusza Lewandowskiego w latach 90. nie została przerwana, niczego takiego jak Orlen w Polsce by nie było.

🔊 Prof. Magdalena Środa w „Gazecie Wyborczej” skrytykowała polską partię lewicową i jej lidera – zapewne chodzi o Lewicę i Włodzimierza Czarzastego: „Mamy też partię lewicową, którą rządzi seksistowski narcyz o mentalności dziewiętnastowiecznego biznesmena, a wokół niego uwijają się prawdziwie progresywni, skuteczni, choć niewidoczni posłowie (zwłaszcza posłanki) ginący w cieniu jego spektakularnych walk o przywództwo”. Gdyby w tym samym stylu opisać prof. Środę, to pewnie wyszłaby postać ze znanej sztuki Gabrieli Zapolskiej.

🔊 **Tomasz Lis:** „W im mniejszym stopniu ludzie widzą w opozycji przyszłego zwycięzcę, tym relatywnie mocniejszy jest obóz władzy. I znalazł tu Kaczyński wielkiego sojusznika – Hołownię. Od

wielu miesięcy, a szczególnie od powrotu Tuska, sprawia on wrażenie, że o niebo większy problem niż z PiS i Kaczyńskim ma z Platformą i Tuskiem. [...] Ludzie Hołowni zaczęli nawet gościć na portalu w ultrapisowskich mediach Karnowskich. Mogą tam się poskarżyć na złą Platformę”. Red. Lis to prawdziwy demokratą jednolitofrontowy.

🔊 Czy Sejm powinien się zmierzyć z problemem alkoholowym? Zdaniem **Pawła Kukiza** – tak. Może więc powinien być alkomat? „Nie, kiedyś miałem taki pomysł, ale raczej głupio by to wyglądało. Natomiast chciałbym, żeby Straż Marszałkowska posiadała podobne możliwości, jak kiedyś straż przemysłowa” – przekonuje muzyk polityk, dodając: „Nie chcę, żeby było widowisko, bo już tych widowisk w Sejmie wystarczy”. Trudna sprawa. Najlepiej chyba nie robić nic. „Upupianie” parlamentu nie służy Polsce.

🔊 Kukiz twierdzi, że niektóre awantury w Sejmie „bardzo często są spowodowane stanem wskazującym posłów”: „Te różnego rodzaju hucpy, które dzieją się w Sejmie, to nie jest wyraz jakiegoś politycznego braku akceptacji czy buntu, tylko odurzenia alkoholowego. I co do tego nie ma wątpliwości”. I podkreśla: „Również wrażenia węchowe zdarzają się na sali plenarnej. Przecież to widać, czuć. Rozmawia pan ze starym rockandrollowcem, potrafię takie osoby rozpoznać szybko”. Borys Budka rockandrollowcem nie był, ale też szybko rozpoznał problem u posła Sienkiewicza.

🔊 Waldemar Pawlak: „Moim zdaniem dodatkowy gazociąg do Polski nie jest potrzebny. W 2010 r. podpisaliśmy aneks do umowy z Rosjanami, który pozwolił na rewers wirtualny na gazociągu jamalskim. Następnie zaczął działać także rewers fizyczny. Mamy możliwość importu gazu z kierunku zachodniego. Budowa nowego gazociągu jest bezzasadna. Zapłacą za to odbiorcy, bo trzeba będzie go spłacić”. Słowa wstrząsające, ale skierowane nie do Polaków, lecz do Rosjan. To deklaracja lojalności.

🔊 **Krystyna Janda** zamieściła w mediach społecznościowych fotografię przedstawiającą ją na tle plaży i palm. Zdjęcie opatrzyła taką oto informacją: „Jutro wracam do Polski, tam 500 zgonów dziennie i uchodźcy, dzieci umierają na granicy, ja uciekam na 5 dni, bo straciłam wszelki sens. Wracam go odzyskać”. Na wpis pani Jandy odpowiedziała Agata Młynarska. „Krysiu, obawiam się, że tu niestety go nie odzyskasz... tu się go dojmująco traci”. Aktorzy, artyści – nie wchodźcie w politykę. Nie macie o niej pojęcia. Jedyne, co was tu czeka, to ciągła frustracja i liczne depresje. Naprawdę nie warto.



Pańsfo teoretyczne



KRZYSZTOF FEUSETTE

W Polskę iziemy, brasia, rodasy, we Pol... skę iziemy. Nim piersza seta zawrósi w głowie, drugą pijemy... O, sześ, Borys! A so ty tu robisz, chłopie? Myślałem, że siezisz z nami na górze. Nie siezisz?

Bartku...

Borys... Suchaj... Ja si muszę soś pojedzieć...

To wiesz, co? Chodźmy może na korytarz, bo widzę, że...

Że so?

Nic, nic. Chodź na górę.

Zie?

Na górę. Tutaj, schodami.

Ale ja właśnie stamtąd szyszedłem... szyszedłem...

Bartek, oddychaj w drugę stronę, bo ja muszę jechać za dwie godziny.

No, wiesz, so? Ja mogę w ogóle nie oddy... chać... O, już się duszę... Jak na gazie... To znasz, po gazie. Pajetasz, jak mie os... sze... ups... os... szelali?

Pamiętam. Czekał, może ja cię przytrzymam, żebyś do PiS-u nie przeleciał.

Strasznie cię buja.

Mosze tak, nie wiem. Ja potrafię soś tam, soś tam, ale ja si muszę soś pojedzieć... Donald...

Dobrze, Bartek, poczekaj, bo ściany mają uszy.

Soś ty? Ala! No i potkleń się. Szyja to była noga, Borys?

Borysa.

Foja? No, nie p...dol, podstawileś mi nogę?

Nie ja, Piotrek.

Bartek. No, so ty? Luzi nie kojarzysz?

Dobra. Chodźmy, zanim ktoś się zorientuje.

Sr...I to pies. Borys. To jest niewaaażne, rozujesz? To jest niewaaażne. Szekaj, szybiję piąteszkę z naszą koleżanką... Siemasz, młoda! Wiziałeś? Prawie rękę mi złamała! Jak ona się nazywa w ogóle?

Uważaj, schodek.

K..., stop! Szecież ja miałem wystąpić z mównisiy! Borys,

k..., ja miałem wystąpić z mównisiy!

Daj spokój, nie dzisiaj.

A so dzisiaj jest?

Piątek.

Piątunio? Piątuliniatko moje kochane? Cip, cip... chodź do wujaszka, synu Piętaszka...

Bartłomiej...

Ej, nie tak ofisjalnie, okey? Ja w polityse byłem, zanim tobie wszystkie fryzury pousiekały. Ale patsz, wrasamy! Wrasamy, Borys, na białym, k..., koniu. Na tarszy! Nie, z tarszą! Zresztą, młodszą też.....

Uważaj, kolumna!

Wizę chyba. Wszoraj stała dalej. A teraz muszę si coś pojedzieć...

Dawaj.

Szy ty może wiesz, kto zap...olil klusz od szafki, gdzie-żeśmy szymali... No, wiesz, so...

Co?

No, napoje.

Ale kto „my”?

No, nasza grupa. Naradczą. Czy tam „robosza”, jak sobie chcesz. Donald nie wziął, bo już się pytałem. To znasz – nie jego, tylko Grasia, ale Graś by wiedział...

Spokojnie, Bartek. Powiem krótko: mam rozkaz od Donalda, żeby chwilowo wstrzymać balangowanie.

Przynajmniej w Sejmie.

So?

Zero alkoholu w godzinach pracy.

Sucham? Szy was pogięło? Chcesz, żeby ludzie przechodzili do innych klubów parle... parle... parlamentalnych? Czerczył pił, i Jel-

syn, i Kwaśnieski... I Bol... Wałęsa. Michnik tak pił, że Jaruzelskiemu w wyborszą wchoził. Iso? Już nie moszna?

Takie otrzymałem zalecenie od przewodniczącego Platformy Obywatelskiej.

Ktorego w Sejmie nie ma! Borys, ty nie moszesz sobie tak dawaś...

Co?

On si wszedł na głowę! Szłowieku, ty byleś naszym liderem! Szewodniszysym! A teraz: „Bo-

ryslaw, przynieś, Boryslaw, wynieś”.

To co mam robić?

Nie wiem. Postaw się, k...! W mojej sytuacji! Mosze, kiedy on si mówi, sze koniec ze spożywaniem w Sejmie, to mu powiedz: „A, takiego wała! Rosmarwiałem z Sienkiewiczem, i on też mówi no pasaran, o jeden most za daleko!”. A teraz barzo się szepraszam, ale ja muszę na mównię...

Dosyć tego! Nie będziesz nigdzie występował, ledwie po schodach wlażesz, więc nawet, jakbyś miał dziś mieć wystąpienie, to i tak byś nie miał! Czy ty w ogóle wiesz, która jest godzina?

Szecia?

Dwunasta!

Uuu... Uuu...

Czego wyjesz?

Gozina duchów! Dobra, to so z tym kluszem? Bądź kolegą, szecież oni tam szekają. Sam osobiście zbierałem pieniądze, które luzie sobie od ust odejmowali, szeby do naszej szafeczki soś tam, soś tam włożyć na szarną gozinę. Więc musisz nam ten klusz oddać. Natychmiast! Tu, do tej rąsi, chłopcze malinowy. Dawaj, bo wrasam na salę prenatalną! Liszę do szech... Dwaaaa...

Bartuś, błagam cię, jedź do domu. Taksówką, oczywiście.

Borys, ja się wzywam w imieniu mojego osobistego praziadka Henryka! Rozumiesz, so ja stawiam na szali?! Obywatelu pośle, wzywam was w imieniu partii.

Dobra, już dobra, tylko mi te obrotowe szytszymaj. Buziaszki. Będę jutro o siemnastej. A ten klusz i tak oddasz, złozieju... W Polskę iziemy, brasia rodasy! Tu się, psia nęza, nikt nie oszczęza, odposzniesz w prasy...

W połowie listopada trójka (z czwórki) moich dzieci trafiła równolegle na zdalną edukację z powodu kontaktu w swoich szkołach z zakażonymi COVID-19 rówieśnikami lub nauczycielami. Jednemu z dzieci z tego kontaktu wyklął się covid. Najstarsza córka zachorowała jakoś w drugiej połowie listopada. My z mężem uzyskaliśmy pozytywny wynik testu kilka dni później. Z tego powodu trójka młodszych dzieci musiała pozostać na kwarantannie, która dziś wynosi tyle, ile czas izolacji osoby chorej plus tydzień. Żeby było zabawniej, tydzień po nas (rodzicach) zachorował syn. W związku z tym kwarantanna najmłodszych dziewczynek (11 i 6 lat) znów wydłużyła się o czas izolacji syna plus tydzień. Dziewczynki nie zachorowały. A to paradoksalnie skróciłoby ich czas odosobnienia. Gdy z mężem skończyliśmy izolację, przetestowaliśmy najmłodsze dzieci. Były zdrowe, ale komunikaty sanepidu – nieubłagane: ujemny test w kierunku COVID-19 nie zwalnia z kwarantanny.

Najmłodsze córki, które nie zaraziły się od czwórki chorych domowników, spędziły w domowym areszcie prawie półtora miesiąca (licząc od dnia kwarantanny, która była wynikiem kontaktu z osobą zakażoną w szkole i przejścia na zdalną edukację). Na szczęście na Wigilię mogły wyjść z „aresztu”, tak że spędziliśmy ją w nieco szerszym, rodzinnym gronie. Później była przerwa świąteczna i odgórnie zarządzona zdalna edukacja, która skończyła się 10 stycznia. Najmłodsza córka mogła na szczęście wrócić do przedszkola nieco wcześniej. Starsza trójka wróciła zgodnie z planem, ale w chwili, gdy piszę te słowa, najstarsza dwójka znów jest na zdalnej edukacji z powodu kontaktu z osobą zakażoną w klasie. Niewykluczone, że do chwili, gdy ten tekst trafi w państwa ręce, grono moich dzieci przebywających na zdalnej edukacji powiększy się. Jedna z nauczycielek, z którą rozmawiałam, relacjonowała, że w tej chwili na stacjonarnej edukacji ma tylko jedną klasę, reszta została już bowiem przeniesiona na naucza-

W domowym areszcie

I cóż z tego, że sanepid poinformował mnie, że połowa moich dzieci jako ozdrowieńcy nie podlega kwarantannie, skoro klasa i tak jest na zdalnej edukacji

wysłać nie wolno. Wiadomo, teraz w miejscu publicznym lepiej beknać, niż kaszłać. Niestety szkoły nie pomyślały o edukacji hybrydowej, tak by umożliwić naukę dzieciom przeziębionym, przebywającym na izolacji czy kwarantannie.

Jak do tego obrazu edukacyjnej nędzy dorzucimy jeszcze rok ubiegły, który niemal w całości upłynął pod znakiem zdalnej edukacji, oraz jeszcze rok wcześniejszy, gdzie lockdown mieliśmy od kwietnia, to wylania nam się dramatyczny obraz stanu wiedzy, jaką posiadają nasze dzieci, które w dodatku już coraz mniej pamiętają, co to normalność i zwykła zabawa z rówieśnikami na placu zabaw. A egzaminy, matury? Dzieci, które i tak w zbyt dużym stopniu były zakładnikami mediów społecznościowych, niemal ugrzęzły w sieci, praktycznie pozbawione zwykłych relacji. Nie tylko będą miały gigantyczną lukę edukacyjną, niemal niemożliwą do nadrobienia, to jeszcze dochodzi do niej wyłom w umiejętnościach społecznych. Czy kiedyś te wyrwy zasypujemy? Jak bardzo skrzywdzone pokolenie nam z tego wyrośnie?

Coraz więcej państw na świecie próbuje stawiać pierwsze kroki w drodze do normalności (więcej o tym w tekście „Covid zostaje z nami” na s. 37). Może warto, by i w Polsce politycy zaczęli myśleć o tym, jak wyjść z tego niekończącego się szaleństwa? Może warto posłuchać lekarzy, którzy mówią: „Leczymy chorych, a poza tym żyjemy”. Wiem, że w środku piątej fali epidemii brzmi to niewiarygodnie, ale już niedługo będzie normalnie. Musi być.

Dorota Łosiewicz



Na łasce Pekinu

Niebawem w amerykańskim Senacie ma być głosowana ponadpartyjna ustawa, zakazująca kontrahentom Pentagonu zakupu metali ziem rzadkich z Chin. Datą graniczną ma być 2026 r.

Wymienione w ustawie metale ziem rzadkich o dość dziwnie brzmiących nazwach: neodym, dysproz, lantan itd., są niezbędne w wielu zaawansowanych technologicznie branżach, zarówno tych, które są związane z transformacją klimatyczną (np. baterie, turbiny wiatrowe), jak i w przemyśle elektronicznym (podzespoły komputerów i smartfonów) oraz zbrojeniowym.

Stany Zjednoczone były pionierem w technologiach pozyskiwania i wykorzystania metali ziem rzadkich, jednak ich przewaga w ostatnich trzech dekadach zaczęła się zmniejszać. W tym czasie pałeczkę przejęły Chiny, które zdaniem brytyjskich analityków kontrolują już 55 proc. światowej produkcji i 85 proc. rafinacji metali rzadkich. Co więcej, bezskrupułow korzystają ze swojej dominacji, ograniczając eksport strategicznych substancji i metali, wywołując ich deficyt oraz światowy wzrost cen.

Tymczasem Pentagon wydaje miliardy dolarów rocznie na samoloty, elektronikę, broń i rakiety, których bez rzadkich minerałów nie sposób budować, przy czym aż 80 proc. strategicznych surowców pochodzi z Chin. „Koniec zależności od Chin jest niezbędny w budowaniu własnego bezpieczeństwa i technologii w tym sektorze” – wyjaśnił w rozmowie z agencją Reuters jeden z inicjatorów ustawy, republikanin Tom Cotton.

Cotton zasiada w komisji sił zbrojnych Senatu i komisjach wywiadu. Niejednokrotnie mówił, że Stany Zjednoczone, odpuszczając kontrolę nad wydobyciem rzadkich metali na świecie, pozwoliły Chinom na osiągnięcie niebezpiecznej przewagi na rynku. Amerykanie razem z kilkoma innymi członkami Światowej Organizacji Handlu próbowali już w przeszłości naciskać na Chiny, aby eksportowały więcej rzadkich metali na światowy ry-

nek. Jednak Chińczycy wolą mieć kartę przetargową, szantażując inne państwa ograniczaniem eksportu. W 2010 r. Chiny czasowo zablokowały sprzedaż takich metali do Japonii. Wielokrotnie też Pekin straszył podobnymi krokami w stosunku do Waszyngtonu.

Do tego dochodzi jeszcze jeden problem. Wydobywanie rzadkich metali jest szkodliwe dla środowiska, co wywołuje protesty ekologów w USA. Chiny głosami środowisk ekologicznych się nie przejmują. Niewiadomo więc, czy Cotton będzie miał poparcie Białego Domu, który prowadzi swoją własną politykę wobec Pekinu. Skoro kontrahenci Pentagonu nie będą na mocy ustawy mogli za cztery lata kupować minerałów z Chin, to muszą szybko znaleźć kogoś innego, kto im je sprzeda. Kogo? Cotton stawia na wydobycie w Ameryce. Czy jednak w czasie klimatycznej gorączki będzie to możliwe?

Lukasz Adamski

Słowa Antony'ego Blinkena wypowiedziane w ostatnią środę w Kijowie, kiedy apelował o jedność Ukrainy w obliczu zagrożenia rosyjską agresją, odnosiły się, jak można przypuszczać, do oskarżeń wysuwanych wobec Petra Poroszenki (na zdj.). Tego dnia, kiedy amerykański sekretarz stanu przyjechał z niezapowiedzianą wizytą do Kijowa, jeden z tamtejszych sądów rozpatrywał wniosek o areszt dla byłego prezydenta. Ostatecznie Poroszenko nie został aresztowany, sąd zadowolil się jego deklaracjami, że będzie się stawiał na rozprawy, co z pewnością ucieszyło grupę demonstrujących przed sądem zwolenników jego partii Europejska Solidarność, ale chyba nie rozładowało politycznych napięć na Ukrainie.

Oleksandr Turczynow, w przeszłości szef ukraińskiej Rady Bezpieczeństwa i Obrony, dziś deputowany formacji Poroszenki, nazwał oskarżenia wysuwane przeciwko byłemu prezydentowi „polityczną” rozgrywką Zelenskigo, który zaczyna postępować, jego zdaniem, tak jak Janukowycz i tak jak Janukowycz skończy.

Poroszenko został oskarżony w grudniu ub.r. o zdradę stanu i wspieranie organizacji terrorystycznych w związku z importem przez Ukrainę w latach 2014–2015 węgla z kontrolowanego przez Rosję Donbasu. Prokuratura domagała się aresztowania byłego prezydenta, ewentualnie kaucji w wysokości miliarda

Poroszenko na razie wolny



Ukraina



prezydenta określili to postanowienie mianem „drakońskiego”.

W ukraińskich mediach oskarżenia wytoczone byłemu prezydentowi uznaje się za element przedwyborczej rozgrywki. Grudniowe badania opinii publicznej przeprowadzone przez Kijowski Instytut Socjologii wskazują, że w pierwszej turze wyborów wygrywa Zelenski, zdobywając 27,6 proc. głosów, ale już drugi jest Poroszenko z 16 proc. Były prezydent jest zatem głównym politycznym rywalem obecnego.

Ruslan Riaboszapka, były prokurator generalny, komentując postanowienie sądu, powiedział, że obecna władza, która chciała aresztowania Poroszenki, w oczywisty sposób przegrała. Ale były prezydent też nie wygrał, bowiem sąd, nakazując mu stawiennictwo i przyjmując jego poręczenie, uznał, że oskarżenia przeciw niemu są zasadne. W sumie zatem remis, a sprawa będzie się toczyć nadal. I może właśnie o to chodziło, aby główny rywal Zelenskigo, zamiast przygotowywać się do kampanii wyborczej, musiał walczyć z oskarżeniami.

Marek Budzisz

Niewygodny Telegram

Rosjanie kochają Telegram. W ub.r. 32 mln z nich korzystało z tej aplikacji, co czyni ją trzecią pod względem popularności w kraju, po WhatsApp i Viber. Powód popularności komunikatora jest prosty. Pozwala on na komunikowanie się bez obaw o cenzurę lub przechwytywanie czatów przez rosyjskie służby. Stworzył go Paweł Durov, założyciel popularnej platformy Vkontakte. Aplikacja przechowuje dane na serwerach rozproszonych po świecie, co utrudnia służbom dostęp do nich. Nic dziwnego więc, że rosyjskie władze usiłowały aplikację zablokować. W konsekwencji właściciel komunikatora musiał wielokrotnie płacić wysokie kary, m.in. za nieusuwanie zakazanych treści.

Co dyktatura Władimira Putina ma wspólnego z demokratycznymi władzami w Berlinie? To, że im także przeszkadza Telegram. Minister spraw wewnętrznych Nancy Fäser z SPD uważa, że na Telegramie szerzy się „prawicowy ekstremizm”. Jej zdaniem za pomocą aplikacji „kontaktują się ze sobą zwolennicy teorii spiskowych, antyszczepionkowcy i neonaziści”. Jako, że Telegram stanowi sieć społecznościową, podlega ustawie, która zobowiązuje operatorów do usuwania treści karalnych. Tyle że – tak jak w Rosji – Telegram odmawia współpracy. To rozsierdziło panią minister, która ogłosiła, że „podlegacze zostaną zidentyfikowani i pociągnięci do odpowiedzialności”. Szef CSU Markus Söder wezwał nawet do „wyłączenia” aplikacji. Jest jednak mało prawdopodobne, że jego życzenie zostanie spełnione, ponieważ pomysł ten nie podoba się politykom z innych partii wchodzących w skład koalicji. „Ta propozycja wpisuje się w reżymy totalitarne, ale nie w nasz porządek konstytucyjny” – skomentował Konstantin Kuhle z FDP. Podobnie uznała Tabea Rößner (Zieloni), szefowa komisji Bundestagu ds. cyfrowych, która powiedziała: „Wyłączenie całej aplikacji to forma państwowej cenzury mediów, której w Niemczech nie chcemy”.

Na razie więc Berlin zamierza nękać operatora Telegramu karami finansowymi. Jak dotąd nie udało się mu jednak dostarczyć odpowiednich pism, bo firma ma siedzibę w Dubaju. Niemiecki rząd zastanawia się więc nad skłonieniem Google’a i Apple’a, aby usunęły aplikację ze swojej oferty. Ekspert Dennis Horn uważa, że blokadę serwisu użytkownicy mogliby obejść, ponadto – jego zdaniem – większość treści na komunikatorze nie stanowią wcale te podlegające do nienawiści. „Z jednej strony jesteśmy zachwy-

ceni tym, że Telegram ułatwia opozycji w Iranie czy na Białorusi organizację manifestacji, a z drugiej strony traktujemy aplikację u nas jako narzędzie bezprawia” – dodał. „Ponadto – wskazał – niemieckie władze powinny przypomnieć sobie o historii powstania aplikacji – jako odpowiedzi na cenzurę rosyjskiego państwa”. By było jeszcze śmieszniej, albo smutniej, jak kto woli, Kreml skrytykował rząd w Berlinie za plany blokady Telegramu, nazywając jego działania „niedemokratycznymi”.

Aleksandra Rybińska

Zimna wojna religijna

Rosja

W świecie prawosławnym nie ma takiej instytucji jak papieństwo, które swą jurysdykcją obejmowałoby wszystkich wiernych na kuli ziemskiej. Istnieją tam poszczególne Kościoły narodowe, które mają swoje terytoria kanoniczne. Jeszcze do niedawna Ukraina była częścią terytorium kanonicznego podlegającą patriarchatowi Moskwy i żaden prawosławny Kościół tego nie kwestionował. Sytuacja zmieniła się na przełomie 2018 i 2019 r. Patriarcha Konstantynopola Bartłomiej wyszedł wówczas naprzeciw oczekiwaniom milionów prawosławnych Ukraińców, którzy nie chcieli już dłużej podlegać patriarchatowi Moskwy, ponieważ uważali go za narzędzie wpływów politycznych Kremla. Konstantynopol nadał więc Kijowowi autokefalię. W ten sposób powstał Kościół Prawosławny Ukrainy, całkowicie niezależny od wschodniego sąsiada.

W Rosji odebrano to jak wypowiedzenie zimnej wojny religijnej. Patriarchat moskiewski zerwał wszelkie stosunki, a nawet jedność duchową z patriarchatem Konstantynopola. Ogłosił też, że zrobi to samo z każdym, kto poprze niezależność Kijowa od Moskwy. Niedługo potem za autokefalię dla Ukraińców opowiedziały się Kościoły prawosławne w Grecji i na Cyprze, a także patriarcha Aleksandrii Teodor II. W odpowiedzi patriarcha Cyryl (na zdj.) nie tylko spełnił swoje groźby, lecz także przeszedł do kolejnego etapu konfrontacji. Uznał, że skoro naruszona została integralność terytorium kanonicznego rosyjskiego prawosławia, on sam może uczynić to samo wobec tych, którzy popierają taki krok. Dlatego patriarchat moskiewski ogłosił powstanie własnego egzarchatu obejmującego całą Afrykę. Oznacza to zimną wojnę religijną z patriarchatem Aleksandrii, któremu dotychczas podlegały wszystkie parafie prawosławne na Czarnym Łądzie. Już teraz 102 księży w Afryce zerwało z Teodorem II i przeszło na stronę Moskwy.

Wszystko wskazuje na to, że podział w świecie prawosławnym będzie się pogłębiał. Spór o status prawosławia na Ukrainie uruchomił proces, który wywołuje już konflikty w innych częściach globu.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Danse macabre na rurze NS2

Mamy czas karnawału, proszę państwa. Ech, balowało się kiedyś do świtu i dłużej! „Jeszcze jeden mazur dzisiaj, choć poranek świta”. Narodowe mazury, polonezy, kujawiaki, no i walce, tanga, fokstroty. W latach szkolnych prowadzano nas na bale do żeńskich liceów. Segregacja płci obowiązywała. Obecnie nie do pomyslenia! Stawaliśmy pod ścianą, z drugiej strony sali chichoczące dziewczęta.

Nie wiem, czy to normalne, ale wszystkie mi się wtedy podobały. Piękne są dziewczyny z mojego pokolenia. Momentem najtrudniejszym był start do upatrzonej z oddali ewentualnej partnerki. Jeżeli odmówi, będzie wstyd wracać do chłopaków. Jak się zgodzi, będzie kłopot, jak ją objąć, jak poprowadzić, nie myląc rytmu i nie depcząc po pantofelkach. Cóż to były za emocje!

Minęło kilka lat i trafiłem do jaskini muzycznego undergroundu w studenckim klubie Hybrydy, a tam Hot Klub Melomani, dixieland, rock and roll, twist. Świetna kapela Janusza Zabieglńskiego, król parkietu Henio Meloman. To se nevráti! Zwłaszcza że rozchylały się po świecie covidy, delty, omikrony



**Jan
Pietrzak**

kolejnymi falami przetaczające się przez kontynenty w upiornym danse macabre. Posłuchajcie, jak będzie okazja, utworu Camille’a Saint-Saënsa pod tym tytułem. Robi wrażenie. Inne wrażenie robią polki galopki szczepionkowców lub antyszczepionkowców przy akompaniamencie policyjnych dyskotek. Takie są teraz karnawały.

Kontredanse sejmowe i wściekle oberki uliczne nie mają nic wspólnego z radosną zabawą. Huczne mięsopusty już nie dla nas. Brak nastroju. Bale maskowe i bale przebierańców nie mają sensu, bo z zamaskowanymi przebierańcami mamy do czynienia na każdym kroku. Oślawione w Peerelu bale przodowników pracy, z udziałem ukochanych przywódców, straciły bazę społeczną. Przodowników zabrakło. Atrakcją specjalną były żony przywódców, wyciągane z szaf na tę okazję. Aura naftaliny ogarniała parkiet. Obecnie najbardziej widowiskowy jest taniec na rurze NS2 w wykonaniu dwóch potworów Europy. Zabójczy duet z długą, fatalną dla sąsiadów tradycją. Czy my sobie w Polsce jeszcze kiedyś normalnie potańczymy...?

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Co ma noga do patriotyzmu

Narody, narody, po diabła narody/ Stożące na drodze do szczęścia i zgody...”. Można by powiedzieć, że ironiczne przesłanie polskiego barda powoli zostaje wprowadzone w życie. No, może nie wszędzie ani nie zawsze, ale zmianę sposobu rozumienia narodu – i patriotyzmu – już widać. Szczególnie w sporcie. Coraz częściej poczucie przynależności narodowej nie jest związane z tym, co puka pod zakładką gorsetu, zeszytą trochę przyciąśnie, ale ze zwykłą cyniczną kalkulacją.

Jeśli ambitny futbolista z Wysp Brytyjskich do 25. roku życia nie dostał powołania do reprezentacji Anglii, to musiał poszukać polskiego dziadka, żeby zostać reprezentantem Rzeczypospolitej. Wiadomo: piłkarz grający w drużynie narodowej (nawet tak słabej jak polska) jest z punktu więcej wart i dostanie lepszy kontrakt.

Znacznie lepiej tę umowność przynależności narodowej widać wśród graczy afrykańskich. W Pucharze Narodów Afryki (właśnie rozgrywanej mojej ulubionej piłkarskiej imprezie sportowej!) jest wielu kolorowych graczy z Europy. Ci najlepsi, jeśli mają obywatelstwo Francji, Holandii czy Anglii, nie szukają afrykańskich korzeni, wybierają miejscową reprezentację. Ci słabsi, nawet jeśli zagrali parę meczów w którejś z europejskich młodzieżowych drużyn narodowych, widząc, że na powołanie do dorosłej liczyć

nie mogą, zgłaszają się po reprezentacyjną koszulkę do kraju urodzenia, pochodzenia rodziców lub dziadków.

Nikt nie pyta Admirala Muskwego, pochodzącego z Harare, ale mającego brytyjskie obywatelstwo, dlaczego – zanim zdecydował się na grę dla swojego kraju urodzenia – wystąpił w angielskiej reprezentacji do lat 17. Nikt się nie zastanawia, czy czuł się wtedy Anglikiem, a potem poczuł się Zimbabwejczykiem. Nikt nie rozważa, czy kocha ojczyznę. I którą bardziej.

Urodzony w Antwerpii Ilias Chair zawsze był za słaby na reprezentację belgijską, więc intensywnie szukał innej. „Mam obywatelstwo marokańskie i belgijskie, a ponieważ moja mama jest polskiego pochodzenia, mogę więc nawet reprezentować Polskę. W każdym przypadku byłbym dumny z reprezentowania kraju” – reklamował się publicznie. Belgia się nie zgłosiła, Polska chyba przegapiła szansę. Chair gra w Pucharze Narodów Afryki dla Maroka.

Cóż, doczekaliśmy czasów, kiedy o narodowej przynależności decydują „zdolności manualne nogi”, jak o talencie futbolistów mawiał pewien komentator.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

Co nam grozi

Trzy największe frakcje: EPP (Europejska Partia Ludowa, formalnie ciągle jeszcze Chryścijańscy Demokraci) – 187 posłów, S&D (Postępowy Sojusz Socjalistów i Demokratów) – 148 posłów, oraz Odnómy Europę – 97 posłów, utworzyły koalicję, która do końca bieżącej kadencji, czyli na najbliższe dwa i pół roku, zdominuje liczący 705 deputowanych Parlament Europejski. Pokazuje to raz jeszcze umowność podziałów na lewicę i prawicę w politycznym establishmentie naszego kontynentu. Ostatecznym jego celem jest obrona status quo, nic więc dziwnego, że wszyscy, którzy się w nim nie mieszczą, zostają ostemplowani etykietą populistów, a także autorytarystów, pomimo że to oni stanowią dziś jedyną prawdziwą emanację (i nadzieję) demokracji.

W „wyzwaniach”, które uczestnicy koalicji wyliczają na początku swojego manifestu obok „pandemii i zmian klimatycznych”, a także retorycznych uwag o „nierównościach socjoekonomicznych” oraz „globalnej niestabilności”, pojawia się więc „wzrost nacjonalizmu, populizmu i autorytaryzmu”, którym nowy sojusz postanawia wydać wojnę.

Metodą ma być „bardziej zdecydowana akcja w powiązaniu z art. 7”. Ten artykuł traktatu UE mówi o możliwości pociągnięcia do odpowiedzialności państw, które naruszają wartości w nim wyliczone, czyli „poszanowanie godności osoby ludzkiej, wolność, demokrację, równość, państwo prawne, jak również poszanowanie praw człowieka [...]”. To w oparciu o te ogólnikowe zapisy nie lubiane przez europejski establishment rządy (Polski i Węgier) sadzane są na ławie oskarżonych. O tym, jak traktowane są owe reguły, najlepiej świadczy fakt, że w tym samym czasie, kiedy nasz kraj był pociągany do odpowiedzialności przez TSUE z powodu wpływu władzy ustawodawczej na nominacje sędziowskie, co jest powszechną praktyką w krajach UE, ten sam sąd uznał za zgodne z europejskim prawem mianowanie przez premiera sędziów na Malcie.

W koalicyjnym dokumencie jako priorytet dla Europy wymieniona jest walka z „dyskryminacją mniejszości i LGBTIQ+”. Na czym polega dyskryminacja owych literek, zrozumieć możemy, obserwując potępienie ze strony partii, które tworzą koalicję, ustawy węgierskiej zakazującej propagandy seksualnej w szkołach bez zgody rodziców. Obrona dzieci przed agresywną promocją seksualnych mniejszości ma stanowić mniejszości tych dyskryminowanie. Kolejnym priorytetem nowo powstałego sojuszu jest „seksualne i reprodukcyjne zdrowie”. Ta karykaturalna formuła oznacza pełną dopuszczalność i propagację aborcji.

Za imperatyw koalicja uznaje osiągnięcie neutralności klimatycznej, czyli eliminację dwutlenku węgla. Europa ma być pierwszym takim kontynentem i „wzorcem” dla innych. Trudno znaleźć bardziej jaskrawą manifestację nie liczącego



się z niczym ideologicznego infantylizmu (neutralność klimatyczna Europy zawstydzi innych i zmusi ich do pójsia w jej ślady), pod którego osłoną potężni gracze biznesowo-polityczni robią wielkie interesy. Szalejące ceny energii nic dla europarlamentarzystów nie znaczą. Im na zapłacenie rachunków wystarczy. Działania, które już prowadzą do energetycznego kryzysu, a kontynuowane oznaczają krach ekonomiczny na wielką skalę (zwłaszcza dla Polski), postulowane są w trakcie poważnych problemów gospodarczych wywołanych pandemią. Ale doświadczenie i zdrowy rozsądek są ostatnią rzeczą, do której odwołują się uczestnicy głównej koalicji PE.

Odpowiedzią na klęskę unijnej kampanii antycovidowej, o której nie wzmiankuje dokument porozumienia, ma być ściślejsza integracja Europy. W znanym nam – wydawałoby się z minionych czasów – zakłeciu: „Na problemy komunizmu lekarstwem jest więcej komunizmu”, eurokraci komunizm zastąpili Europą, resztę włącznie z logiką pozostawili bez zmian. Toteż w swoim dokumencie koalicja wzywa, aby Rada Europejska podejmowała decyzje większością głosów. Oznacza to utratę niepodległości prawie wszystkich państw UE poza jej najsilniejszymi graczami, czyli Niemcami i do pewnego stopnia Francuzami.

O koalicyjnym manifestie można by jeszcze wiele. Wnioski z niego są jednak jednoznaczne. Europejski establishment, posilając się instytucjami unijnymi, chce przeprowadzić rewolucję. Jej ofiarą padnie nie tylko nasza niepodległość i wolność, ale także szanse rozwoju. Musimy przeciwstawiać się temu wszelkimi możliwymi środkami, które dają nam jeszcze unijne instytucje. Równocześnie musimy zdać sobie sprawę, że w niedługim czasie perspektywa wyjścia z UE może być dla nas jedynym akceptowalnym rozwiązaniem i ratunkiem. Będzie to trudne do przeprowadzenia ze względu na generalne zafalszowanie obrazu UE i wpływu, jaki ma ona na nasz kraj, kompleksów wyniesionych przez nas z historii oraz siły neotargowicy w Polsce. Tym bardziej działania w tym kierunku należy podjąć już teraz.



Walizka Andrzeja Potockiego

dziennikarza, publicysty, niegdyś kaskadera

Zawód młodego dziennikarza obfituje w wyjazdy. W swoim czasie odwiedziłem takie egzotyczne kraje jak Afganistan, Albania, Czarnogóra czy Kongo. Teraz, kiedy jestem publicystą, liczba moich zawodowych wyjazdów znacznie spadła. Dawniej nadrabiałem to jako kaskader konny, a teraz rekonstruktor. Kaskaderki „liznałem” jeszcze w liceum, kiedy trenowałem jeździectwo sportowe na Legii, skąd reżyserzy „pożyczali” do filmów konie wraz z kawalerzystami. Do tego stopnia zaangażowałem się w świat X Muzy, że nie zdałem do czwartej klasy. Ale nie żałuję. Po maturze, na studiach kontynuowałem swoją przygodę z końmi i filmami. Później miałem ponad 20 lat przerwy, aż przypadkiem zetknąłem się z grupą kaskaderów konnych Andrzeja Kostrzewy ze Słupna – Stunt Bros.pl. Jego grupa akurat przygotowywała się do rekonstrukcji z okazji 200-lecia bitwy pod Austerlitz. Przypadliśmy sobie do gustu i tak przygoda filmowo-podróżnicza trwała jeszcze przez lata.

NAPOLEOŃSKIE NAKRYCIE GŁOWY

Tzw. kapelusze stosowane, potocznie bikorn bądź piróg. Miały jednolitą formę, ale

nosiło się je w dwóch pozycjach: oficerowie młodszy, czyli od podporucznika do kapitana – wzdłuż głowy, powyżej majora aż do Napoleona – w poprzek.



NAPOLEOŃSKI MUNDUR WYJŚCIOWY...

...kapitana Pułku Lansjerów Legii Nadwiślańskiej, który obok Szwoleżerów Gwardii Cesarskiej był najsłynniejszym i najbardziej skutecznym polskim pułkiem w czasach napoleońskich.

BUTY

Bardzo wygodne. Huzarskie typu węgierskiego. Używane w armii napoleońskiej głównie przez formacje huzarów, ale także przez oficerów innych formacji lekkiej kawalerii, w zależności od dobrego munduru.





APARACIK
Już z tego wieku. Olympus Pen E-PL9.
Bardzo dobry, zakupiony za radą
Julity, koleżanki fotograf z redakcji.
Nabyłem go w Nowym Jorku w B&H.



PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY

Sprawdzony przez niemieckich
motocyklistów na wszystkich
frontach II wojny światowej i przeze
mnie podczas deszczowych dni.



LEKTURY

Czasem zabieram książki
nawiązujące do tematu wyjazdów.

Pierwsza pozycja autorstwa
Antoine'a de Bracka „Forpocztę
kawalerii lekkiej” opisuje, jak działała
kawaleria, i jest
instruktażem
dla oficera, jak
postępować
z żołnierzem,
np. gdy nie chce



mu przejść kącik po całonocnej libacji.

Druga książka – „Wolnym być” – to
wspomnienia Henryka Chorażaka, który
zasługuje na miano drugiego Pileckiego.

Autor planu powstania wileńskiego,
żołnierz AK, uczestnik kilkudziesięciu
bitew i ofensyw...

KOSMETYCZKA

Pamiątka z Afganistanu.
Będąc w bazie Bagram,
którą to Amerykanie tak
pospiesznie opuścili, kupiłem
sobie w sklepie dla żołnierzy kosmetyczkę
z nazwą operacji militarnej „Enduring Freedom”.



„PARASOL”

To mój koń rasy
wielkopolskiej, który mi
dzielnie towarzyszył ponad
dekadę. Obecnie przebywa
u przyjaciółki mojej
żony. Ma wymarzoną
emeryturę z ciepłą stajnią,
wspaniałym sianem
i opiekunką, która go
traktuje czule.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

SZABLA

Napoleońska,
z trzema
kablakami
ochraniającymi

dłoni. Dodatkowo rękojeść pokryta jest skórą płaszczy rai,
dzięki czemu spocona ręka mniej się ślizga.



PISTOLETY

Oryginalny pistolet
skalkowy z czasów
napoleońskich,
przełom XVIII/XIX w.

Poniżej – replika
późniejszego pistoletu używanego podczas powstania
listopadowego. W tej broni palnej zamek skalkowy został
zastąpiony kapiszonowym.



ŁADOWNICA

Na amunicję pistoletową. Wewnątrz
wyłożona była drewnem z otworami na
naboje. Obecnie – ponieważ raczej nie
używam ostrej amunicji – służy jako
doskonały schowek na smartfona.



SZCZOTKI

...wyciory, pokręta do czyszczenia
różnego rodzaju luf. To pokazuje, jak
niewygodna w czasach napoleońskich
była broń. Wymagała tylu akcesoriów,
żeby prawidłowo działać, a i tak
zdarzały się tzw. suche (ślepe) strzały.

OCHRANIACZE

Na łokcie i kolana. Przydały się
parę razy...



OGNIEM NA WPROST

Powrót Mickiewicza



Do armii amerykańskiej trafia psy uzbrojone w broń maszynową i nawet artyleryjską. Mają wspierać piechotę w atakach i piechotę morską desantowaną z okrętów na plażę. Pies będzie zdolny do oddawania precyzyjnych strzałów w najróżniejszych warunkach, zarówno w dzień, jak i w nocy. Broń umieszczona na grzbiecie może strzelać 6,5-milimetrowymi nabojami Credmoor. Jest to amunicja zdolna do neutralizacji celu oddalonego nawet o 1200 m. Co ciekawe, nie będzie problemów z organizacjami zajmującymi się ochroną zwierząt jak np. Animals, bo czworonóg jest w pełni zautomatyzowanym robotem. Wygląda pokracznie, jak karykatura dużego psa, który zamiast pyska ma lufę z kilkoma dziurami służącymi do wylotu śmiertelnych naboju. Robot wabi się Vision 60 i został zaprojektowany przez amerykańską firmę Ghost Robotics. Gdyby serial „Cztery pancerni i pies” kręcono dzisiaj, Szarik byłby jakimś androidem.

Ruszyły kolejne rosyjsko-białoruskie ćwiczenia wojskowe Sojusznicza Stanowczość 2022. Pierwsza odsłona już się rozpoczęła, ale ich zasadnicza część odbędzie się w dniach od 10 do 20 lutego. W jej trakcie będzie następować wzmocnienie odcinków granicy państwowej w celu uniemożliwienia nielegalnego wjazdu na terytorium Białorusi uzbrojonych grup, blokowanie kanałów dostaw broni, amunicji oraz innych środków, które można wykorzystać do destabilizacji sytuacji wewnętrznej. W ćwiczeniach mają wziąć udział rosyjskie jednostki ze Wschodniego

Okręgu Wojskowego. Jest to geograficznie najdalej położony od Białorusi okręg, leży w azjatyckiej części Rosji, i przemieszczanie stamtąd pododdziałów będzie kolejnym rosyjskim testem jednostek komunikacyjnych i logistycznych. Rosja ma też przegrupować do Białorusi dwa dywizjony wyrzutni rakiet przeciwlotniczych S-400 i dywizjon przeciwlotniczych zestawów rakietowo-artyleryjskich Pancyr-S. Na Białoruś zostanie przebazowana eskadra samolotów Su-35. Pod pretekstem ćwiczeń Kreml przygotowuje się na starcie z Ukrainą, a ich celem jest zbadanie przygotowania Mińska na ewentualny ukraiński kontratak. Paskudnie to wygląda. O ile Rosja zaatakuje to, jak sądzą analitycy, nastąpi to w najbliższym czasie.

Litewski Sejm uchwalił ustawę o pisowni nielitewskich imion i nazwisk, zezwalającą na ich zapis z użyciem alfabetu łacińskiego. Oznacza to, że będą uznawane także litery „w”, „q” i „x”, których w litewskim alfabecie nie ma. Ponadto dopuszczalne będzie stosowanie dwuznaków „cz”, „sz” lub „rz”. Polacy mieszkający na Litwie będą wreszcie mogli zapisywać w oficjalnych dokumentach swoje nazwiska po polsku. Ale nie do końca. Ustawa wyklucza bowiem możliwość używania znaków diakrytycznych: ą, ć, ę, ł, ń, ó, ś, ź, ż. Jeśli prezydent złoży podpis pod ustawą, wejdzie ona w życie 1 maja br. Decyzją tą parlament w Wilnie zrezygnował z polityki nazywania formalnie naszego wieszacza Adamusem Mickiewiczusem. Po ponad 30 latach Adam Mickiewicz wrócił na swoje miejsce.

Pani Weronika Sebastianowicz skończyła w tym tygodniu 90 lat. Jest pułkownikiem Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej w stanie spoczynku i mieszka na Białorusi. W czasie okupacji sowieckiej i niemieckiej była żołnierzem Armii Krajowej, została oficjalnie zaprzysiężona w wieku 13 lat. Wtedy też otrzymała pseudonim Różyczka. W 1945 r. została zaprzysiężona jako członek Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość i kontynuowała walkę w Obwodzie AK Wołkowysk należącym do Inspektoratu Grodzieńskiego AK do swojego aresztowania w dniu 7 kwietnia 1951 r. Ostatnie tygodnie przed zatrzymaniem ukrywała się. Krótko po wojnie został aresztowany jej ojciec, a kilka tygodni po niej samej także jej matka – również członkowie podziemia. Po uwięzieniu była torturowana. Wyrokiem z 22 sierpnia 1952 r. została skazana na karę 25 lat pozbawienia wolności, pozbawienie praw publicznych na pięć lat i konfiskatę mienia, ale wyrokiem z 13 lipca 1955 r. karę skrócono do 10 lat pozbawienia wolności. Ostatecznie wróciła z zesłania do Workuty w 1955 r. Gdy przebywała w łagrze, poległ jej brat Antoni, który wciąż walczył w WiN, a otoczony przez sowiecką obławę, popełnił samobójstwo. Pani Weronika została odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, otrzymała Nagrodę Międzynarodową IPN „Świadek Historii”. Ostatnio do swojej kolekcji dodała trofeum Semper Fidelis, przyznany również przez IPN. Prywatnie pani pułkownik jest przesympatyczną osobą, prawie zawsze uśmiechniętą, czego jej życzymy na następne 90 lat.

Andrzej Rafał Potocki

Sztuka na ulicach miast

Jesienią ub.r. przestrzeń niewielkiego parku w centrum Sopotu nabrała nowego charakteru za sprawą dwóch subtelnych pastelowych rzeźb. „Kolumna” wykonana z marmuru z Kotliny Kłodzkiej w swojej oszczędnej formie dyskretnie nawiązuje do przemian klasycznych architektonicznych stylów. Z kolei oniryczna „Kora – westchnienie dla Marianny” przypomina grecki posąg dziewczyny, tradycyjnie nazywany Kora, i odwołuje się do nazwy materiału, z którego wykonano rzeźbę – marmuru Biała Marianna z kopalni na Dolnym Śląsku. Wyłaniająca się z kamienia kobieca figura ma upamiętniać Mariannę Orańską, kontrowersyjną postać sprzed dwóch wieków, założycielkę kamieniołomów w Stroniu Śląskim, inicjatorkę budowy sieci górskich dróg oraz rozwoju gospodarki leśnej we wspomnianym regionie. Obie rzeźby to prace cenionej sopockiej artystki Ewy Beyer-Formeli, uczestniczki kilkuset wystaw krajowych i zagranicznych, 50 wystaw indywidualnych, zaangażowanej w młodości w odbudowę gdańskiej Starówki, pomysłodawczyni odbywających się przez ponad 30 lat plenerów rzeźbiarskich we Wdzydzach Kiszewskich.

W listopadzie przy Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi odsłonięto pomnik Haliny Szwarc-Kłab – łączniczki, kolporterki prasy, agentki wywiadu Polskiego Państwa Podziemnego. Aresztowanej w 1944 r., skazanej na karę śmierci, której uniknęła, uciekając z transportu więźniów. Po wojnie represjonowanej za przynależność do AK, ale aktywnej naukowo i społecznie (uzyskała tytuł profesora i zainicjowała powołanie Uniwersytetu Trzeciego Wieku). Autorem pracy jest łódzki rzeźbiarz Marcin Mielczarek.

W ramach obchodów 77. rocznicy likwidacji Litzmannstadt Ghetto przed łódzkim Centrum Dialogu umieszczono wzruszającą rzeźbę dłuta Mikołaja Smoleńskiego, zatytułowaną „Marzenie Abramka”, przedstawiającą szczupłą postać chłopca w za dużych butach, z książką uniesioną w dłoni, przypominającą papierowy samolot. Figura nawiązuje do wiersza Abrahama Koplowicza – małego więźnia Litzmannstadt Ghetto.

Od kilku tygodni nieopodal parku w Pcimiu można zobaczyć przejmujący pomnik ukazujący dumną, choć bosą, postać kobiety z koszem wypełnionym jedzeniem, która zdaje się na chwilę przysiadła odpocząć na konarze przewróconego drzewa albo zastygła, patrząc w dal w oczekiwaniu na swoje dzieci. Rzeźba ukazuje wizerunek Katarzyny Smreczyńskiej, gawędziarki, autorki opowiadań ludowych, a przede wszystkim matki Władysława Orkana, która zasłynęła za sprawą swojego macierzyńskiego poświęcenia. Przemierzała pieszo drogę z Poręby Wielkiej aż do Krakowa, aby dostarczyć synom jedzenie, by mogli zdobywać wykształcenie. Autorem pomnika jest Czesław Dźwigaj, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, autor licznych pomników w Polsce i za granicą.

Wymienione dzieła sztuki, które w ostatnim czasie znalazły się w plenerze w różnych częściach naszego kraju, to zaledwie kilka przykładów wdrożonego w zeszłym roku programu



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

„Rzeźba w przestrzeni publicznej dla Niepodległej – 2021”, który jest pierwszym w Polsce działaniem dotacyjnym poświęconym wyłącznie rzeźbie, finansowanym z budżetu państwa i realizowanym pod patronatem resortu kultury. W ramach pierwszej edycji programu sfinansowano 15 różnorodnych realizacji o wartości ok. 1,5 mln zł. Program, którego prowadzeniem zajmuje się Centrum Rzeźby w Orońsku, będzie kontynuowany także w 2022 r. Środki zostały zwiększone do 2 mln zł, a wnioski mogą być składane do 14 lutego. Celem wspomnianej inicjatywy jest podniesienie jakości przestrzeni publicznej w Polsce poprzez usytuowanie w niej większej liczby dzieł

o wysokim poziomie rzeźbiarskim. Działania objęte dofinansowaniem w ramach programu to: realizacja projektów współczesnych artystów odpowiadających na potrzeby lokalnych społeczności, konserwacja istniejących dzieł, wykup depozytów rzeźb gotowych, realizacja odlewów prac artystów polskich i zagranicznych w celu umieszczenia w przestrzeni publicznej – ze stałym, nieograniczonym dostępem dla publiczności. Program adresowany jest do samorządowych instytucji kultury oraz do jednostek samorządu terytorialnego.

REKLAMA



"Słowem dotykam świata"
ks. Marek Chrzanowski
i Weronika Ostrowska,
sobota, godz. 18.30

"Radość miłości"
Paweł Zuchniewicz
piątek, godz. 21.45

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

20122/F

Europa na wolnym ogniu gotowana

Jeszcze kilka lat temu, gdy niektórzy politycy w Polsce ostrzegali przed Rosją, byli zagłuszani lub atakowani jako „rusofoby”. Gdy podczas wizyty Lecha Kaczyńskiego, przy granicy z separatystyczną Osetią Południową, w pobliżu kolumny prezydenckiej padły strzały, Bronisław Komorowski żartował, że „jaka wizyta, taki zamach”, a gdy dwa lata później Jarosław Kaczyński rozesłał list do europejskich polityków o zagrożeniu imperialistycznymi zapędami Władimira Putina – ówczesny szef MSZ Radosław Sikorski w prymitywny sposób drwił, że prezes PiS pewnie jest „na proszkach”. Reprezentujący ówczesnego prezydenta RP minister Sławomir Nowak nazwał to działaniem niezgodnym z „racją stanu”.

Po latach okazało się, że to bracia Kaczyńscy i wszyscy ci, którzy jeszcze przed aneksją części Gruzji i Ukrainy ostrzegali przed Putinem, mieli rację. Podobnie jest z Niemcami. „Zapewne jestem pierwszym w historii ministrem spraw zagranicznych Polski, który to powie: mniej zaczynam się obawiać niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności”. Te słowa Radosława Sikorskiego, wypowiedziane w Berlinie w listopadzie 2011 r. po uruchomieniu



Samuel Pereira

gazociągu Nord Stream, idealnie oddają poziom uległości i naiwności, jaki niestety reprezentuje obecna opozycja. Zdrada czy głupota? Skutek dla Polski i Europy jest ten sam. A ich poddańcze nastawienie do Berlina się nie zmieniło i dziś oni nie przejmują się faktem niemieckiej zdrady wobec Ukrainy, Unii Europejskiej i NATO, tylko martwią się, „skąd tyle cierpliwości Niemców dla polskiego rządu?”.

Nie oszukujmy się, Niemcy źle prowadzą UE, podzielili ją, gotują na wolnym ogniu, a Putin robi, co chce. Płacą za to (choćby w cenach energii) Europejczycy, a Unia Europejska, która powstała jako silny sojusz wolnych państw, zamieniła się w organizację terroryzującą własnych członków. A sytuacja jest poważna.

Za cichym przyzwoleniem Niemiec Rosja szykuje agresję na Ukrainę, a Brytyjczycy, wysyłając Ukraińcom broń, lecą przez Polskę i muszą omijać Niemcy, które wcześniej blokowały zakupy sprzętu NATO dla Ukraińców. Co robią w tej sprawie zawsze tak proniemieccy politycy w Polsce? Milczą. Boją się czy czekają na rozkazy?

Autor jest szefem portalu tvp.info

Zacznij od nowa

Z Aleksandrą Kostką, prezenterką telewizyjną, współprowadzącą „Zacznij od nowa”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy od nowa można zacząć w każdym momencie?

Aleksandra Kostka: Jak najbardziej. Najważniejsza jest gotowość na zmiany. Odwaga, by podjąć wyzwanie. I determinacja. W każdym odcinku programu „Zacznij od nowa”, który współprowadzę z Kaliną Ben Sirą, pokazujemy, że ograniczeniem nie jest wiek, pochodzenie, miejsce, w którym się – życiowo – znajdujemy, czy charakter problemów, z jakimi się borykamy. Jeśli uczestnicy są pewni, że metamorfoza jest im potrzebna, to cały zespół – w tym specjaliści z zakresu medycyny i kosmetologii – a także my, prowadzące, jesteśmy gotowi, aby ich wspierać i motywować

w dążeniu do celu. A widząc, jak daleko zaszli, cieszymy się z nimi.

Pani też nieobce jest zaczynanie od nowa?

Owszem. Z wykształcenia jestem aktorką musicalową, a także pedagogiem wczesnoszkolnym.

Jakiś czas temu dla nowej, telewizyjnej

perspektywy zdecydowałam z rodziną, że na stałe zamieszkam w Warszawie. Nie mieliśmy gwarancji, że nam się uda w stolicy, ale podjęliśmy to wyzwanie. Aktorski warsztat – dykcja, poprawna polszczyzna, umiejętność opanowania tremy – z pewnością pomogły mi na nowej telewizyjnej drodze. Zmiana wyszła nam na dobre.

Kiedy i gdzie, poza kanałem TVP Kobieta, można oglądać program?

Premiery kolejnych odcinków nowego sezonu „Zacznij od nowa” (biorą w nim udział również panowie) odbywają się na antenie Dwójki w każdą niedzielę o godz. 11.05. Zapraszamy do oglądania! Nagrania są też dostępne na TVP VOD.





Mity o Pegasusie

Jeśli w tej sprawie powstanie sejmowa komisja śledcza, niewiele dowiemy się z jej prac, bo większość posiedzeń będzie się musiała odbywać w trybie tajnym. Już powstała komisja senacka, która zdążyła udowodnić, że nie zależy jej na wyjaśnieniu, lecz na podtrzymywaniu temperatury rzekomej afery. Mityczny Pegasus rozpala wyobraźnię publiki, dla opozycji staje się kolejnym paliwem do atakowania rządu. W służbach zaś załamują ręce – jak zawsze gdy dekonspiruje się ich pracę



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Jestem pewien, że historia i potomni podziękują tym, którzy zechcą tę sprawę wyjaśnić – senator Marcin Bosacki (KO) uderzył w mocno patetyczny ton podczas dyskusji przed powołaniem komisji nadzwyczajnej w izbie wyższej parlamentu. – Państwo, w którym służby specjalne mają wpływ na wynik wyborczy, przestaje być demokracją. Przestaje być własnością obywateli.

Trzeba wyjaśnić, czy tak się nie stało – powiedział ze śmiertelnie poważną miną. Po tem przez 20 minut przekonywał m.in., że Pegasus „to jest wielki brat, który może być wykorzystany do złych rzeczy przez złych ludzi”, że „to szpieg życia prywatnego” i że zebrane przez niego dane „są przesyłane natychmiast na serwery w Izraelu”. Dyskusji nie było, bo nie dopuszczał tego regulamin, ale były pytania. „Skąd pan to



Fot. Piotr Marek / EastNews

Już pierwsze posiedzenie komisji senackiej pokazuje, że nie mamy tu do czynienia z żadnym śledztwem, a raczej ze wzmożoną pracą na rzecz udowodnienia postawionej tezy o „aferze”. Na otwarcie zasewrowano nam kilkugodzinne wysłuchanie Johna Scotta-Railtona, pracownika kanadyjskiego instytutu Citizen Lab

wszystko wie?” – dociekał wicemarszałek Senatu z PiS Marek Pęk, podkreślając, że większość informacji na temat działalności służb jest tajna. „Skąd? To są ogólnie dostępne źródła. To są np. słowa naszego kolegi senatora Krzysztofa Brejzy, to są opinie prawników i autorytetów, którzy od kilku tygodni się w tej sprawie wypowiadają. To są oficjalnie publikowane komunikaty instytutu badawczego Citizen Lab z Kanady. [...] To są doniesienia medialne, ale też bardzo szanowanej w świecie organizacji Amnesty International” – kluczył Bosacki. Trzymając się zasady, że taka komisja powinna operować na faktach, a nie opiniach, to naprawdę niewiele, choć w stylu sowieckiej dezinformacji.

PYTANIA Z TEZĄ

Laboratorium Citizen Lab (sponsorowane m.in. przez Open Society Foundation George’a Sorosa) z Kanady (to zapewne przypadek, że przewodniczący Bosacki był w przeszłości ambasadorem RP akurat w tym kraju) podaje swoje ustalenia. Światowy rozgłos nadaje im agencja informacyjna Associated Press, potem cykl konferencji urządzają politycy polskiej opozycji. Zataczamy w tym momencie pełne koło,

bo na podstawie słów m.in. senatora Brejzy głos znów zabiera pracownik Citizen Lab John Scott-Railton, którego zaproszono do specjalnej debaty w TVN24 „Operacja Pegasus”. „Ten przypadek sugeruje, i to jest bardzo niepokojące, że prawdopodobnie możemy mieć do czynienia z podłożem politycznym tych ataków” – ekspert pozwolił sobie na bardzo nienaukową analizę swoich ustaleń. Poszedł jednak dalej, w rozmowie zażądał od Unii Europejskiej zbadania uczciwości wyborów w Polsce w 2019 r. Mówił o tym też wcześniej w rozmowie z portalem spidersweb.pl: „Jednym z kluczowych elementów demokracji jest

Już 10 lat temu wnioski do sądów o zezwolenie na kontrolę operacyjną były dość szczegółowe, miały po kilka stron, ale dziś to są wręcz książki, w których musimy opisać absolutnie wszystko. Sąd doskonale zdaje więc sobie sprawę, czy będzie to podsłuch w pomieszczeniu, czy np. inwigilacja telefonu – wyjaśnia funkcjonariusz CBA

przeprowadzanie sprawiedliwych wyborów. Te w wyniku wykorzystania Pegasusu budzą teraz w Polsce obawy co do swojego faktycznego przebiegu”. Scott-Railton mówi jak polityk. Jak polski polityk. Zaskakująco dobrze współbrzmi z opozycją. Przekazem ostatnich dni Donalda Tuska i jego podwładnych jest kwestionowanie także wyborów, które mają się odbyć w 2023 r. I dyskusja się toczy w najlepsze, już całkowicie w oderwaniu od tego, co wiemy na pewno.

Pojawienie się w tej historii George’a Sorosa, któremu ością w gardle stoją samodzielnemu myślowi w Europie Polska i Węgry, musi zapalać lampkę alarmową. To w zasadzie daje gwarancję, że jak w tym przypadku, cała „akcja” zyska międzynarodowy

wymiar, że ruszą natychmiast do ataku wszelkie organizacje „wolnościowe”. Jak choćby wspomniane Amnesty International. To międzynarodowa organizacja, która konsekwentnie atakuje polski rząd. W maju 2017 r. wraz z innymi NGO-sami (również tymi Sorosa) wystosowała apel, w którym wzywa do „podjęcia najsilniejszych możliwych środków, by przywrócić Polskę do funkcjonowania w zgodzie z prawem UE”, czego rezultatem miały być sankcje. We wrześniu ub.r. po „cyfrowym śledztwie” dowodziła, że „Polska naruszyła prawa uchodźców. [...] od tygodni w okrutny sposób przetrzymuje tę grupę ludzi na swojej granicy w przerażających warunkach”. Dziś AI stwierdza arbitralnie, że użycie Pegasusu „do zhakowania telefonów senatora Krzysztofa Brejzy, w czasie kiedy był on szefem kampanii wyborczej Koalicji Obywatelskiej w 2019 r.”. Zawsze na czasie, zawsze na froncie.

Wiedząc, że nie mają zbyt silnej broni, senatorowie Koalicji Obywatelskiej z uporem maniaka wracają do słów Jarosława Kaczyńskiego z niedawnego wywiadu dla tygodnika „Sieci”. Prezes PiS pytany o Pegasusu stwierdził, że „źle by było, gdyby polskie służby nie miały tego typu narzędzia”. To ma być wystarczająca podstawa, by powołać komisję. Inne słowa Kaczyńskiego z tej samej rozmowy jakoś nie są przywoływane:

„[...] to taki obszar aktywności państwa, w którym obowiązują reguły tajności, ja też nie mogę się szczegółowo wypowiadać na temat stosowanych w Polsce – w pełni legalnie – metod i technik ani potwierdzać takich czy innych domniemań”.

Ale może wcale nie o „fakty” tutaj chodzi, chyba że o te w TVN. To nie żart ani zabawa słowna. „Prace komisji powinny być energiczne, bowiem nie ma chwili do stracenia” – zaznaczał Bosacki. Rzeczywiście, jeszcze w dniu, w którym Brejza w Senacie mówił o „totalnej i permanentnej inwigilacji”, na pasku telewizji z Wiertniczej widniało hasło: „Totalna inwigilacja opozycji”, tyle że już bez cudzysłowu, nie jako cytat. Opinia błyskawicznie stała się faktem, który przez wiele kolejnych

dni był szczegółowo komentowany i potwierdzany. Dzień później było już o „masowym” podsłuchiwanie. Na Wschodzie to klasyka!

GROŹNA KOMISJA

Rozmawiamy z wieloletnim pracownikiem służb specjalnych. – Mówią o „nielegalnej inwigilacji”, zapisali to w nazwie komisji. Wyciągają przykłady u trzech osób: Romana Giertycha, Krzysztofa Brejzy i prokurator Ewy Wrzosek. A co będzie, gdy te działania okażą się legalne? Albo wręcz konieczne? Jedyne, co osiągną, to wysypanie sposobu działania służb. To groźne i skrajnie antypaństwowe – słyszymy.

Wicemarszałek Senatu Marek Pęk (PiS): „Czy nie uważacie państwo, że zakres prac tej komisji przekracza kompetencje Senatu, który nie ma uprawnień śledczych? Zamieniacie znów Senat w instytucję, która zamiast sprawami ważnymi dla Polaków, zajmuje się political fiction. Ta komisja jest po to, by udowodnić z góry postawioną tezę”. Właśnie dlatego politycy PiS nie biorą udziału w pracach, dwa miejsca na sali posiedzeń są puste i oznaczone tabliczką „wakat”. Zaproszenie na wysłuchanie dostali już pierwsi politycy PiS, m.in. Jarosław Kaczyński i Mariusz Kamiński, ale czy się zjawią? „Publicznie ustosunkuję się do zaproszenia komisji. Proszę o cierpliwość” – mówił w czwartek koordynator specsłużb.

Poza przewodniczącym Bosackim w komisji zasiadają Gabriela Morawska-Stanecka (Lewica), Michał Kamiński (PSL), Jacek Bury (Polska 2050), Sławomir Rybicki (KO), Magdalena Kochan (KO) i Wadim Tyszkiewicz (senator niezależny). Trudno odnaleźć w tym gronie fachowców od służb specjalnych, mimo to w jednym z wywiadów marszałek Tomasz Grodzki nazwał to grono „najlepszymi strzelbami w Senacie”. W debacie plenarnej podkreślał zaś, rekomendując go na przewodniczącego, „dziennikarską dociekliwość” Marcina Bosackiego. To były pracownik „Gazety Wyborczej”.

Rzeczywiście, już pierwsze posiedzenia pokazują, że nie mamy tu do czynienia z żadnym śledztwem, a raczej ze wzmoczoną pracą na rzecz udowodnienia

postawionej tezy o „aferze”. Na otwarcie zaserwowano nam kilkugodzinne wysłuchanie Johna Scotta-Railtona oraz Billa Marcza, pracowników kanadyjskiego instytutu Citizen Lab. Chwilami pytano ich o fakty, częściej jednak o opinie. „Czy to może stanowić dowód?”, „Czy według panów można wysnuć teorię, że to był atak polityczny?”, „Czy można po tym wnioskować, że...?”, „Czy można domniemywać, że...?”. Dużo w trybie przypuszczającym, za dużo.

POD OKIEM SĄDU

„Kogo będziecie słuchać? Siebie nawzajem?” – pytał przed powołaniem komisji senator Wojciech Piecha (PiS). To oczywiście zamierzona ironia, ale faktem jest, że pierwsi zaproszeni świadkowie

Politycy PiS z zakłopotaniem mówią, że są w niesprawiedliwej defensywie. – To niejawni obszar działania państwa. Oni mogą mówić cokolwiek, nawet kłamać, nas wiąże tajemnica – słyszymy

gwarantują komisji przekaz, który z powodzeniem wypełni wieczorne serwisy w sprzyjających opozycji mediach. – Popatrzcie, kogo słuchają i kogo dotyczy ta „afera” – zwraca nam uwagę jeden z polityków PiS. I wskazuje Krzysztofa Kwiatkowskiego (objętego prokuratorskimi zarzutami senatora niezrzeszonego, wcześniej m.in. ministra w rządzie Donalda Tuska, później prezesa NIK), Mariana Banasia (prezesa NIK na wojnie z PiS, z czekającym na rozpatrzenie wnioskiem o uchylenie immunitetu), Romana Giertycha (mecenasa, który przebywa za granicą, co uniemożliwia postawienie mu poważnych zarzutów) oraz Krzysztofa Brejzy (senatora KO, którego rola w tzw. aferze fakturowej w Inowrocławiu wciąż czeka na wyjaśnienie, na ten moment zarzutów nie ma). – Popatrzcie na to szerzej, ta komisja to zmowa osób, które chcą uniknąć odpowiedzialności – słyszymy.

Art. 17 ust. 5 ustawy o CBA mówi o formach dopuszczalnej w Polsce kontroli operacyjnej, oczywiście za zgodą sądu, i wymienia m.in. „uzyskiwanie i utrwalanie danych zawartych w informatycznych nośnikach danych, telekomunikacyjnych urządzeniach końcowych, systemach informatycznych i teleinformatycznych”. To właśnie ten przepis rozbija w pył opozycyjną narrację o „nielegalnym” pozyskiwaniu danych z telefonów.

Z praktyki doświadczonych oficerów służb wynika, że sądy wymagają bardzo szczegółowych uzasadnień konieczności wdrożenia takich metod. „W Polsce system nadzoru nad takimi działaniami należy do najbardziej rygorystycznych w Europie” – mówił Jarosław Kaczyński we wspomnianym wywiadzie dla „Sieci”. Słowa wicepremiera ds. bezpieczeństwa potwierdza pracownik służb, z którym rozmawiamy: – Już 10 lat temu te wnioski do sądów były dość szczegółowe, miały po kilka stron, ale dziś to są wręcz książki, w których musimy opisać absolutnie wszystko. Oczywiście podajemy również rodzaj planowanej kontroli, sąd doskonale zdaje więc sobie sprawę, czy będzie to podsłuch w pomieszczeniu, czy np. inwigilacja telefonu. Czasem jesteśmy dopytywani o mnóstwo detali, naprawdę trzeba więc przynieść coś konkretnego, by dostać tzw. przedłużkę – wyjaśnia nam funkcjonariusz CBA.

Zazwyczaj zezwolenie na kontrolę operacyjną wydawane jest na trzy miesiące. Senator Brejza twierdzi, że u niego ten okres był dwukrotnie dłuższy. Wszystko wskazuje więc na to, że sąd na jakiejś podstawie zgodził się na kontynuowanie pracy służb.

Czy w tym przypadku chodziło o użycie Pegasus? To wciąż tylko hipoteza, podobnie jak wiele „sensacji” w tej sprawie, kolportowanych przez polityków opozycji.

PEGAZY LATAJĄ PO ŚWIECIE

Pegasus jest oprogramowaniem stworzonym przez izraelską firmę NSO Group. To spółka założona w 2010 r. przez byłych funkcjonariuszy Mosadu oraz żołnierzy tajnej jednostki specjalnej nr 8200, będącej elementem wywiadu wojskowego. 8200 jest uznawana za jedną z najlepszych

na świecie jednostek specjalizujących się w kwestiach łączności, łamania szyfrów i walki cybernetycznej. Ludzie w niej wyszkoleni założyli co najmniej kilkadziesiąt firm działających w tym obszarze w skali międzynarodowej. Shalev Hulio, prezes NSO, w ub.r. został umieszczony przez „Jerusalem Post” w gronie 50 najbardziej wpływowych Żydów.

Pegasus to niejedyny narzędzie powstałe w NSO, ale z pewnością najbardziej znane w świecie. Ponieważ oprogramowanie jest uznawane przez władze w Tel Awiwie za broń, to rząd Izraela decyduje o tym, kto może z niego korzystać.

Jak wynika z dotychczasowych doniesień, Pegasus miał się znaleźć na wyposażeniu polskich organów ścigania w 2017 r. Zakupienie go uznano za niezbędne w XXI w. do ścigania przestępców, którzy wykorzystują zdobycze technologiczne do ukrywania swojej działalności. To zresztą rzecz zupełnie normalna – każdy zachodni kraj poważnie walczący z przestępczością korzysta z oprogramowania tego typu. – Myślicie, że Niemcy, Francuzi czy Amerykanie nie mają takich narzędzi? Trzeba być bardzo naiwnym, by uważać, że wobec tak dużego zagrożenia terroryzmem nie korzystają z możliwości włamywania się do urządzeń elektronicznych. Oczywiście, że je mają i z nich korzystają, to elementarz – słyszymy od oficera ze służb.

Kolejnym państwem, w którym najprawdopodobniej używa się Pegasus, jest Hiszpania. Według medialnych doniesień za pomocą tego oprogramowania miał być hackowany telefon katalońskiego polityka Rogera Torrenta. Gdy lokalni politycy oraz media podnieśli larum, rząd w Madrycie przekonywał, że nie ma dowodów na szpiegowanie Torrenta, nie potwierdzał korzystania z Pegasus i podkreślał, że każda ingerencja służb w telefon komórkowy obywatela odbywa się za zgodą sądu. Brzmi znajomo? Tak, bo standardem jest, że władze państw korzystają ze zdobyczy technologicznych w zwalczaniu przestępczości, a wszelkie szczegóły swoich działań trzymają w tajemnicy.

Polska opozycja wyszła z innego założenia. Najwyraźniej uznano, że jeśli można w jakikolwiek sposób ochronić swoich polityków bądź kluczowych współpra-

cowników, którymi interesuje się prokuratura, to warto się posunąć nawet do odslaniania metod pracy służb specjalnych. Za wszelką cenę próbowano zmusić rząd do przyznania, iż Pegasus został zakupiony. Dociskano polityków, rozbierano na czynniki pierwsze każdą wypowiedź w tej sprawie, nawet żartobliwą, robiono okładkowe artykuły w gazetach. Chodziło o próbę sklejenia polskich władz z tymi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Azerbejdżanie czy Bahrajnie, gdzie Pegasus miał służyć do walki z opozycją, a nawet planowania politycznych mordów (w Arabii Saudyjskiej).

Politycy PiS z zakłopotaniem mówią, że są w niesprawiedliwej defensywie. – To niejawni obszar działania państwa. Oni mogą mówić cokolwiek, nawet kłamać, nas wiąże tajemnica – słyszymy.

Jak się dowiadujemy, informacja o tym, że dane z Pegasus trafiają do Izraela, jest wyszana z palca. – Nie powiem wam, gdzie są serwery, ale wiedźcie, że tylko my mamy do nich dostęp – przekonuje nasz informator

Warto w tym momencie wrócić do lat 2014–2015, gdy pojawiły się doniesienia, że CBA kierowane przez Pawła Wojtunika kupiło od włoskiej firmy Hacking Team oprogramowanie służące do przejmowania kontroli nad telefonem. Reakcja rządu i służb była identyczna jak dziś. Niczego nie potwierdzono, odmówiono nawet informacji Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. HFPCz poskarżyła się do sądu, a ten skargę oddalił.

Jak skuteczne narzędzie zakupił Wojtunik? „Systemu użyliśmy ledwie kilka razy ze względu na problemy prawne, związane ze specyfiką jego działania. Sądy nie dawały zgody. Trojan działał bowiem totalnie, czyli ściągał dane urządzeń z całego osiedla, gdy nas interesował jeden mieszkaniec – ujawnia nam były funkcjonariusz

służby antykorupcyjnej”. To fragment publikacji z 2018 r. ze strony tvn24.pl.

Dziś Wojtunik porównuje korzystanie z Pegasus do „wyprowadzania czołgów przeciw demonstrantom” czy „użycia pałki wobec bezbronných kobiet”. Sam wyposażał CBA w tego typu narzędzia. Z tą różnicą, że w przypadku produktów Hacking Team pozyskiwane trojanem dane sływały na włoskie serwery. Inaczej niż w przypadku systemu Pegasus. Jak się bowiem dowiadujemy, informacja o tym, że dane z Pegasus trafiają do Izraela, jest wyszana z palca. – Nie powiem wam, gdzie są serwery, ale wiedźcie, że tylko my mamy do nich dostęp – przekonuje nasz informator.

„WYBORCZA” TROPI ESBEKÓW

Kolejny wątek tej sprawy, który wymaga wyjaśnienia, dotyczy pośrednika pomiędzy CBA a NSO Group. Chodzi o powstałą w 1990 r. spółkę Matic, zajmującą się bezpieczeństwem w sektorze IT, od lat współpracującą z policją i służbami specjalnymi. Jak ujawnił na Twitterze dziennikarz śledczy Jarosław Jakimczyk, to firma założona i do dziś kontrolowana przez ludzi peerelowskich służb. Jej wiceprezes Ewa Chabros-Chromińska przed 1989 r. przez 18 lat pracowała w SB, m.in. w wywiadzie cywilnym.

Sprawa rzeczywiście z pozoru wygląda na skandaliczną. Nawet pobieżne zapoznanie się z biografią ludzi z Maticu, a zwłaszcza Chabros-Chromińskiej, każe zapytać, jak to możliwe, że w państwie rządzone przez zdecydowanie antykomunistyczne ugrupowanie postanowiono współpracować z takim podmiotem.

Trop podjęła nawet „Gazeta Wyborcza”, która zwykle broni dawnych funkcjonariuszy czy współpracowników bezpieki. W tej historii jednak nieco zmienili front. Pieczolowicie opisali peerelowską biografię osób z władz Maticu (choć nie ustrzegli się błędów rzeczowych), nie oszczędzili nawet ojca Chabros-Chromińskiej. Skąd to nagłe zamilowanie do tropienia niechlubnej przeszłości? Ano stąd, by dowieść hipokryzji PiS, które ma korzystać z usług dawnych esbeków.

„GW” pomija jednak niektóre fakty. Gdy wspomina, że ostatni certyfikat dostępu

do informacji niejawnych firma dostała od ABW w 2019 r., milczy, iż to tylko przedłużenie poprzednio obowiązujących, a gładki fachowcości i bezpieczeństwa dla spółki wcale nie powstał za dobrej zmiany. Na stronie Matic znajdujemy m.in. certyfikat z 2014 r. dotyczący unijnych i natowskich informacji niejawnych, a także koncesję na produkcję i handel bronią wydaną 11 marca 2014 r. przez szefa MSWiA Bartłomieja Sienkiewicza.

Dziennik z Czerskiej nie dotarł też do kluczowej w tym wątku informacji. Otóż okazuje się, że Centralne Biuro Antykorupcyjne nie decydowało, kto będzie pośrednikiem przy zakupie Pegasusa. – Ta spółka została wskazana przez Izrael. CBA otrzymało więc ultimatum: chcecie nasz system, to zarobić musi przy tym Matic. Nie mieliśmy wyjścia, bo w tamtym czasie nie było lepszego, bardziej profesjonalnego i bezpieczniejszego narzędzia – mówi nasz informator. Jak dodaje, tak samo było ze szkoleniami z oprogramowania. Nie przeprowadzali ich ludzie Matica, lecz strona izraelska.

OSKARŻENIA BEZ POKRYCIA

I tak jest w niemal każdym wątku tej sprawy. Przy weryfikacji każdego okrzyku opozycji okazuje się, że rzeczywistość jest zupełnie inna.

„Wiem, że ujawnione przypadki inwigilacji Pegasusem to tylko urywek większej układanki, całego systemu kontrolowania opozycji przez ludzi Jarosława Kaczyńskiego” – mówił Interii Krzysztof Brejza. Okazało się jednak, że poza trzema osobami, wobec których (albo wokół których) toczą się prokuratorskie śledztwa, nikt inny nie był Pegasusem podsłuchiwany. Nawet Donald Tusk oddał swój telefon do analizy. Efekt? Ani śladu inwigilacji. W aparacie Grzegorza Schetyny? To samo. 4 stycznia wice-marszałek Sejmu Piotr Zgorzelski z PSL, mówiąc w Radiu Zet o Pegasusie, nazwał obóz władzy „zorganizowaną grupą przestępczą” i zapowiedział, że „na dniach” odda swój telefon do sprawdzenia, czy też był podsłuchiwany. Tydzień później dopytywany o to w TVP, kluczył, by ostatecznie poinformować, że „otrzymał informację o możliwości sprawdzenia telefonu”. I na tym koniec.

Według opozycji Pegasus miał być używany także wobec polityków Zjednoczonej Prawicy. Dowody? Jak na razie – brak. To tylko oskarżenie rzucone w eter.

Dzięki inwigilacji Brejzy PiS miało mieć pełną wiedzę o poczynaniach Koalicji Obywatelskiej w kampanii 2019 r. Jednak nikt z KO nie wskazał dotychczas na choćby jedno wydarzenie z przedwyborczego okresu, które miałyby o tym świadczyć.

Mówiono również, że Polska (razem z Węgrami) wypadła z listy państw, które mogą kupować oprogramowania typu Pegasus od izraelskich firm, z powodu wykorzystywania go do zwalczania opozycji. Jak było naprawdę? Oddajmy głos Piotrowi Niemczykowi, byłemu wiceszefowi wywiadu UOP, jednemu z ulubionych

Okazuje się, że CBA nie decydowało, kto będzie pośrednikiem przy zakupie Pegasusa. – Ta spółka została wskazana przez Izrael. CBA otrzymało więc ultimatum: chcecie nasz system, to zarobić musi przy tym Matic. Nie mieliśmy wyjścia – mówi nasz informator

ekspertów opozycji w sprawach służb specjalnych. Tak mówił w „Przeglądzie”: „Rzeczywistym powodem ograniczenia liczby krajów, które mogą korzystać z systemu, był konflikt USA z Izraelem [...] zaważyło stwierdzenie użycia Pegasusa do zhakowania telefonów kilkunastu wysokich rangą urzędników amerykańskiego Departamentu Stanu. W konsekwencji Departament Handlu USA nałożył embargo na produkty NSO Group. [...] Widać wyraźnie, że prawa człowieka są raczej listkiem figowym przy podejmowaniu decyzji. [...] Gdyby nie embargo amerykańskie, Ministerstwo Obrony Izraela nie skróciłoby listy państw dopuszczonych do stosowania Pegasusa z ponad 100 do przywo-

łanych 37”. A Polska by z niej nie wypadła. Dlaczego tak się stało? Niemczyk słusznie wskazuje na „czynniki polityczne”. A mało przychylna postawa obecnej administracji w Waszyngtonie wobec Budapesztu i Warszawy musi prowokować wnioski, że po prostu wykorzystano okazję, by ponownie uderzyć w rządy Orbána i Morawieckiego. I amerykańscy demokraci szczęśliwi, i Netanjahu, i Soros, i oplacani przez niego naukowcy z Toronto również.

CISZA PO SPECKOMISJI

Opozycja o tym wszystkim wie. A nawet wie dużo więcej. Dzień przed opisywaną na wstępie debatą senacką odbyło się posiedzenie sejmowej komisji ds. służb specjalnych poświęcone sprawie Pegasusa.

Dlaczego zasiadający w niej Adam Szłapka z KO, Marek Biernacki z KP i Maciej Gdula z Lewicy nie organizowali po posiedzeniu konferencji prasowych, by poskarżyć się na ukrywanie jakichś informacji, na unikanie odpowiedzi ze strony przedstawicieli służb? Bo wszystkiego się dowiedzieli. Z posłami spotkali się szefowie wszystkich specsłużb i wyczerpująco wytłumaczyli, do czego Pegasus jest im potrzebny.

Warto to podkreślić, bo z powyższej informacji wynika, że system nie jest na wyposażeniu wyłącznie CBA, ale korzystają z niego również inne służby, zarówno cywilne, jak i wojskowe, działające w najwrażliwszych obszarach – wywiadu i kontrwywiadu.

Cała „afera” jest dużo bardziej dęta, niż się komukolwiek wydaje. Celem opozycji jest ochrona skóry kilku osób, które zaplątały się w różnorakie problemy z prawem albo przynajmniej z uzasadnionych powodów znalazły się w zainteresowaniu organów ścigania. Uprawdopodobniły to sądy, każdorazowo zezwalając na ich kontrolę operacyjną. Cel oczywiście nie zostanie osiągnięty. Ale będą oplakane skutki dążenia do niego – dekonspiracja działań służb specjalnych, utrudnienie ścigania przestępców, podważenie zaufania do państwa i instytucji odpowiadających za jego bezpieczeństwo.

To dość wysoka cena rozdmuchiwania kolejnej sprawy, która na końcu okaże się hucpą.

MNIEJ SMOGU

Z BENZYNĄ EFECTA



ORLEN



MASY EMITOWANYCH CZĄSTEK STAŁYCH

Testy wykonano na różnych samochodach, a wyniki emisji mogą różnić się od rzeczywistych wyników w zależności od rodzaju pojazdu, jego kondycji, stylu jazdy oraz innych czynników. Podany poziom emisji zanieczyszczeń benzyny względem paliw odniesienia na podstawie badań wykonanych w cyklu WLTC w niezależnym Instytucie Badań i Rozwoju Motoryzacji BOSMAL Sp. z o.o. Szczegóły na orlen.pl.

Alfa Romeo
RACING



ORLEN

TITLE SPONSOR

Obleżenie PiS

Możemy być bliżej anarchii, a nawet buntu przeciw dyktaturze Tuska na opozycji niż poddania się Zjednoczonej Prawicy



STANISŁAW JANECKI

Choć rządzące Prawo i Sprawiedliwość znajduje się w stanie obleżenia właściwie od 2005 r., gdy po raz pierwszy zdobyło władzę, czyli od ponad 16 lat, obleganie ma różne etapy. W tym przypomina najdłuższe w historii obleżenie Ceuty (1694–1727), mocno ufortyfikowanego hiszpańskiego miasta portowego po afrykańskiej stronie Cieśniny Gibraltarskiej. I tak jak w XVII i XVIII w. wokół Ceuty zmieniały się wojska (oprócz tych sułtana Maroka Maulaja Isma'ila miasto chcieli zdobyć Anglicy), tak obecnie atakujący z Platformy Obywatelskiej są wspierani przez różne siły opozycyjne oraz odpowiedników zagranicznych najemników. Przed 300 laty i obecnie oblegający liczą na kłopoty wewnętrzne obrońców oraz na epidemię (w Ceucie wybuchła w 1721 r.). To histo-

ryczne obleżenie w sumie trwało 33 lata i nie doprowadziło do złamania obrońców. Skończyło się, gdy w 1727 r. zmarł sułtan Maroka i rozpoczęła się walka o sukcesję.

Nikt oczywiście tego nie życzy przywódcy obecnie oblegających, ale jego dalsza polityczna kariera w dużym stopniu zależy od efektów obleżenia. Może dlatego w strategii oblegania pojawiły się nowe elementy. Nowe jest wdrukowywanie opinii publicznej, że PiS trwale zmniejszyło poparcie do wielkości poniżej 30 proc. oraz że różnica między PiS a KO (PO) wynosi zaledwie kilka punktów procentowych i za chwilę proporcje się odwrócą. Druga nowość to wdrukowywanie społeczeństwu, że PiS (Zjednoczona Prawica) już właściwie się rozleciało albo jest blisko rozpadu wskutek

konfliktów wewnętrznych, nad którymi Jarosław Kaczyński nie panuje, a nawet nie jest w stanie zapanować. A nie jest m.in. dlatego, że – jak insynuuje uczestnicząca w obleżeniu „Gazeta Wyborcza” – Jarosław Kaczyński boi się postawienia przed sądem (zapewne specjalnym, bo kodeksowo to kompletna bzdura). Platforma, wspierana przez część pozostałej opozycji, dlatego nie ma żadnego pozytywnego programu, że wszystkie siły rzucono do oblegania PiS. Rzucono też siły z zagranicznego zaciągu, żeby – jak to mówiła niemiecka wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego Katarina Barley – Polskę „zagłodzić finansowo”. Donald Tusk, tak jak przed 300 laty Maulaj Isma'il, liczy na złamanie oporu obleganych. Ale efekt może być podobny do tego w pierwszej połowie



Fot. Piotr Molecki/East News

XVIII w. w północnej Afryce. Wskutek walk między siedmioma synami sułtana nastąpił upadek potęgi Maroka i zapanała anarchia. Po tym, co się obecnie dzieje w polskiej opozycji, widać, że też jesteśmy w przededniu anarchii, a nawet buntu przeciw dyktaturze Tuska na opozycji.

GRA NA SONDAŻE I ROZŁAM

Nowe w taktyce obłężenia podważanie sondażowej pozycji PiS odbywa się przede wszystkim poprzez „ustawianie” badania. Albo manipuluje się próbą, czyli pyta głównie mieszkańców dużych miast, gdzie PO ma przewagę, albo „podprowadza”. Wtedy pytania o poparcie dla partii poprzedzone jest kilkoma zdaniem wprowadzenia, w którym do-

minuje obraz powszechnej ruiny, drożyzny i masowego umierania ludzi na COVID-19. Oczywiście z winy rządzącego PiS. Wówczas pytany jest niejako zachęcany do ukarania winnych katastrofalnego (w podprowadzeniu) stanu rzeczy, czyli do niewskazywania PiS jako partii, na którą obecnie chciałby głosować, nawet mimo kwestionowania katastrofalnego obrazu. Takie sondaże wspiera, a jednocześnie na nie wpływa, obraz płynący z bardzo silnych antyrządowych mediów, w których katastrofa jest wszechobecna. A najważniejsze w tym obrazie jest umieranie ludzi na COVID-19. Taki sam obraz prezentuje zresztą Tusk, który szczególnie mocno „jedzie po trupach”, choć kiedyś się zarzekał, że „wołałby się nie urodzić”, niż robić takie rzeczy.

Chodzi o narzucanie takiego punktu widzenia, jakby PiS było już wyłącznie na ścieżce spadków poparcia i absolutnie nie było w stanie tego odwrócić, a dni tej partii u władzy były policzone. Ta taktyka jest już zresztą znana, bo była wykorzystywana przed wyborami w 2019 r. Wtedy nie zadziałała, jednak tym razem ma być inaczej. To „inaczej” wynika przede wszystkim z tego, że PiS rządzi już siódmy rok, więc powinien być niezdolny do zdobycia władzy na trzecią kadencję, skoro nawet PO to się w 2015 r. nie udało. Ponadto Tusk i spółka liczą na to, że nawet jeśli oni nie dadzą rady rządzącym, to zrobią to za nich pandemia (jej ofiary) oraz drożyzna (inflacja). Czyli zakładają, że jeszcze pod koniec 2023 r. (kiedy mają się odbyć wybory parlamentarne) będziemy żyć w pandemii i że inflacja nie zostanie zduszona. A niektórzy politycy PO wręcz tego oczekują, sądząc, iż inaczej nie uda im się odzyskać władzy. Nie zauważają przy tym, że liczą na nie-szczęście, cierpienie i biedę rodaków jako na ten czynnik, który pomoże im wreszcie dorwać się do rządzenia. Okropny wydźwięk moralny tej strategii nie ma najmniejszego znaczenia, gdyż nie spodziewają się, iż w ogóle zostanie zauważony, a tym bardziej oceniony.

W kwestii rozpadu Zjednoczonej Prawicy wyolbrzymia się przede wszystkim konflikt PiS z Solidarną Polską, który nie jest ani gorący, ani nie zagraża koalicji. Podobnie jak wy-

kreowany przez opozycyjnych polityków i sprzyjające im media nierozwiązywalny rzekomo konflikt między Jarosławem Kaczyńskim a Zbigniewem Ziobrą. W rzeczywistości sporne problemy między liderami i partiami koalicji rządzącej są fraszką wobec tego, co działo się w koalicji PO-PSL czy wcześniejszej koalicji SLD-PSL. W wypadku koalicji PO-PSL w trakcie wspólnych rządów doszło przecież do zmiany lidera PSL, koalicja SLD-PSL zaś rozpadła się w marcu 2003 r. Po wyjściu ze Zjednoczonej Prawicy Porozumienia Jarosława Gowina (zastąpiła ich Partia Republikańska Adama Bielana) koalicja nie jest zagrożona, mimo bardzo kruchej większości. I nie istnieje żaden fundamentalny konflikt Kaczyńskiego z Ziobrą. Konflikt jest kreowany między innymi plotkami o przymiarkach do zastąpienia Solidarnej Polski przez PSL jeszcze w 2022 r., choć nie ma po temu żadnych przesłanek. Sprzyjają temu wypowiedzi wpływowego polityka PSL Marka Sawickiego, który wręcz zaoferował zastąpienie partii Zbigniewa Ziobry w koalicji. Sprzyjają interpretacje powodów powrotu do czynnej polityki byłego premiera Waldemara Pawłaka (w roli szefa Rady Naczelnej PSL). To wszystko bajki mające zdemobilizować i skłócić elektorat Zjednoczonej Prawicy. Zupełnie odrębną sprawą są przymiarki do tworzenia koalicji po wyborach i tu różne nowe warianty są oczywiście możliwe, ale to zależy od rezultatów wyborów.

IZOLOWANIE JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO

W ramach strategii obłężenia opozycja i wspierające ją media wymyślają konflikty z tymi posłami, którzy po wyjściu Jarosława Gowina z koalicji głosowali razem z PiS. Przedstawia się większość jako faktycznie nieistniejącą. Do tego stopnia, że gdyby tylko opozycja chciała, byłaby w stanie przeprowadzić konstruktywne wotum nieufności. Ale nie chce: z powodu świadomości słabej organizacji i współpracy po jej stronie, albo celowo tego nie robi, bo czeka na ostateczne pograżenie się samych rządzących. A wtedy władza będzie leżeć na ulicy i wystarczy się po nią schylić.

W tym samym arsenale narzędzi obłężenia są wymyślone konflikty z prezydentem Andrzejem Dudą, szczególnie po jego wecie dla znowelizowanej ustawy medialnej. To zaklinanie rzeczywistości i nacisk na prezydenta, że gdyby opozycja przejęła władzę, to on miałby kłopoty, a nie ona. I wtedy może by łaskawie nie starali się o usunięcie prezydenta z urzędu, co jest niemożliwą do zrealizowania mrzonką, ale opozycja łączy się, że jako środek nacisku na głowę państwa zadziała. Owszem, są problemy w relacjach partii rządzącej z prezydentem, ale nigdy nie zagrażały one realizacji wspólnych celów, a Andrzej Duda nigdy nie dał opozycji nawet cienia nadziei, że pomoże w skróceniu kadencji czy zaakceptuje jakiś „rząd techniczny”. Tym bardziej że Andrzej Duda nie prowadzi żadnych działań w stylu Aleksandra Kwaśniewskiego, który doprowadził do rozbitcia SLD, zmusił do odejścia premiera Leszka Millera i doprowadził do powstania mniejszościowego rządu Marka Belki.

W ramach strategii obłężenia próbuje się wyizolować Jarosława Kaczyńskiego ze Zjednoczonej Prawicy, a nawet z PiS. Nasiliły się więc ataki na lidera całego obozu rządzącego, że to on jest winny wszystkiemu, co negatywne, z umiarem ludzi na COVID-19 na czele. Że jako wicepremier ds. bezpieczeństwa nic nie zrobił w sprawie zagrożenia ze Wschodu, choć faktycznie jest dokładnie odwrotnie (np. budowa muru na granicy czy alarmowanie najważniejszych przywódców państw i unijnych instytucji było przez niego wymyślone i jest forsowane). Nowe w tej strategii nie jest straszenie Kaczyńskiego sądami, lecz opowieści, jakoby się tego bał i zabezpieczeniu się przed takim wariantem podporządkował działania rządu oraz jego politycznego zaplecza. W ten sposób chce się wywrzeć nacisk na rządzących polityków, żeby się od swego lidera odcinali albo bojkotowali jego pomysły, bo może w ten sposób zasłużą na lepsze traktowanie w przyszłości. Opozycja i jej media zapominają tylko, że próby izolowania lidera PiS od zaplecza pojawiły się już w czasie pierw-

szych rządów PiS (2005–2007) i nigdy nie dały spodziewanych rezultatów. A są po raz kolejny podejmowane, gdyż opozycja, a szczególnie Tusk, trafnie zauważyli, iż przegrywają dlatego, że to Kaczyński jest liderem Zjednoczonej Prawicy. Z każdym innym mieliby łatwiej. Stąd podsycanie plotek o następcy Kaczyńskiego w roli lidera całego obozu

W kwestii rozpadu Zjednoczonej Prawicy wyolbrzymia się przede wszystkim konflikt PiS z Solidarną Polską, który nie jest ani gorący, ani nie zagraża koalicji

i wysyłanie go na polityczną emeryturę. Doszło do tego, że nawet Tusk gotów był przejść na emeryturę, jeśli by Kaczyński przeszedł razem z nim. Nic to nie dało, więc Tusk wrócił, ale nadal nie ma sposobu na Kaczyńskiego, mimo że obłężenie pod jego przywództwem jest coraz bardziej brutalne i bezwzględne.

DRUGA CEUTA?

Obok nowych elementów obłężenia PiS w grze są wszystkie dotychczasowe, czyli straszenie drożyzną, która wszystkich trwale zuboży. Inflacja, z winy PiS i prezesa NBP Adama Glapińskiego, ma być problemem jeszcze w roku wyborczym (2023), choć wszelkie poważne prognozy temu przeczą. Aktualne, a nawet nasilone jest straszenie skutkami Polskiego Ładu, który wszystkim ma podnieść podatki, a więc realnie również zmniejszy dochody. Aktualne jest straszenie blokadą środków unijnych dla Polski – nie tylko z funduszu odbudowy, ale też z budżetu na lata 2021–2027, co ma zahamować rozwój, zatrzymać inwestycje i uczynić z Polski peryferia UE. Wciąż w grze jest straszenie polexitem, ale tym razem

wymuszonym przez to, że Polska nie będzie realnie mieć żadnych korzyści z pozostawania w UE. No i bardzo brutalne formy przyjęło oskarżanie rządzących o niepotrzebne umiarnie ludzi w pandemii. Tusk nie tylko oskarża PiS i jego prezesa o śmierć ponad 100 tys. osób, lecz również straszy postawieniem przed sądami za przyczynienie się do tych zgonów. Ma to osłabić morale nie tylko w partii, lecz przede wszystkim w elektoracie PiS. A społeczeństwo ma na stanowisko wobec tych, którzy umiarnie nie zapobiegli. Ignorując przy okazji istotne pytania, np. takie, dlaczego także w Czechach umieralność jest wysoka, choć służba zdrowia oceniana znacznie wyżej niż w Polsce, a różne działania rządu w czasie pandemii były bardziej zdecydowane niż u nas.

W strategii obłężenia PiS pojawia się coraz więcej oskarżeń o zamiar sfalszowania wyborów, szczególnie po ujawnieniu sprawy Pegasus, choć system wyborczy za rządów PiS został tak zmieniony, że takie fałszerstwa nie są w ogóle możliwe. Ale Tusk powołuje „system kontroli wyborów”, żeby oskarżenia o fałszerstwa żyły i aby z tym smakiem walczyć. Na wyborców PiS wywierana jest presja w postaci zapowiedzi procesów (nawet pokazowych) nie tylko polityków PiS, lecz każdego, kto miał jakikolwiek udział w sprawowaniu różnych funkcji podczas rządów PiS czy wtedy w jakimkolwiek sposób skorzystał. Wymienione już elementy obłężenia wspiera pełna wrogość sporej części sędziów wobec rządzących, ich wyborców i sympatyków, co nieskutecznym czyni walkę z patologiami w sądownictwie oraz nie chroni rządzących przed niezgodnymi z prawem atakami. W Europie po wojnie nie ma przykładu tak otwartej wojny z demokratycznie wybranymi władzami państwa. W dodatku to obłężenie jest wspierane z zewnątrz. Tyle tylko, że efekt wcale nie musi zadowolić oblegających. To obłężenie może skończyć się tak jak 33-letnie obłężenie Ceuty w XVII i XVIII w. Czasem obłężenie bardziej niszczy bowiem oblegających niż obleganych. Szczególnie gdy stosują barbarzyńskie metody.

Stanowiska wszystkich stron w tym sporze są w zasadzie jasne, co wcale nie tak często zdarza się w realnej polityce. Platforma forsuje coś na kształt „modelu węgierskiego”, gdy idzie o przedwyborczą konstrukcję obozu obecnej opozycji – czyli jednolitą listę, bez oglądania się na symbolikę ideową, wizerunek czy typ elektoratu poszczególnych stronnictw opozycyjnych. To jest ten sam model, do którego od dawna nawołują najbardziej zaangażowane partynie po stronie opozycji media, a także profesory, aktorzy, literaci, działacze niedysydejszego KOD etc. Tyle tylko, że usilne apele i nalegania, w jakich wyspecjalizował się ostatnio Donald Tusk, mają charakter bardziej retoryczny niż polityczny. Szef PO chętnie „zaklina” liderów innych partii, wzywa ich do okazywania „postawy patriotycznej” albo zapowiada, że uda się do nich już wkrótce „na kolanach”. Ale zarazem jak ognia unika odpowiedzi na trzy podstawowe pytania polityczne: (1) Do których partii opozycyjnych adresowane są dokładnie jego apele? (2) Kto i w jaki sposób miałby ustalić kandydata na przyszłego szefa rządu? (3) Kto i w jaki sposób miałby rozdzielić wpływy na okręgowych listach wyborczych?

To właśnie zasadniczo różni model forsowany obecnie przez Platformę od „modelu węgierskiego”, gdzie Ferenc Gyurcsány, proponując całej opozycji wspólną listę (od nacjonalistów po radykalnych zielonych), jednocześnie proponował szczegółowy koncept odpowiedzi na trzy powyższe pytania. Sednem tego konceptu była idea antyorbánowskich prawyborów, które na Węgrzech, choć przyniosły opozycji także sporo perturbacji i niespodzianek, generalnie zakończyły się jednak sukcesem. Gdy idzie o polskie doświadczenia, to warto przypomnieć casus Mariana Krzaklewskiego, który co prawda mniej precyzyjnie, niż obecnie zrobili to Węgrzy, ale jednak, wzywając do budowy wspólnej listy AWS w roku 1997, skonstruował i przedstawił liderom partyjnym własny „algorytm” rozdziału partyjnych wpływów. Bez tego AWS by ani nie powstała, ani tym bardziej nie wygrała naonczas wyborów.

Spór o listy

*Usilne apele i nalegania
o wspólną listę wyborczą
opozycji, w jakich
wyspecjalizował się ostatnio
Donald Tusk, mają charakter
bardziej retoryczny niż
polityczny*



JAN ROKITA

PSL: DWIE LISTY, LEWICA: CZEKAMY

Najmocniej przeciwnie koncepcji jednolitej listy jest PSL, które z determinacją chwali własny model „dwóch list” antypisowskich: jednej wychylonej bardziej ku Kościółowi i wsi, drugiej – wielkomiejskiej i lewicowo-liberalnej.

Wedle Kosiniaka-Kamysza i Zgorzelskiego taka opozycyjna diada ma mieć bowiem tę istotną taktyczną przewagę nad jednolitą listą, że pozwoliłaby opozycji nie utracić na rzecz PiS elektoratu prowincjonalno-kościelnego, co nastąpiłoby zapewne, gdyby przedwyborczy wizerunek całego bloku zdominowały feministki, ateści, działacze gejowskie, a na domiar złego – liberałowie na modłę Trzaskowskiego.

Intelektualnie ten argument jest wątpliwy. Premia za jedność z d'Hondta musi być wyższa aniżeli tego rodzaju przesunięcia elektoratów, sięgające (wedle ostatnich badań Kantaru dla PO) 1 proc. zysku dla PiS i 1 proc. dla Konfederacji. Na dodatek koncept „dwóch list” jest w istocie wymysłem tyleż fikcyjnym, ile arbitralnym, gdyż zachwalający go działacze peeselowscy mogą – owszem – mieć wpływ na zbudowanie swojego, prowincjonalno-kościelnego segmentu takiej diady, ale nie będą

mieć żadnego wpływu na to, aby cała reszta opozycji, od Konfederacji, przez PO i Polskę 2050, aż po Nową Lewicę, skonstruowała wspólnie ów drugi segment. Nawet więcej: na pierwszy rzut oka widać, że taka idea wspólnego „drugiego segmentu” (nawet jeśli wyłączyć zeń narodowców) jest najzupełniej niedorzeczna. A to niestety oznacza, że niedorzeczny jest cały koncept „dwóch list”, będący raczej jakimś peeselowskim wyidealizowanym fantazmatem aniżeli realnym projektem politycznym.

W rankingu intensywności sprzeciwu wobec modelu jednolitej listy nieco poniżej PSL plasuje się Nowa Lewica. Włodzimierz Czarzasty, w przeciwieństwie do Tuska i Kosiniaka-Kamysza, nie forsuje żadnego własnego konceptu na to, jak opozycja miałaby pójść do następnych wyborów, ale co rusz wyraża sceptycyzm wobec idei jednolitej listy.

Powołuje się przy tym na złe własne doświadczenie z przeszłości. „Ja już byłem na jednej liście wspólnej w wyborach do europarlamentu – mówi – i ta lista z PiS przegrała”.

Szef Nowej Lewicy próbuje odłożyć wszelkie decyzje na odległy czas sześciu miesięcy przed wyborami. Można to zrozumieć, gdyż Czarzasty najbardziej chciałby być w 2023 r. suwerennym liderem własnej lewicowej listy wyborczej, by móc hipotetycznie stawiać w przyszłości warunki nowej centrolewicowej koalicji rządowej. Ale do takiego planu potrzebuje jakiejś takiej pewności w dwóch sprawach: (1) że jego liczni wrogowie na lewicy nie zdołają go do tego czasu pozbawić pozycji, (2) że jego partia nie ułokuje się trwale pod pięcioprocentowym progiem, na co ma spore zadatki. Na tę ostatnią, smutną dla Nowej Lewicy okoliczność jej szef chce zachować w zanadrzu wariant co prawda upokarzający, ale ratunkowy. Klęknę wtedy przed szefem PO (obok Millera, który w pozycji klęczącej przed Tuskiem pozostaje od dłuższego czasu), oferując mu wspólną listę. Tyle tylko, że chyba mało realistycznie zakłada, iż Tusk nie będzie mieć wówczas innego wyjścia, jak szeroko otworzyć polityczne ramiona przed Nową Lewicą.

Platforma ma bowiem silną pokusę, aby popracować nad wypchnięciem Nowej Lewicy z następnego Sejmu. Okoliczności są po temu sprzyjające, o ile tylko Tusk zabrałby się do takiego planu z inteligencją i determinacją. Odkąd Czarzasty połączył pragmatyczny SLD z grupą twardogłowych ideolożek od Biedronia, jego partia stała się niebezpieczna dla każdego potencjalnego partnera z racji posiadania nieprzejednanego skrzydła feministyczno-antyreligijnych fanatyków. O ile przynajmniej na czas wyborów Tusk jest w stanie zamknąć usta podobnej grupce w jego własnym obozie (nb. głównie rodem z nieboszczki Nowoczesnej), stosując znane metody brutalnej dyscypliny partyjnej, o tyle wiadomo, że twardogłowi z Nowej Lewicy zrobią mu w kampanii wyborczej na złość, byle tylko przeciągnąć całą opozycję na swoją ideologiczną stronę.

Tymczasem Tusk ma dziś całkiem dobre przesłanki, aby najpierw Nową Lewicę wepchnąć pod próg wyborczy, a potem odrzucić hold Czarzastego, składany w ostatniej chwili. Oto główne spośród tych przesłanek: (1) Czarzasty jest w swej partii ciągle ostro kontestowany, (2) ma wrogie media, a na łamach „Wyborczej” mianują go „seksistowskim narcyzem o mentalności dziewiętnastowiecznego biznesmena”, (3) istnieje fantastyczna grupa zależnych od Tuska dywersantów, gotowych zaprząć się do roboty na zgubę Nowej Lewicy, takich choćby jak Miller, Belka czy Rosati.

PO ma silną pokusę, aby wypchnąć Nową Lewicę z następnego Sejmu. Okoliczności są po temu sprzyjające, o ile tylko Tusk zabrałby się do takiego planu z inteligencją i determinacją

HOŁOWNIA: NIE MA MOWY

Polska 2050 – to formacja ciągle skazana na życie tylko jedną idée fixe: za żadną cenę nie dać się po cichu zassać Platformie! Podobnie jak niegdyś z Ruchem Palikota czy Nowoczesną, partia Hołowni co najmniej do wyborów 2023 r. pozostaje bowiem w sytuacji – rzecz by można – politycznej parazytologii, gdyż jej jedynym żywicielem jest dotychczasowy elektorat Platformy. Jeśli Polska 2050 zdobędzie w końcu własne głosy w prawdziwych wyborach, a nie tylko w sondażach, to być może okrzepnie i stanie kiedyś na własnych nogach. Jeśli jednak przed takim okrzepnięciem da się

zwabić Tuskowi na jakąkolwiek formę politycznej integracji, także w postaci wspólnej listy, to tym samym unieważni polityczny sens swojego powstania, którym przecież było oderwanie części wyborców od PO.

Dlatego właśnie Polska 2050 w rankingu intensywności sprzeciwu wobec jednolitej listy sytuuje się poniżej PSL i Nowej Lewicy. To znaczy – otwarcie kontestuje jednolitofrontowe wysiłki Tuska, ale mając na względzie sentymenty swego niepewnego, postplatformowego elektoratu, czyni to w taki sposób, aby pozostawiać zawsze jakieś otwarte drzwi. Dlatego choć

Hołownia nie brzmi w tej materii tak czysto jak Kosiniak-Kamysz albo Zgorzelski, to jego strach przed jakąkolwiek bliskością Tuska jest oczywiście nieporównanie większy.

I jeśli tylko w pewnym momencie Hołownia nie utraci instynktu samozachowawczego, to nie ma takiej siły, która byłaby go w stanie wciągnąć do przedwyborczej spółki z PO.

TUSK NA KOLANACH

Kiedy w lipcu ubiegłego roku Tusk ponownie stał na czele Platformy, przypuszczałem, że przychodzi z planem dokonania przebudowy kształtu sceny opozycyjnej. Czyli że jego celem nie jest po prostu ponowne podporządkowanie sobie stwo-

rzonej przezeń niegdyś partii, po to by raz jeszcze ustalić w niej własny porządek dziobania (zwasalizować jeszcze raz Schetynę, odsunąć Trzaskowskiego etc.), ale miękkie przeprowadzenie procesu rozpuszczenia PO w wielkim obozie centrolewicowej opozycji. Dlatego m.in. przewidywałem, że dla działaczy Platformy już wkrótce Tusk nie okaże się wcale przyjacielem, ale dręczycielem, który zmusi ich do wyrzeczenia się butnego poczucia monopolu na opozycyjność wobec PiS. Tego w gruncie rzeczy oczekiwał rozległy świat antypisowskich aktywistów: redaktorów, sędziów, aktorów, literatów, jak również cały szereg wiążących z Tuskiem swe nadzieje polityków europejskich.

Jeśli bowiem Tusk naprawdę tak bardzo chciał mieć jednolitą listę opozycji na wybory 2023, że gotów teraz prosić o nią nawet „na kolanach”, to najpewniejszą po temu drogą było szykowanie lepszej wersji neo-KOD, w którym granie pierwszych skrzypiec oddano by Trzaskowskiemu, Hołowni, Kosiniakowi, Czarzastemu (albo komuś innemu, silniejszemu politycznie z lewicy), z Michnikiem, Miszczakiem i Lisem na propagandowym zapleczu. Tusk odegrałby wtedy po raz ostatni w życiu jeszcze jedną kluczową rolę: kingmakera. Nikt poza nim nie miał w opozycji takiej politycznej siły, by choć spróbować podjąć się takiego dzieła.

Jednak obecnie zaczynam przypuszczać, iż latem 2021 r. myliłem się co do rozmachu zamierzeń Tuska. Wygląda na to, że z jakichś trudnych do zrozumienia powodów uznał on, iż bez nowej polityki, ale samym, z biegiem czasu coraz bardziej rozpaczliwym nawoływaniem złamie naturalną logikę rywalizacji partyjnej i zmusi wszystkich do uległości wobec własnych żądań. Prawdę mówiąc, to zupełnie irracjonalne zachowanie doświadczonego – wydawać by się mogło – polityka. Tak jakby liczył na jakiś cud albo moc jakiegoś czaru... A w demokratycznej polityce, owszem, czar może się czasem udać rzucić na wyborców, ale na litość boską – nigdy przecież na liderów partyjnych. 

Kiedy w lipcu ubiegłego roku Tusk stawał ponownie na czele PO, przypuszczałem, że przychodzi z planem dokonania przebudowy kształtu sceny opozycyjnej. Jednak obecnie zaczynam przypuszczać, iż latem 2021 r. myliłem się

Fot. Drop of Light/Shutterstock.com



IPN przechodzi do ofe

Pojawiło się tyle nowych zadań, że potrzebujemy dynamizmu i odwagi równie mocno jak wtedy, gdy IPN brał się za bary z niechęcią do prawdy o komunizmie

*Michał Karnowski, Andrzej Rafał Potocki i Marcin Wikło rozmawiają z dr. **Karolem Nawrockim**, prezesem Instytutu Pamięci Narodowej, byłym dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku*

W ostatnich latach do pierwszoplanowych zadań IPN, obok odsłaniania prawdy o niemieckich i sowieckich totalitaryzmach, o okresie komunizmu, doszła konieczność obrony prawdy o losie Polaków w XX w. Atak na tę prawdę raz słabnie, raz się nasila, ale jest prowadzony konsekwentnie i z jasnym celem zakłamania historii i przełożenia tego kłamstwa na politykę. W jaki sposób IPN może to zadanie wypełniać także w międzynarodowym dyskursie historycznym, w obiegu medialnym? Czy ma pan świadomość wagi tego zadania?

Karol Nawrocki: Mam pełną świadomość. Wiem, że w infrastrukturze państwa polskiego rola IPN w upominaniu się o prawdę o doświadczeniu Polaków w XX w. jest kluczowa. Nie ma drugiego miejsca w Polsce, a może i w Europie, gdzie byłoby tylu doskonałych, wykwalifikowanych historyków. Trzeba uderzyć się w piers i przyznać, że Instytut robił za mało

w sprawach międzynarodowych. Wdało się nieprawdziwe przekonanie, że nie damy rady, nie umiemy. Taki nasz, historyczny imposybilizm. Dlatego zacząłem moje urzędowanie od sprawdzenia, jakie mamy zasoby do tych celów, ilu naszych pracowników może podjąć takie wyzwania.

Jakie wyniki?

Okazało się, że mamy w Instytucie wielu ludzi, którzy są z jednej strony przygotowani merytorycznie do podjęcia dyskusji w kwestiach historycznych, a z drugiej posługują się językami obcymi na wysokim, profesjonalnym poziomie. I to nie tylko w papierach czy w piśmie, lecz w mowie, bo – jak wiemy – to nie zawsze to samo. Dlatego tę znajomość na moją prośbę sprawdzali ludzie, dla których te języki są językami ojczystymi. Wynik przeszedł moje oczekiwania. Oto np. w Białymstoku jest doświadczony pracownik znający doskonale współczesną historię i jednocześnie płyn-

nie posługujący się językiem obcym, którego nikt nie znał, nie wykorzystywał. Tworzymy dziś bazę naukowców i edukatorów, których będziemy mogli posłać w najdalsze zakątki świata, by w środowiskach obcojęzycznych bronili prawdy o Polsce i polskiej racji stanu. To dowód, że w tej instytucji drzemie wielka siła, ma ona wspaniałych ludzi. Jednak aby ich w pełni wykorzystać, IPN musi się zmienić.

Ustawę o powołaniu IPN uchwalono w 1998 r. Sugeruje pan, że organizacja trochę spoczęła na laurach?

Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, wpadamy w różne życiowe pułapki. Zmianę trudno sobie często wyobrazić, jeszcze trudniej ją wdrożyć. Ale to możliwe. Także w panów pytaniu pada przecież sugestia, że IPN ma przede wszystkim odpowiadać na ataki na Polskę. Moje cele są ambitniejsze. Nie chcę tylko reagować na słowa Obamy, Merkel, Putina i Łukaszenki czy zagranicznych mediów, chcę działać ofensywnie.



Pięknie brzmi, ale czy w tym kontekście, przy takiej presji, jest w ogóle możliwe?

Możliwe, możliwe. Przekonała mnie o tym akcja „Walka i cierpienie”, którą zorganizowaliśmy w czasie, gdy jeszcze kierowałem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Tygodnik „Sieci” o tym pisał, sprawa jest więc znana jego czytelnikom. Pokazaliśmy tę wystawę w 150 miastach na świecie, od Nowej Zelandii, przez Szwajcarię, po Węgry, wszędzie opowiadając o polskiej walce i cierpieniu w czasie wojny, wchodząc z tym przekazem także w media lokalne i społecznościowe. Ściągałiśmy lokalne elity, osoby wpływowe, opowiadaliśmy im o 1 i 17 września, o Katyniu i Auschwitzu. Wiemy z różnych nasłuchów i odsłuchów, że zostało to zauważone, choćby przez rosyjskie placówki dyplomatyczne. W IPN już jest zaprogramowana akcja w podobnym stylu, pod tytułem „Szlak nadziei”. Rozpisana na lata 2022–2025 opowieść o dziesięciu szlakach nadziei, którą nieśli narodom Europy żołnierze m.in. od generałów Maczka i Andersa. To dopiero początek. Stawiam przed IPN nowy, jasno określony cel: nie zamykać się tylko w kręgu Polonii, choć to ważne, nie ograniczać się do placówek dyplomatycznych, które są naszym natural-

nym, ważnym partnerem, ale wejść w krwiobieg społeczeństw, mediów, instytucji zagranicznych.

To cel i organizacja, ale jest też pytanie o treść. Sposób, w jaki ludzie się komunikują, ulega zmianie. W latach 80. szokował nas komiks o Holokaucie, w którym Polacy przedstawieni są jako świnię, dziś mamy tysiące klipów internetowych, umysłami rządzi kultura masowa.

Decydując się na podjęcie wyzwania, jakim jest kierowanie IPN, zadałem sobie pytanie, czy to jest możliwe. Bo wiem, że aby podjąć zadania, które panowie wskazują, konieczna jest głęboka reforma wewnętrzna, mocne szarpnięcie, czasami wręcz wstrząśnięcie organizacją. Musi być nowy podział zadań, nowe departamenty, nowi ludzie, nowy sposób rozliczania za wyniki pracy. Powołaliśmy już nowe biura: kontaktów międzynarodowych, wydarzeń kulturalnych, nowych technologii. Będą to jednostki wyspecjalizowane, pogłębiające stale swoje kompetencje, konsekwentnie realizujące postawione przed nimi cele.

Jakie zadania dostały te nowe struktury?

Biuro Wydarzeń Międzynarodowych ma sprawnie, z pewnością siebie i ofensywnie poruszać się w przestrzeni międzynarodowej, jego pracownicy mają łączyć najwyższe kompetencje historyczne z dobrą znajomością języków, obyciem w świecie, ambicją mocnego wejścia w międzynarodowy krwiobieg debaty. Ma też sprawnie monitorować, co się dzieje na świecie w sprawach nas interesujących. Znaleźliśmy już partnerów w Waszyngtonie, w ciągu pół roku otworzymy tam biuro, by być blisko amerykańskich elit politycznych. Biuro Wydarzeń Kulturalnych ma kreować spektakle, koncerty, także dla odbiorców zagranicznych. Drobnym przykładem: we współpracy z ambasadorami polskimi w ONZ i Nowym Jorku planujemy zaproszenie dzieci członków korpusu dyplomatycznego na spektakl teatralny w języku angielskim o niedźwiedziu Wojtku, ukochanym przez żołnierzy 2. Korpusu Polskiego.

A Biuro Technologii?

Ma konsekwentnie budować naszą markę w internecie, wśród ludzi korzystających z przestrzeni cyfrowej. W marcu zaprezentujemy grę komputerową, przygotowaną wraz z firmą zewnętrzną, o złamaniu szyfrów sowieckich przez Polaków w 1920 r. Postawiłem przed tym biurem także zadanie koordynacji baz danych IPN, byśmy mieli szybki dostęp do potrzebnych w danej chwili zasobów, byśmy precyzyjnie wiedzieli, co mamy, czego możemy użyć. W głębokim planie jest stworzenie avatarów i użycie sztucznej inteligencji w opowieści historycznej. Potrzebujemy na to kilku lat.

Co to konkretnie znaczą?

Zacznę od końca: jesteśmy w ostatnim momencie, kiedy jeszcze możemy spotkać, słuchać, uwiecznić świadków II wojny światowej. Za pięć, dziesięć lat odejdą niestety ostatni z nich. Mamy zarejestrowanych dla przyszłych pokoleń wiele świadectw, notacji, ale dzięki nowej technologii pojawia się szansa na coś więcej. Powstają na świecie projekty, które z wykorzystaniem właśnie sztucznej inteligencji i najnowszych technik cyfrowych pozwolą na stworzenie portretu takiej osoby w rozszerzonej rzeczywistości. Dzięki temu będzie można w przyszłości zobaczyć bohatera także w jego ludzkim wymiarze, porozmawiać z nim, jakby to było na żywo, nie tylko o historii, ale i o sprawach codziennych, o jedzeniu, o ukochanej kobiecie. Znaleźliśmy amerykańską firmę, która takie rozwiązania przygotowuje.

IPN wszedł także na scenę, pojawiają się koncerty. Skąd taka decyzja?

Uznałem, że musimy próbować docierać do odbiorców także drogą wydarzeń artystycznych. Stąd dwa miesiące temu odbył się pierwszy pełnoformatowy koncert zorganizowany przez Instytut, transmitowany przez Telewizję Polską. Zatyłkowaliśmy go „Po co nam wolność”, nawiązywał do rocznicy wprowadzenia stanu wojennego. Chcę, by śpiewali dla nas nie tylko bardowie, lecz i ludzie prezentujący nowoczesne nurty muzyczne.



Fot. Andrzej Świerczyński

Musimy walczyć także o tych, którzy teraz nas nie widzą, do których nie docieramy. Zapowiadałem to w procesie wyboru na prezesa. Mówiłem, że IPN nadal będzie tam, gdzie jest jego zasadnicza misja, w lustracji, badaniach naukowych, ściganiu zbrodni, ekshumacjach, tablicach memoratywnych, wystawach, uroczystościach, książkach, filmach dokumentalnych. Ale będziemy też wszędzie tam, gdzie jest jakikolwiek margines dla opowieści o historii, na scenie, w przestrzeni miejskiej, w klubie muzycznym, na stadionie i w kawiarni.

Wiemy, że objechał pan terenowe delegatury IPN. Jak wypadł ten sprawdzian?

Muszą panowie pamiętać, że przez pięć lat byłem szeregowym pracownikiem Instytutu, a potem przez trzy lata naczelnikiem oddziału w Gdańsku. Znam tę instytucję, jej słabe i dobre strony, ale oczywiście nie wszystkie zakamarki. Wielkim wsparciem jest dla mnie wiceprezes IPN Mateusz Szpytma, który pracuje tu od początku, współpracował z wszystkimi prezesami i ma genialną pamięć. Korzystam z jego wsparcia, by nie wyważać otwartych drzwi ani nie wchodzić na zdradliwe kładki. W czasie objazdu struktur IPN szukałem przede wszystkim odpowiedzi na pytanie, jak je zdynamizować, jak przepędzić ducha zurzędniczenia, naturalnego po tylu latach, a przywrócić tę trochę rewolucyjną energię z pierwszej dekady. I chyba wiem, jak to zrobić, wiem, gdzie są gorące serca do tej pracy, a gdzie urzędowanie od 8 do 16 i marazm. Dostrzegam ciekawą prawidłowość: im mniejsza struktura,

tym lepsza praca, więcej odwagi i dynamizmu, na przykład w Olsztynie, Opolu. Zaprzeczeniem tej reguły jest jednak duży oddział w Krakowie – oni są tacy sami jak 15 lat temu. Tylko lepsi, bardziej doświadczeni.

Co się wydarzyło w Lublinie? IPN pożegnał się tam ze Sławomirem Poleszakiem, w jego obronie stanęły media związane z obozem III RP.

Lublin z różnych perspektyw wyglądał na jeden ze słabszych oddziałów. Analizy dały obraz organizacji skonfliktowanej, która zgubiła cel i świadomość tego, czym jest IPN. A co do dr. Poleszaka, to chyba żaden szef żadnej jednostki publicznej czy nawet firmy nie mógłby tolerować sytuacji, w której jego pracownik zakłada portal tę instytucję krytykujący. Nie ma to nic wspólnego z poglądami czy pracami historycznymi. W IPN są ludzie chodzący dumnie z mieczkami Chrobrego w klapie marynarki i tacy, którym bliższa jest tradycja PPS. I to się nie zmienia, ale lojalność wobec instytucji musi być zachowywana.

Rozumie pan, co się stało w sensie ideowym z dr. Poleszakiem? Zaczynał od fascynacji ostatnim wyklętym Józefem Franczakiem „Lalkiem”, by potem głosić tezy o zbrodniach wyklętych, atakować IPN. Skąd takie pogubienie, nie tylko w tym przecież przypadku?

Odpowiem ogólnie: brak egzekwowania standardów i pracy zawsze źle się kończy. Za tym zawsze idzie rozprężenie. Po przyjeździe tutaj postanowiłem uporządkować sprawę innych miejsc pracy pracowników IPN. Okazało się, że ok. 700 osób z 2,5 tys. ma dodatkowe

zajęcia. 90 proc. z nich otrzymało zgodę na kontynuowanie tego. To często prace naukowe na uczelniach, budujące prestiż IPN. Ale były i sytuacje patologiczne, gdy dana praca była sprzeczna z misją naszej instytucji. Byli ludzie, którzy za pieniądze Instytutu jeździli po konferencjach naukowych na całym świecie, ale nie reprezentowali tam IPN. Dziś mamy pełną bazę takich podwójnych czy nawet potrójnych zatrudnień.

Ale podkreślam, tu chodzi tylko o elementarną lojalność wobec IPN, nie ma to nic wspólnego z wolnością badań naukowych, która jest zasadą dla nas podstawową. Dr Poleszak ma prawo pisać o Żołnierzach Wyklętych to, co mu wychodzi z badań. I każdy inny historyk, czego dowodzą różne prace ukazujące się w IPN, choćby na temat Romualda Rajsa „Burego”. To przecież byli ludzie z krwi i kości, po sześciu latach okrutnej wojny, ścigani, mający świadomość, co się dzieje z ich towarzyszami walki w katowniach ubeckich, nie wszyscy pozostali aniołami. Być aniołem pokoju w czasie okrutnej, niezawinionej wojny to bardzo trudne.

Można postawić tezę, że ten duch rewolucyjny się wyczerpał, bo pierwsze zadanie – odślonięcie prawdy o PRL – zostało wykonane. Nawet postkomuniści nie mogą już opowiadać bzdur, że PRL był fajny, ludowy i wesoły, jak w filmach Barei, a esbecy fałszowali masowo akta.

To prawda, ale pojawiło się tyle nowych zadań, że potrzebujemy dynamizmu i odwagi równie mocno jak wtedy, gdy IPN brał się za bary z niechęcią do prawdy o komunizmie. Zmieniło się też otoczenie. Minęło ponad 20

lat! Przyszły nowe pokolenia i jako ojciec trójki dzieci widzę, ile pracy musimy włożyć, by zainteresować je historią. Nie możemy się obrażać na rzeczywistość, na to, że przeciętny nastolatek spędza w świecie wirtualnym tyle samo czasu lub więcej niż w tzw. realu. Od początku jasno mówiłem o konieczności zmian i cieszę się, że ta dość radykalna wizja, którą zaprezentowałem, została przyjęta. Wy magało to mądrości i pewnej odwagi, zaryzykowania od tej części klasy politycznej, która mnie poparła. Nie ukrywałem, że przeprowadzę w Instytucie rewolucję organizacyjną, pozostając jednocześnie wierny celom ustawowym. Wierny naszej misji.

Jak do tej wspomnianej przez pana młodzieży możemy dotrzeć? Jest w ogóle na to szansa?

Obiecuję, że spróbujemy z całych sił. Trzeba zacząć od podstaw, dlatego przeprowadzamy właśnie solidne, pogłębione badania socjologiczne mające dać obraz wiedzy, pamięci i potrzeb historycznych także młodego pokolenia. „Diagnoza pamięci narodowej w roku 2022” – tak to wstępnie nazwaliśmy.

Co do młodzieży, nie obawia się pan, że wyjdzie nieciekawym obraz?

Może nie będzie tak źle, jest dużo wspanialej młodzieży. A poza tym musimy stanąć w prawdzie i brać się do tego zadania. I znowu, nawiązując do wcześniejszego wątku, okazało się,

że mamy tuż przy Instytucie doskonałego specjalistę od takich badań, który wiele lat pracował nieodkryty.

A kadry? Nie zaprzeczy pan, że przyszedł za panem z Gdańska spory desant. I to nie tylko historyków.

Nie zaprzeczę, że poprosiłem współpracowników z Gdańska, ludzi, których znam i cenię, by mi pomogli. A że nie tylko historycy? Odpowiem tak: świetnych historyków tu, w IPN, nigdy nie brakowało, deficyty dotyczyły organizacji, zarządzania. Potrzeba też świeżej krwi, innego spojrzenia, czasami skutecznej presji na osiąganie celów. Choćby kwestia dystrybucji naszych książek, którą trzeba radykalnie polepszyć, a także drukować mniej jednych pozycji, więcej innych. Wejść w nowe nośniki.

Gdzie sprawdzian wypadł dobrze? Jakies pozytywne zaskoczenie?

Mamy doskonałych naukowców, świetnie pracuje archiwum, wychodzą doskonałe publikacje, wiele fascynujących pozycji w planie wydawniczym. Pewnie panów zaskoczą jeszcze jedną uwagę: wiąże pozytywne nadzieje z Komisją Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu.

Czyli pionem śledczym IPN.

Jestem po przeglądzie tego obszaru, po wielu rozmowach i chyba jest wzajemne zrozumienie. Stawiam w rozmowach z dyrektorem Komisji

Andrzejem Pozorskim, z którym się dobrze współpracuje, sprawę jasno: jeśli ten pion ma nadal być w IPN, jeśli ja jako prezes mam brać za to odpowiedzialność, to muszą być efekty. Śledztwa w sprawach zbrodni komunistycznych i niemieckich muszą być prowadzone energicznie, skutecznie, sprawnie. Wierzę, że za jakiś czas wszyscy to zobaczymy. A jeżeli nie, to być może – jeśli będzie wola większości parlamentarnej – trzeba będzie pomyśleć o korekcie ustawowej, trzymanie pionu śledczego w IPN dla pozorów nie ma sensu. Statystyka, w której wszystkie sprawy dotyczące zbrodni komunistycznych z lat 80. są umarzane z powodu niewykrycia sprawców, jest dla mnie jako człowieka logicznie myśiącego i z pewnym doświadczeniem życiowym nie do zaakceptowania. Usłyszał to każdy prokurator, z którym się spotkałem. Chcę, by do części spraw wrócono. Ja fikcji firmowałem nie będąc i wszyscy prokuratorzy to wiedzą.

Prof. Andrzej Zybertowicz powiedział niedawno, i to się odbiło szerokim echem, że IPN jest instytucją współodpowiedzialną za brak rozliczenia sędziów. Twierdził, że tak ważna publikacja, jak „Resortowe dzieci” powinna zostać opracowana przez profesjonalnych badaczy z IPN, którzy zostaliby do tego zainspirowani przez kierownictwo Instytutu, a nie dziennikarzy.

Uważam, że pan profesor ma rację.

Najnowsza książka Sławomira Kopra

Tajemne życie autorów książek dla dzieci

Jakie sekrety kryją biografie
autorów książek dla najmłodszych?

KSIAŻKA
DO KUPIENIA NA:
WWW.XLM.PL



Czy rozliczanie takich sędziów będzie możliwe po ewentualnej likwidacji Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego?

Mam duże wątpliwości. Pewnie znowu środowisko skupi się na wzajemnej ochronie. Dziś Izba Dyscyplinarna zajmuje się takimi sprawami natychmiast i uczciwie. Dziś to priorytet dla naszych prokuratorów. Sędziowie, którzy splamili się skazywaniem Polaków walczących o wolność, nie powinni orzekać w wolnej Polsce.

Takim trudnym tematem są też prace poszukiwawcze i ekshumacyjne na terenie obecnej Ukrainy. To chyba dobry moment, by do sprawy mocno wrócić?

Z politycznego punktu widzenia chyba niestety najgorszy moment. Ukraina znajduje się w stanie wojny i mobilizacja wszystkich sił patriotycznych, także tych poczuwających się do tradycji UPA, jest tam priorytetem. Jednak jako prezes IPN stoję na straży umożliwienia nam spełnienia obowiązku, który jest oczywisty w świecie cywilizacji zachodniej: godnego pochówku naszych rodaków, naszych ofiar i bohaterów. Obecna blokada badań i ekshumacji jest trudna do zaakceptowania, jest sprzeczna z wcześniejszymi ukraińskimi deklaracjami. Wierzę, że mimo wszystko uda się doprowadzić do przełomu – walczymy o to.

Te prace realizuje Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN kierowane przez prof. Krzysztofa Szwagrzyka. Jak widzi pan przyszłość tego obszaru prac Instytutu?

To jest bardzo ważna część Instytutu, integralna część instytucji. Na ten sukces pracuje wielu ludzi w całej Polsce i cieszą mnie ambitne zamierzenia na ten rok, prace w Polsce, w Gruzji. Dziś największym problemem są identyfikacje odnalezionych. W okolicach 1 marca usłyszymy nazwiska kolejnych bohaterów, wśród nich, mam nadzieję, podjętych z „Łączki” na Powązkach Wojskowych w Warszawie. Wyma-

gało to dużego wysiłku, ale ten cel wydaje się realny.

Co dalej z tym miejscem? Jest szansa na inne upamiętnienie, bo obecnie, oschły w formie Panteon-Mauzoleum postawiony w końcówce kadencji prezydenta Komorowskiego, nie wydaje się najlepszą formą upamiętnienia.

To jest cmentarz komunalny, miejski. Byłem w tej sprawie u prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego z pytaniem, czy miałby coś

Tworzymy dziś bazę naukowców i edukatorów, których będziemy mogli posłać w najdalsze zakątki świata, by w środowiskach obcojęzycznych bronili prawdy o Polsce i polskiej racji stanu

przeciwko, byśmy zajęli się sprawą „Łączki”. Jest otwarty na rozmowę, teraz, w ślad za rozmową, występuję z oficjalnymi prośbami w tej sprawie. Samo Mauzoleum powstało za sprawą Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W IPN są plany budowy drugiego skrzydła Panteonu. Wszystko to musimy zebrać w całość, wypracować koncepcję, pamiętając, że IPN nie jest właścicielem ani terenu, ani Mauzoleum.

Agdyby pan mógł zdecydować, jak to miejsce powinno być urządzone? Coś na kształt cmentarza Orłąt Lwowskich, oczywiście w mniejszej skali?

Nie mam wątpliwości, że to miejsce powinno wybrzmiewać mocniej, być urządzone w sposób pokazujący jego wyjątkowość.

Co dalej z innym ważnym miejscem, które jest wielką szansą na budowanie świadomości narodo-

wej: Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL? Powstało przy nim ważne środowisko, skupione wokół dyrektora Jacka Pawłowicza i Zofii Pileckiej. Muzeum przejął IPN. Co planujecie?

Obecne rozwiązanie to spory sukces legislacyjny, dający szansę temu miejscu. Mam wielkie uznanie dla polskiej klasy politycznej, najpierw za przekazanie przez Ministerstwo Sprawiedliwości tego gmachu, a następnie, gdy pojawił się impas w dalszej budowie muzeum, ponadresortową (MKiDN)

decyzję o oddaniu sprawy IPN. To dowód prymatu troski o historię nad rozważaniami politycznymi. Dziękuję za to wszystkim posłom i senatorom, których historia znów połączyła. Jesteśmy gotowi podjąć się tego zadania. Jeżeli tylko dostaniemy konieczne na to finanse, w ciągu kilku lat powstanie tam jedno z najważniejszych muzeów w Polsce. Ta budowa to wielkie i skomplikowane przedsięwzięcie. Widzę to zatem tak: wszystko, co tam zostało merytorycznie wypracowane, będzie nadal funkcjonowało, musimy dołożyć sił organizacyjnych.

Rozpocząć proces inwestycyjny, dobrać do tego odpowiednich ludzi. Planowałem trwającą inwestycję na Westerplatte, wiem zatem, o czym mówię. Finałem ma być wspaniała placówka odwiedzana przez pół miliona ludzi każdego roku.

Na koniec zapytamy o wątek nieco bardziej współczesny, na styku PRL i wolnej Polski: jak establishment komunistyczny przekuwał pozycję w aparacie władzy na majątki, pozycję społeczną i wpływy w wolnej Polsce? Czy IPN może to zbadać?

To jest na granicy zakresu naszych działań określonych ustawą, ale jest możliwe. Właśnie powołaliśmy projekt badawczy dotyczący okresu transformacji. Zgadzam się z prof. Zybertowiczem, że jeżeli jest jakiś strukturalny błąd w działalności IPN, to zaczęcie badań od lat 40. i 50., a nie od lat 80. – ważnych dla życia politycznego III RP. Jest co robić.



Covid zostaje z nami

Eksperci coraz częściej kreślą ten sam scenariusz. Wirus SARS-CoV-2 złagodnieje i zostanie z nami na lata. Wbrew pozorom, to dobra wiadomość



DOROTA ŁOSIEWICZ

Minister zdrowia Adam Niemiński ogłosił, że w Polsce rozpoczęła się piąta fala pandemii. Eksperti i lekarze przewidują, że choć wariant omikron jest łagodniejszy w przebiegu, to jednocześnie bardziej zaraźliwy, więc chorować będzie bardzo dużo osób. Stąd poziom hospitalizacji

i zgonów może być bardzo wysoki. Jednak jeśli uważnie rozejrzemy się po świecie i posłuchamy, „co w covidzie piszczy”, to przy odrobinie optymizmu może uda się dojrzeć pierwsze jaskółki zwiastujące zbliżający się koniec epidemii.

WIRUS ŁAGODNIEJE?

Albert Bourla, prezes koncernu farmaceutycznego Pfizer, w wywiadzie dla francuskiej stacji telewizyjnej BFM TV zawyrokował, że koronawirus przez wiele lat będzie „zjawiskiem powszechnym”, a fala związana z mutacją omikron powinna być ostatnią, z którą wiąże się tak liczne ograniczenia. „To wirus,

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com



który rozprzestrzenił się na całym świecie, więc bardzo trudno się go pozbyć” – twierdzi Bourla. Zdaniem prezesa koncernu w przyszłości nie będzie już tak wielu ograniczeń, ponieważ szczepionki i leczenie okazały się skuteczne. Podobnego zdania jest Anthony Fauci, główny doradca Białego Domu ds. medycznych. Fauci powiedział w trakcie spotkania z waszyngtońskim think tankiem CSIS, że nie ma możliwości wyeliminowania COVID-19 z życia społeczeństwa. W jego ocenie USA zbliżają się do momentu, w którym przejdą do nowej normalności – życia z koronawirusem. Tak samo uważa Bill Gates. „Kiedy osłabnie fala COVID-19 napędzana obecnie omikronem, występować będzie znacznie mniej przypadków. Koronawirusa będzie można prawdopodobnie traktować jako sezonową grypę” – ocenił współzałożyciel Microsoftu, miliarder w twitterowej wymianie opinii z szefową ds. globalnego zdrowia publicznego Uniwersytetu w Edynburgu prof. Devi Sridhar.

Także w Polsce naukowcy rysują podobny scenariusz. „Wszystko wskazuje na to, że omikron zmierza w sposób naturalny do zakończenia pandemii: większa zakaźność i mniejsza zjadliwość” – mówił w Polskim Radiu 24 szef Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie prof. gen. Grzegorz Gielera. Naukowiec przypomniał także, że jeżeli chcemy się ochronić przed ciężkimi skutkami zakażenia omikronem, warto przyjąć dawkę przypominającą szczepienia przeciw COVID-19.

– Zaczynamy obserwować to, o czym w wywiadzie dla tygodnika „Sieci” i w innych rozmowach z panią przewidziałem półtora roku temu. Albo wszyscy umrzemy, a wirus z nami, albo SARS-CoV-2 złagodnieje i przejdzie w fazę grypo-przebiegu, by z nami zostać. I są sygnały ze świata, że to się już dzieje – nie ma wątpliwości dr Michał Mularczyk, internista, kardiolog interwencyjny i dietetyk.

„Zbliżamy się do końca pandemii, ale czekają nas jeszcze trudne chwile. Potem znajdziemy się w sytuacji, w której wszystkie infekcje staną się wtórne – u osób zaszczepionych albo tych, które już chorowały” – przewiduje w rozmowie z „DGP” wirusolog z Małopolskiego Centrum Biotechnologii UJ

prof. Krzysztof Pyr. Nim to jednak nastąpi, ciężki czas przed nami. „W przypadku omikronu można spodziewać się, że liczba zakażeń będzie drastycznie wysoka w najbliższym czasie. Już widzimy, że omikron przejmie rynek w Polsce. Sam wariant omikron powoduje nieco lżejszą chorobę, ale różnica jest stosunkowo niewielka – szacunki mówią o redukcji hospitalizacji o ok. 25 proc. Przy tak dużej liczbie przypadków to dalej daje zatrażające liczby. Na szczęście informacje z Danii czy Wielkiej Brytanii pokazują, że szczepienie i wcześniejsze przechorowanie redukuje ryzyko ciężkiego przebiegu choroby. Co, miejmy nadzieję, sprawi, że liczba zgonów nie będzie proporcjonalna do liczby przypadków” – tłumaczy naukowiec.

– Cóż z tego, że omikron jest łagodniejszy, skoro administracja stosuje wobec niego interwencje niefarmaceutyczne (tzw. restrykcje) przewidziane dla naprawdę śmiertelnych wirusów typu ebola – pyta Paweł Basiukiewicz, internista i kardiolog, były szef oddziału covidowego w Szpitalu Zachodnim w Grodzisku Mazowieckim. – Czy na omikronie się skończy? Być może, ale to trochę wróżenie z fusów. Omikron zakaża osoby, które się zaszczepiły, zakaża ozdrowieńców. Za chwilę się okaże, że będziemy mieć kolejny sezon infekcyjny, np. jesień 2022 r. i pojawi się kolejna literka w alfabecie i kolejne izolacje, kwarantanny, śledztwa. To strategia na dłuższą metę zupełnie samobójcza – uważa lekarz.

Nim się jednak zastanowimy, jak mogłaby wyglądać nowa strategia walki z COVID-19, popatrzmy, co słychać w szerokim świecie.

ŚWIAT ZMIENIA KIERUNEK

Minister zdrowia Wielkiej Brytanii Sajid Javid poinformował, że nie należy się spodziewać kolejnych lockdownów, a paszporty szczepionkowe przestaną obowiązywać, aby umożliwić ludziom udział w imprezach masowych. Rząd chce też „pozbyć się” testów PCR dla podróżnych tak szybko, jak to możliwe. W Izraelu minister finansów chce rezygnacji z „przepustek covidowych”. „Nie ma medycznej ani epidemiologicznej logiki w stosowaniu »zielonych przepustek«” – napisał na Twitterze Avigdor Lieber-

man. Według niego „zielone przepustki są źródłem strat w gospodarce”, a ponadto zakłócają normalne funkcjonowanie mieszkańców Izraela i przyczyniają się do tworzenia atmosfery paniki wśród mieszkańców kraju. W Hiszpanii władze chciałyby uznać, że SARS-CoV-2 jest jak sezonowa grypa. Premier Pedro Sánchez stwierdził, że jego kraj chce zmienić sposób monitorowania rozwoju pandemii COVID-19. Jak donosi hiszpańska gazeta „El País”, koronawirus ma być traktowany jak kolejna choroba układu oddechowego. Dziennik podaje, że zmiany mają dotyczyć przede wszystkim odejścia od regularnego testowania i raportowania każdego kolejnego przypadku, a to może być krok w kierunku normalizacji sytuacji i traktowania SARS-CoV-2 jak każdego innego normalnego wirusa, np. sezonowego wirusa grypy.

– Wygląda na to, że sytuacja zacznie z wolna wracać do normy. Testy to badania dodatkowe. Pacjenta trzeba przede wszystkim zbadać, osłuchać, opukać i porozmawiać z nim oraz uspokoić. Cieszę się, że Hiszpanie doszli do takiego wniosku. Dobrze, że znalazł się ktoś, kto wałnął ręką w stół i powiedział: „Pora wracać do normalności” – mówi dr Michał Mularczyk.

Optylizmem może także napawać sytuacja w Republice Południowej Afryki, która chce odejść od restrykcji i obostrzeń. Niemiecki wirusolog Christian Drosten w wywiadzie dla „Süddeutsche Zeitung” zakomunikował, że są powody do „ostrożnego optymizmu” w związku z pandemią, wskazując na sytuację w RPA i Wielkiej Brytanii. Drosten powołuje się na dane medyczne z RPA, gdzie pierwotnie rozprzestrzenił się omikron. „W RPA widać już sygnały, że pandemię zastępuje endemia. Niestety w Niemczech wciąż jesteśmy od tego daleko” – twierdzi Drosten.

Przejście od sytuacji pandemicznej do endemicznej oznaczać ma tyle, że wirus będzie się dalej rozprzestrzeniał, ale w już mniej niebezpiecznej formie, porównywalnej z typowymi wirusami przebiegania.

I jeszcze Floryda. Tamtejszy Departament Zdrowia wypuścił prozdrowotny spot, w którym główny lekarz Florydy podkreśla, że w walce z COVID-19 ważny jest aktywny, zdrowy styl życia,

wczesne leczeniem: tu pojawiają się takie leki, jak budezonid, fluwoksamina, mowa jest też o profilaktyce, na którą składają się cynk, witaminy D3 i C oraz szczepienie przeciw COVID-19.

– Jeśli chodzi o spot prozdrowotny z Florydy, to cieszę się, że naukowcy doszli wreszcie do tego, o czym mówię od dwóch lat. To wiadomo z książek o fizjologii, tę wiedzę posiadają studenci na wczesnym etapie studiów medycznych. Nie trzeba robić badań naukowych, by to wiedzieć. Warto pamiętać, że strach, panika także wpływają na ograniczenie naszej odporności – podkreśla dr Mularczyk.

Do tego wszystkiego Europejska Agencja Leków (EMA) ostrzegła właśnie: „Regularne przyjmowanie dawek przypominających szczepionki przeciw COVID-19 co cztery miesiące może ostatecznie osłabić układ odpornościowy i być męczące dla ludzi”. Zamiast tego, zdaniem EMA, państwa powinny zwiększyć odstęp czasowy pomiędzy programami dawek przypominających i powiązać je z nadejściem sezonu zimowego w zależności od tego, na której półkuli się znajdujemy – zgodnie z planem wyznaczonym przez strategię szczepień przeciw grypie. „Dawki przypominające szczepionki mogą być podane raz, może dwa razy, ale nie jest to coś, co może być nieustannie powtarzane”

– uważa Marco Cavaleri, szef EMA ds. biologicznych zagrożeń dla zdrowia oraz strategii szczepień. „Musimy pomyśleć, jak możemy przejść z obecnej pandemicznej sytuacji w kierunku sytuacji endemicznej” – dodaje ekspert.

POWRÓT DO NORMALNOŚCI

Jak wrócić do upragnionej normalności? „Cały czas uczymy się tego wirusa i myślę, że dojrzeliliśmy do zmiany podejścia w postępowaniu z wirusem SARS-CoV-2” – powiedział w rozmowie z PAP prof. Piotr Kuna z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Prof. Kuna od wielu miesięcy apeluje o zmianę sposobu walki z epidemią COVID-19, m.in. w zakresie postawienia na opiekę domową nad pacjentami przez lekarzy POZ. „Pozytywny wynik testu plus obraz kliniczny pacjenta powinny decydować

o tym, czy uznajemy kogoś za chorego na COVID-19” – uważa prof. Kuna. Naukowiec podkreśla, że konieczne jest zniesienie powszechnego obowiązku kwarantanny i izolacji tylko na podstawie testu. „Nie mamy sił i środków, aby ogarnąć wszystkie osoby, które uzyskają pozytywny wynik testu w kierunku SARS-CoV-2. Należy się skupić na grupach szczególnie wrażliwych, czyli osobach po 65. roku życia, a także z chorobami nowotworowymi i niedoborami odporności. Te osoby powinny nadal podlegać obowiązkowi kwarantanny i izolacji – dla ich dobra. Natomiast całą resztę – w obliczu tego, że każdy z nas będzie zakażał się

Trzeba zrezygnować z kwarantanny, izolacji, śledztw epidemiologicznych dla SARS-CoV-2 i udzielić ochrony zdrowia – nie ma wątpliwości dr Paweł Basiukiewicz, internista, kardiolog

tym wirusem wielokrotnie, należy z tego obowiązku zwolnić. Trzeba wprowadzić kategorię nosicielstwa jak w przypadku gronkowca. Powinniśmy wrócić do standardu znanego w medycynie od lat, czyli diagnostyka plus obraz kliniczny. Dopiero wówczas można mówić o chorobie” – nie ma wątpliwości prof. Kuna.

O konieczności stworzenia „Mapy drogowej 2022”, w której zostanie zarysowany plan krok po kroku wycofywania się z obostrzeń pandemicznych, mówi dr Paweł Basiukiewicz, internista, kardiolog, były szef oddziału covidowego w Grodzisku Mazowieckim.

– Trzeba zrezygnować z kwarantanny, izolacji, śledztw epidemiologicznych dla SARS-CoV-2 i udzielić ochrony zdrowia – nie ma wątpliwości lekarz. – W obecnej sytuacji pozytywny wynik testu u jednej osoby pociąga za sobą konieczność kwarantanny u wszystkich

osób, z którymi była ona w tzw. bliskim kontakcie. Bolesnie odczuwają to np. rodzice, którzy mają dzieci w szkołach. Przelotny kontakt z nauczycielem, który później uzyskał pozytywny wynik testu, wysyła na kwarantannę nieraz pół szkoły. Odpowiednie służby prowadzą śledztwo epidemiologiczne, wysyłając na kwarantannę kolejne osoby. To podejście pociąga ogromne straty społeczne, edukacyjne, zdrowotne i ekonomiczne – tłumaczy lekarz. – Koronawirus u większości osób wywołuje chorobę klinicznie zbliżoną do przeziębienia czy tzw. infekcji grypopodobnej. Czyli jest czymś, z czym przeciętny obywatel spotyka się kilka razy do roku. Infekcja górnych dróg oddechowych to część życia, dodatkowo ten wirus bardzo łatwo się szerzy. Gdybyśmy realnie chcieli wyhamować wirusa przez izolację, to musielibyśmy niezwykle głęboko, jeszcze głębiej niż obecnie, zaingerować w prawa obywatelskie. Spójrzmy na Australię. Ingerencja jest bardzo głęboka, a liczba zakażeń bije rekordy. Nie widać więc wymiernych efektów, koszty społeczne są gigantyczne.

Według doktora Basiukiewicza, gdybyśmy zrezygnowali ze strategii „testuj, śledź i izoluj” i więcej uwagi poświęcili leczeniu najcięższych przypadków, to nie zwracalibyśmy żadnej uwagi na lekkie przypadki,

niewymagające pomocy lekarskiej, ale skupialibyśmy się na pacjentach, którym pomoc jest niezbędna, dodatkowym zjawiskiem byłby zaś odwrót mediów od „wykresów zakażeń”, które zwyczajnie stałyby się nudne. – To właśnie próbuje robić teraz Floryda, która wydała zalecenia odejścia od testowania osób bezobjawowych i lekko objawowych. Podobnie jest w RPA, która wycofuje się ze strategii izolacyjnych i obostrzeniowych. To jedyna droga. W innym przypadku, gdy nadejdzie kolejny wariant mniej lub bardziej łagodny, ale bardziej transmisyjny, znów będziemy izolować. Nie będziemy leczyć, bo lekarze będą się bali transmisji, śledztw epidemiologicznych itp., itd. – tłumaczy lekarz.

Trzeba mieć nadzieję, że wirus faktycznie złagodnieje i zostanie z nami niczym grypa, a po dwóch latach covid-szaństwa wreszcie wyjdzie słońce. ➤

14 stycznia Onet opisał „wyciek danych z wojska” na miarę wielkiej afery szpiegowskiej i kompromitacji polskiej armii. Wyglądało to tak, jakby tamten piątek miał się zakończyć dymisją ministra obrony, upadkiem rządu, problemami całego NATO. Dlaczego tak się nie stało?



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Trzy największe partie opozycyjne zagrzmiały z żądaniem dymisji ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka. „Prerażająca ilość informacji została ujawniona. Nie ma zgody na to, żeby ta sprawa została przemilczana” – mówił szef klubu parlamentarnego Lewicy Krzysztof Gawkowski. Z kolei szef klubu Koalicji Obywatelskiej Cezary Tomczyk poruszył wątek szpiegostwa: „Po co agentury obcych państw mają działać w Polsce, jeśli polskie ministerstwo najważniejszą bazę wrzuca do internetu”. Polska Agencja Prasowa podała także podobną opinię polityków Polskiego Stronnictwa Ludowego: „Wobec informacji dotyczących wycieku danych z wojska nie ma innego rozwiązania jak natychmiastowa dymisja szefa MON Mariusza Błaszczaka”. Media głównego nurtu szeroko podawały informacje, a komentatorzy i eksperci bili na alarm. Generał Waldemar Skrzypczak oświadczył, że „przegraliśmy wojnę, zanim się zaczęła”, na słabość państwa

Atak informacyjny na polskie wojsko



polskiego narzekał także słynący z prosyjskich opinii popularyzator geopolityki dr Leszek Sykulski. Gdyby podsumować liczbę odbiorców wszystkich portali informacyjnych, stacji radiowych i telewizyjnych, które przekonywały, że stała się tragedia, można powiedzieć, że ponad połowa Polaków odnotowała istnienie jakiegoś skandalu. Skandalu, którego nie było.

ODDZIELAJĄC FAKTY OD KŁAMSTW

News Onetu okazał się zupełnie zniekształcać rzeczywistość. „Baza zasobów polskiego wojska – od śrubek i zeszytów po pociski przeciwpancerne oraz myśliwce F-16 – wyciekła do sieci” – cytowano obszernie tekst Edyty Żemły i Marcina Wyrwała. Autorzy przekonywali, że „niektóre informacje są niezwykle cenne dla obcych wywiadów”. Dziennikarze powoływali się na sekretne informacje proszących o anonimowość, ale

prerażonych „wyciekami”. Lista będących na stanie sprzętów polskiej armii miała liczyć ponad 1,75 mln pozycji.

Co właściwie wyciekło? Onet sam podał, że chodzi o Jednolity Indeks Materiałowy (JIM). Związany z wojskiem ekspert ds. cyberbezpieczeństwa tłumaczy, że JIM jest jak spis kodów kreskowych w sklepie. – Pracownik dzięki temu wie, jakim kodem określa się dany produkt, ale przecież nie wie, ile sprzętów jest na stanie ani nawet, czy dany produkt w ogóle jest do dyspozycji – mówi tygodnikowi „Sieci”. – Każde wojsko, NATO nie jest tu przecież wyjątkiem, grupuje i systematyzuje wszystko, co ma na stanie, by szybko i sprawnie inwentaryzować sprzęt – tłumaczy. – To, co „wyciekło”, to spis nazw, z którego nie wynika nic poza sposobem rejestrowania przedmiotów w tabelce.

Jak w „Przeglądzie Logistycznym” opisywał płk Jerzy Kuck, takie systemy ewidencji powstają od I wojny światowej. I tak oto samolot myśliwski MiG-29 jest oznaczany kodem 1510PL0003402,

a odbiornikowi radiowemu UKF R-313 przypisany jest kod 5820PLO01103. Ale system JIM musi obejmować dosłownie wszystkie rzeczy, zatem oddzielny kod ma np. „szynka wieprzowa konserwowa” (8905PLO000545). Gdyby publikowanie tych informacji zagrażało bezpieczeństwu armii, właśnie trzymaliby państwo w rękach gazetę z adnotacją, że danych tych nie można podać z uwagi na tajemnicę państwową.

I tak oto do internetu wyciekł spis ponad 1,75 mln pozycji, spośród których nie wszystkie w ogóle są dostępne w Polsce. Jest np. kod dla „pocisków jądrowych” (KWO 1110), którymi nasz kraj nie dysponuje, albo komputerowe dyskiety, które nie są w użyciu już od kilkunastu lat. Na liście są też np. kwiaty („piwonie”), zwierzęta („pies owczarek niemiecki”), gry komputerowe („FIFA 09”) czy piwo bezalkoholowe. Baza zawiera też nazwy sprzętu, którymi wojsko faktycznie dysponuje, ale nie ma o tym żadnej informacji – czy aby na pewno tak jest, jaka jest ilość czy gdzie to jest magazynowane.

W jaki sposób, oglądając listę nieopisanych przedmiotów, na które są pojazdy kosmiczne, dachówki i prezerwatywy, bez żadnych konkretnych informacji dziennikarze mogli zrobić z tego aferę?

AUTORZY OD POLSKIEGO WOJSKA

Serwis internetowy niebezpiecznik.pl zbadał, jak to się zaczęło. Bazę danych w internecie „ujawniono 9 stycznia o godzinie 19:13 na jednym z tzw. hackerskich forów. Zrobił to użytkownik, który wcześniej niczego nie postawił. Konto stworzył specjalnie pod tę akcję. W nazwie użytkownika umieścił imię »Ivan« – czytamy na stronie. Internauta napisał po angielsku, że nie wie do końca, co to jest, ale może być ważne (nie było). Po pięciu dniach bazę jako podstawę do ogólnopaństwowej afery opisał Onet.

Co ciekawe, właśnie mija rok, gdy ci sami autorzy (Zemla i Wyrwał) tworzyli inną aferę – polski karabinek Grot miał być tak wadliwy, że stwarzał zagrożenie dla żołnierzy. Informacje zostały zdementowane zarówno przez produ-

centa, jak i Ministerstwo Obrony Narodowej, nie znalazły też potwierdzenia w późniejszym toku wydarzeń, a jednak miały wpływ na rzeczywistość. Czarna propaganda na temat polskiego uzbrojenia trafiła na Ukrainę, gdzie trwała procedura zakupu broni z Zachodu. W sprawę deprecjonowania polskiego wojska włączyli się także politycy opozycji. Tomasz Siemoniak zorganizował konferencję prasową, na której wzywał do powołania komisji sejmowej – ostatecznie nic z tego się nie spełniło.

ŻMUDNE SPROSTOWANIA

Także i tym razem Ministerstwo Obrony Narodowej zdementowało oskarżenia. „Publikacja danych nie jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa ani funkcjonowania Sił Zbrojnych RP.

To, co „wyciekło”, to spis nazw, z którego nie wynika nic poza sposobem rejestrowania przedmiotów w tabelce – tłumaczy związany z wojskiem ekspert ds. cyberbezpieczeństwa

Ujawniony indeks zawiera wyłącznie informacje powszechnie dostępne” – czytamy w oświadczeniu. Ministerstwo informowało, że w internecie pojawił się „niepełny katalog o charakterze logistycznym, niezawierający ani informacji o ilości i sprawności sprzętu, ani brakach w asortymencie. Tego rodzaju indeks publikowany jest również przez NATO w ramach bazy Master Catalogue of References for Logistics (NMCRL) i jest powszechnie dostępny”.

Suchy urzędniczy język na stronie resortu nie miał jednak takiej siły rażenia, jak nakręcana w komentarzach afery, która zresztą bardzo sensacyjnie brzmi: „wyciek”, „wojsko”, „hakerzy”, „obce służby”, a sama sprawa jest tak

skomplikowana, że jej wytłumaczenie i zrozumienie wymaga wysiłku i pracy.

Kilkanaście godzin później media zaczęły tonować emocje. „Eksperci za uważają, że nie są to raczej informacje krytyczne dla bezpieczeństwa państwa” – uspokajał portal wp.pl. Politycy nabrali wody w usta, a w dynamicznym świecie obiegu informacji nie podejmowano tematu – zostało jednak wrażenie, że w wojsku wydarzyło się coś bardzo złego. Informację prostował portal tvp.info, portal wPolityce.pl oraz eksperckie serwisy internetowe – można jednak śmiało przypuszczać, że taki przekaz trafił do kilkunotnie mniejszej liczby osób niż paniczny alarm Onetu.

ATAKI SIĘ NASILAJĄ

Co prawda zapisy z Jednolitego Indeksu Materiałowego nie powinny być opublikowane w internecie, ale też nie było w tym nawet promila takiego zagrożenia, o jakim przekonywali dziennikarze i politycy opozycji. A jednak w tym samym czasie na Ukrainie ktoś (prawdopodobnie Białorusini lub Rosjanie) przeprowadził atak hakerski na tamtejsze strony rządowe. Cyberprzestępcy umieścili na stronach administracji ukraińskiej prowokacyjne komunikaty, m.in. dotyczące zbrodni wołyńskiej. Łamaną polszczyzną informowano o rzekomej zemście planowanej na Ukraińcach. „To za twoją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Za Wołyń, za OUN UPA, Galicję, Polesie i za tereny historyczne” – czytaliśmy w internecie.

Atak na ukraińskie serwery miał miejsce tego samego dnia, ba, tego samego poranka, co głośny artykuł Onetu. Prowokacja w Kijowie obiegła świat rosyjskojęzyczny, a tezy Onetu zostały szybko podchwyczone przez niemieckich komentatorów. „Polska armia jest teraz skompromitowana, widoczna, każdy może oszacować jej siłę i jej słabości” – pisał „Die Welt”. Poważna sytuacja nie dotyczy więc rzekomego wycieku danych z wojska, ale autentycznej dezinformacji atakującej najważniejsze fundamenty państwa polskiego. A to na pewno nie jest ostatni akord tej złowieszczej symfonii. ▀

Klimat absurdu

Obecną politykę klimatyczną kreują fanatycy, którzy z iście bolszewicką żarliwością stawiają znany nam świat na głowie i prowadzą go do cywilizacyjnej zapaści



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Climate Action Tracker (CAT) to bieżąca analiza zmian klimatycznych prowadzona przez międzynarodową grupę klimatologów określającą się jako „niezależni naukowcy”. Owi naukowcy badają m.in. parametry różnych państw na świecie pod kątem emisyjności dwutlenku węgla i spełniania przez te państwa celów porozumienia paryskiego zakładającego utrzymanie do 2050 r. wzrostu średniej globalnej temperatury na poziomie półtora stopnia Celsjusza.

Jak wynika z ustaleń CAT, krajem najbliższym temu klimatycznemu ideałowi jest afrykańska Gambia. Nieco dalsze

miejsca zajmują m.in. Etiopia i Kenia. Zachód, z wyłączeniem Wielkiej Brytanii, jest za Gambią daleko w tyle. Podobnie Azja, jeśli nie liczyć przyjaznego klimatowi Nepalu. Można więc powiedzieć, że wzorem dla całego rozwiniętego świata powinna być Gambia. Przyjrzyjmy się zatem, ku czemu zmierzamy.

ZIELONY IDEAL

Gambia w zasadzie nie posiada przemysłu i opiera swoją gospodarkę na rolnictwie zdominowanym przez uprawę orzeszków ziemnych oraz na rybołówstwie. Hodowla zwierząt nie jest tu popularna, więc mięso i nabiał są zbyt drogie, aby były podstawą pożywienia. Jest za to dużo lasów, stanowią one blisko połowę terytorium państwa. Większość spośród dwóch milionów mieszkańców Gambii mieszka na wsi. Za relatywnie największego truciela uchodzi transport drogowy (bo kolejowy tu nie istnieje), ale liczba samochodów

jest mała, ponieważ głównym szlakiem transportowym jest przecinająca kraj rzeka Gambia. Innym źródłem emisji gazów cieplarnianych jest energożerny internet. Wprawdzie 51 proc. ludności mającej dostęp do sieci to na skalę europejską niewiele (w Europie powyżej 80 proc.), ale jak na Afrykę to już całkiem sporo. Do tego dochodzi duża popularność telefonów komórkowych (110 na 100 mieszkańców, czyli więcej niż jedna sztuka na głowę), a te urządzenia wymagają sporo energii do ładowania baterii.

Ideałem, do którego powinna dążyć współczesna ekologiczna Europa, jest zatem niewielki kraj, słabo zurbanizowany i zaludniony, pozbawiony przemysłu oraz rozwiniętej infrastruktury transportowej. Bo tylko taki kraj jest w stanie zagwarantować niską emisję gazów cieplarnianych. Niestety, obok tych pozytywów jest jeszcze pewien nieprzyjemny drobiazg. Otóż ta przyjazna klimatowi Gambia jest zarazem – według ONZ – jednym z najsłabiej

rozwiniętych państw świata. Inaczej mówiąc, jeśli chcemy być tacy jak Gambia, to musimy porzucić wszystkie wygody i bezpieczeństwo oraz powrócić na lono natury. Czegóż jednak nie zrobi oświecony człowiek dla ochrony klimatu?

Sprawdźmy zatem, jak blisko nam do tej wymarzonej Gambii.

WĘGIEL ZAMIAST ATOMU

Jeśli chodzi o przemysł, to cały zachodni świat jest za Gambią daleko w tyle. Nie chodzi nawet o to, że przemysłu mamy za dużo, w końcu wszystkiego nie da się z dnia na dzień rozmontować, ale o to, że fabryki – podobnie zresztą jak my wszyscy – pochłaniają zbyt dużo energii. Dlatego, zgodnie z planami Komisji Europejskiej, zostaną one obłożone podatkiem emisyjnym. Dzięki temu wiele zakładów upadnie i klimat odetchnie.

Kluczem jest dekarbonizacja. Takie państwa jak Polska, które zaniedbały rewolucję klimatyczną, muszą dziś płacić ogromne pieniądze za prawa do emisji CO₂. Można było – tak jak Niemcy – ogłosić, że do 2030 r. pozbędą się węgla i postawią w całości na źródła odnawialne. Niestety, jak wynika z najnowszych danych, udział energii wytwarzanej ze źródeł odnawialnych stale maleje. W 2021 r. spadł on w Niemczech do 42 proc., w porównaniu z 45,3 proc. w 2020 r. Pomimo nowych farm wiatrowych i słonecznych klimat jakby sprząsiał się przeciwko ekologom. Słońca i wiatru jest w Niemczech zbyt mało, aby dostarczyć największej gospodarce Europy wystarczającą ilość energii. A tej, którą udało się wyprodukować, nie ma jak magazynować.

Niemcy nie zrażają się jednak takimi przeciwnościami losu, w końcu katastrofa klimatyczna nie będzie czekać do czasu, aż ludzkość opracuje nowe technologie. Dlatego konsekwentnie idą do przodu i na drodze do pełnej neutralności klimatycznej wyłączyli właśnie trzy elektrownie jądrowe. Bo atom – jak twierdzą – też jest zagrożeniem, choć akurat nie mają na to żadnego dowodu.

Skutkiem takiej ortodoksyjnej polityki klimatycznej jest deficyt prądu i bodaj najwyższe w Europie rachunki za energię. Niemcy jak to Niemcy – na razie karnie

placą, a rosnący deficyt energii lata się wydzielającym metan rosyjskim gazem z podbałtyckiej rury oraz zwiększonym zużyciem węgla brunatnego. W ten sposób rząd niemiecki, walcząc w obronie klimatu, zatruwa ten klimat jeszcze bardziej. A przecież można byłoby – jak Gambia – w ogóle zrezygnować z przemysłu, przenieść się na wieś i uprawiać proso. Trudno zrozumieć, dlaczego tak wrażliwi ekologicznie Niemcy jeszcze się na to nie zdecydowali. Przecież – jak sami twierdzą – walka w obronie klimatu wymaga poświęceń.

ZUPA ZE SZCZAWIU

Patrząc na przykład Gambii, trudno nie zauważyć, że kluczem do sukcesu jest ży-

Idealem, do którego ma dążyć współczesna ekologiczna Europa, jest Gambia – afrykański kraj, słabo zurbanizowany i zaludniony, pozbawiony przemysłu oraz rozwiniętej infrastruktury

cie na wsi. Zachodnie miasta są zbyt duże, zbyt zaludnione i dlatego generują niszczycielski ślad węglowy. A przecież można inaczej. Mały domek, najlepiej z panelem fotowoltaicznym na dachu lub małą turbiną wiatrową, kilka zwierząt trzymanyh dla ozdoby (broń Boże do konsumpcji, to byłoby niemoralne) i skrawek ziemi uprawiany oczywiście metodą bezorkową, aby nie uwalniać do atmosfery gazów zawartych w glebie. W ten sposób można żyć tanio i z rytmem natury. A co najważniejsze w zgodzie z klimatem.

Środowiska wrażliwe ekologicznie zachęcają do takiego życia. W Holandii tamtejszy rząd nakazał wybicie stad bydła, aby zmienić strukturę rolnictwa i zmniejszyć emisję gazów cieplarnianych. Z kolei w Kalifornii uchwalono ustawę wprowadzającą minimalne standardy hodowli za-

pewniające odpowiednio dużą przestrzeń przypadającą na jedno zwierzę – tak aby nie musiało się ocierać o ściany obory ani o swoich współtowarzyszy. Oczywiście komfort zwierząt kosztuje, a to wpływa na ceny mięsa i nabiału. Kalifornijscy farmerzy będą więc pewnie musieli – podobnie jak ich holenderscy koledzy po fachu – zmienić branżę. Bo na drogie mięso nie będzie zbyt wielu chętnych. Ale kto powiedział, że musimy jeść mięso i pić mleko? Przecież są kotlety sojowe, napoje roślinne i jajka z alg. Też smaczne, a jak komuś to nie odpowiada, to – jak powiedział Bill Gates – będzie musiał się przyzwyczaić. Przecież tu chodzi o klimat. Można też – tak jak w Afryce – zjeść kaszkę ryżową albo bardziej swojską zupę ze szczawiu, jest zdrowa, tania i co ważne niskokaloryczna. Przemysłowa produkcja żywności nie wchodzi bowiem w rachubę. Wiąże się z nią zbyt duży ślad węglowy.

Niewykluczone więc, że w przyszłości niektórym zajrzy w oczy głód. Jednak klimatyści przekonują, że gdyby rodziło się nas mniej, to nie tylko nie byłoby głodu, lecz również – co najważniejsze – emisja CO₂ byłaby znacznie niższa. Z ich badań bowiem wynika, że za obecne ocieplenie klimatu odpowiadają przede wszystkim dzieci boomerów demograficznego, dziś ludzie po czterdziestce i nieco starsi. To oni wyprodukowali ponad połowę gazów cieplarnianych obecnych dziś w atmosferze.

Powszechna eutanazja nie wchodzi na razie w grę, zatem jedynym rozwiązaniem wydaje się ograniczenie narodzin. Aborcja to nie tylko prawo kobiet, ale ich obowiązek na rzecz ludzkości. W takiej Gambii mieszkają tylko dwa miliony ludzi. Dlaczego tak samo nie może być, powiedzmy, w Holandii czy na Węgrzech?

KONIEC PODRÓŻOWANIA

Ci, którzy pozostaną w miastach, będą się musieli liczyć z tym, że ich życie będzie znacznie droższe. Wzrosną ceny mieszkań, bo budownictwo zostanie opodatkowane opłatą emisyjną. Ale przede wszystkim zdrożeje prąd w związku z planowanym przez Komisję Europejską pełnym uwolnieniem cen energii.

Pewną ulgą dla portfeli mają być tzw. inteligentne liczniki, które będą mówić nam, kiedy pobór jest niski i ceny spadają. Wtedy, np. o trzeciej w nocy, będzie się można zerwać z łóżka i uruchomić pralkę.

Narzekający na spekulację prawami do emisji CO₂ nie powinni liczyć na zmianę polityki unijnej w tej kwestii. W końcu ma być tak drogo, aby zmusiło to nas do zmiany przyzwyczajeń.

I tak samochody spalinowe zaczną odchodzić do historii już w 2035 r. Od tego roku nie będzie bowiem można zarejestrować nowego auta spalinowego. Wprawdzie do tego czasu samochody elektryczne mają, zdaniem specjalistów, stanąć, ale za to prąd będzie na pewno sporo droższy. A to oznacza, że nie pojeździmy sobie za dużo.

Podróże na dalsze dystanse są wykluczone. Podczas ostatniego szczytu klimatycznego w Glasgow, na który zlecieli się zewsząd moiżni tego świata, aktywiści przekonywali, że musimy mniej podróżować („we must travel less”). I jeśli rewolucja klimatyczna będzie kontynuowana, to z pewnością tak się właśnie stanie.

W związku z pandemią linie lotnicze przeżywają zapaść. Ale pandemia to tylko początek kłopotów, z których przewoźnicy mogą już nie wyjść. Komisja Europejska zakłada bowiem obłożenie transportu dodatkowym podatkiem od emisji gazów cieplarnianych, co oznacza sporą podwyżkę cen biletów, zwłaszcza na dalszych trasach. Co ciekawe, prywatne odrzutowce, którymi podróżują krezusi, mają być z tego podatku zwolnione (podobnie jak jachty i małe samoloty turystyczne), ponieważ – jak się tłumaczy – nie są one zwykłym środkiem transportu, ale przedłużeniem działalności biznesowej. Organizacje ekologiczne, z którymi konsultowała się Komisja Europejska w tej sprawie, zgodziły się z tą argumentacją, twierdząc, że zwolnienia dla prywatnych bizjetów są „generalnie słuszne”.

Na razie linie lotnicze próbują przetrwać. Zgodnie z przepisami przewoźnik, który nie wykonuje lotów na danej trasie, po pewnym czasie traci tzw. slot na lotnisku, czyli prawo do lądowania danego dnia o danej porze. Sloty są dobrem deficytowym i bardzo drogim. Dlatego linie



lotnicze, nie chcąc ich tracić, wykonują niezbyt ekologiczne przeloty na pusto. Grupa Lufthansa robi w obecnym sezonie zimowym prawie 100 pustych lotów dziennie (co do końca marca da liczbę 18 tys.).

Pewnym rozwiązaniem są projektowane samoloty elektryczne, jednak ze względu na słabą moc silników i niewielki zasięg będą to raczej małe maszyny do ruchu lokalnego. Zresztą bilety na podróż samolotem elektrycznym będą zapewne i tak zabójczo drogie. O wakacjach na Zanzibarze, a nawet w Egipcie czy Grecji przyjdzie nam więc raczej zapomnieć. Po prostu nie będzie się tam jak dostać. Chyba że ktoś będzie miał milionowe zarobki lub prywatny odrzutowiec.

Nie ma jednak co załamywać rąk. W XIX stuleciu też tak było i ludzie jakoś żyli. A w Gambii nadal tak jest.

PODATEK NA INTERNET

Pewnym rozwiązaniem dla mniej zamożnych mogą być tutaj internet i telefon. W internecie można sobie obejrzeć obrazki z innych krajów, a przez telefon porozmawiać z rodziną lub znajomymi za granicą. Należy jednak pamiętać, że światowy internet – według wyliczeń – wywołuje trzykrotnie większy ślad węglowy niż Wielka Brytania lub Francja. W samym tylko 2018 r. – jak dowodzą klimatycy – streaming wideo odpowiadał za emisję 300 mln ton dwutlenku węgla, a więc tyle, ile rocznie emituje Hiszpania. Te liczby, wraz ze wzrostem rozdzielczości filmów, stają się coraz wyższe.

Trzeba się więc spodziewać, że internet zostanie opodatkowany opłatą emisyjną. A ceny popularnych serwisów streamingowych mocno wzrosną.

Ci, których nie będzie już stać na Netflixu, będą się musieli pożegnać z oglądaniem filmów w internecie. Może to i dobrze, bo być może w zamian sięgną po książki. Być może, bo książki są drukowane na papierze, papier wyrabia się z drzewa, a drzew nie wolno wycinać, bo pochłaniają dwutlenek węgla.

Z telefonami też nie będzie prosto. Smartfony są przecież produkowane z użyciem wielu metali, a ich wydobycie i produkcja niszczą środowisko. Wreszcie

jest problem z bateriami, co dotyczy również samochodów elektrycznych. Utylizacja i recykling baterii na skalę przemysłową są jeszcze w powijakach. Na razie nikt jednak nie martwi się tym, dokąd trafią miliony zużytych baterii pełnych żrących i toksycznych substancji. W Gambii, tak jak w innych zielonych krajach, takie odpady zwykle lądują w krzakach lub w morzu.

OBSESJA

Oczywiście o środowisko należy dbać, a zmiany klimatyczne są dostrzegalne, choć powszechnie dziś obowiązujące teorie o ich antropogenicznym źródle nie brzmią do końca przekonująco. Jednak ochrona klimatu nie powinna być ideologiczną obsesją narzucaną ludziom przez grupę fanatyków, lecz rozsądnym, stopniowym działaniem całych społeczeństw. Rozsądnym tzn. takim, które nie prowadzi do cywilizacyjnej i gospodarczej zapaści oraz stopniowym, czyli takim, które szuka nowych rozwiązań i dopiero je wdraża, a nie na odwrót – wdraża technologie, których jeszcze nie ma albo które są niedopracowane.

Efektom obecnego szaleństwa mogą być niepokoje społeczne i zejście Europy do poziomu Gambii, co zapewne ucieszyłoby nieprzejmujących się klimatem wrogów Zachodu. Być może nawet, na zasadzie wahadła, obecny ekologiczny trend odbiłby się w drugą stronę. Na złość nawiedzonym wariatom, ale niekoniecznie z pożytkiem dla ogółu. Z pożytkiem byłoby za to stuprocentowe ograniczenie presji migracyjnej na Europę. W końcu kto z Gambii chciałby uciekać do Unii, skoro tam też byłaby Gambia? Tyle że mniej słoneczna.

Promujmy i świętujmy Chrzest Polski!

*O Święcie Chrztu Polski z jednym z pomysłodawców tej inicjatywy **Janem Klawiterem**, przez prawie dziesięć lat burmistrzem Rumi, byłym posłem, członkiem Prawicy Rzeczypospolitej, prezesem Fundacji „Słowo”, rozmawia Artur Ceyrowski*

Szybka sonda uliczna i się okazuje, że większość Polaków nie wie, że w 2019 r. Sejm uchwalił ustawę, na mocy której 14 kwietnia mamy nowe święto państwowe, a mianowicie Święto Chrztu Polski. Pewnie znak czasów, ale trzeba zadać sobie pytanie o to, jak zmienić ten stan rzeczy?

Jan Klawiter: Trzeba działać! Przypominać, że nie jesteśmy narodem, który wziął się z próżni, mamy ponad 1000 lat historii, która jest mocno związana z chrześcijaństwem i to właśnie te wartości dały nam długotrwały rozwój cywilizacyjny. Przekładając to na codzienną pracę, można to robić na wiele sposobów, np. włączając się w podejmowane przez nas, czyli Fundację „Słowo”, akcje.

Czyli?

Przed wszystkim staramy się oddziaływać na młode pokolenie. Dwa lata temu, także w roku ubiegłym, zachęcaliśmy szkoły, aby organizowały tego właśnie dnia uroczyste apele. Oczywiście ostatnie dwa lata szkoły, tak jak i inne dziedziny życia, zdominowała pandemia i niektóre aktywności były niemożliwe, ale wraz z powolnym powrotem do normalności – mam nadzieję – uda się zrealizować większość pomysłów, o których piszemy na przygotowanej przez nas stronie swietochrztu.pl. Są tam pomoce naukowe dla nauczycieli, w tym scenariusze lekcji, scenopis apelu i wiele innych materiałów, które mogą się przydać nauczycielom i dyrekcji w organizacji Święta Chrztu Polski w szkole.



Z tego, co wiem, to wspomniane budowanie świadomości Święta Chrztu Polski odbywa się nie tylko w szkole.

Oczywiście, choć pomoc szkoły także przy innych aktywnościach, które proponujemy, jest mile widziana. Właśnie zakończyliśmy II Ogólnopolski Konkurs na prezentację multimedialną „Chrzest Polski”, która cieszy się dużą popularnością wśród młodych ludzi. Przy pierwszej edycji mieliśmy ponad 900 prac, przy drugiej ponad 560. Wyróżniliśmy ponad 40 osób, siedem dostało nagrody finansowe. To jest drugi temat, który organizujemy. Zachęcamy także do świętowania Chrztu Polski przez wywieszenie biało-czerwonej flagi. Przypominamy wszystkim podmiotom samorządowym, aby w podległych sobie jednostkach zachęcały do wieszania flagi 14 kwietnia. To jeden ze sposobów, by pokazać, że jest to ważny, uroczysty dzień dla nas, Polaków.

Jak sprawić, by w dzisiejszym świecie, ze wszystkimi wadami tego skrótu myślowego, chrześcijański fundament był ważny w myśleniu o państwie?

Mamy taką strukturę cywilizacji, w której myślenie o świecie zaczyna się co prawda od jednostki, ale podstawą wspólnoty i społeczeństwa jest rodzina. Kolejnym ogniwem są struktury samorządowe, później państwo jako arcyważna struktura troszcząca się o to, czego nie są w stanie samodzielnie rozwiązać mniejsze wspólnoty. Są też jeszcze większe struktury, jak np. Unia Europejska, która też ma swój udział w naszym życiu. Wreszcie wszyscy jesteśmy obywatelami świata,

mamy obowiązek działać na rzecz każdej wspólnoty, także tych rzeczy, które wyrastają poza nas samych, jako jednostki. Aby ta cała struktura cywilizacyjna funkcjonowała dobrze, muszą działać wszystkie jej elementy. Silna rodzina, sprawne państwo i wszystkie inne jednostki. Jeśli zaniedbamy jeden z tych elementów, całość przestanie działać prawidłowo. Pamiętajmy też, że państwa są strukturami, które formowały się od tysięcy lat, nie może być tak, że np. wspólnota unijna będzie niektóre elementy państwa zawłaszczyla.

Jakie działania powinniśmy podejmować, aby należycie zrozumieć istotę tego święta?

Tak naprawdę to pytanie o to, co katolik powinien robić, aby odpowiedzieć na wyzwania współczesności. Musi pamiętać o modlitwie, powinien głośno wyrażać swoje stanowisko i nie może bać się aktywności w życiu społecznym. Powinien uczestniczyć w działaniach na rzecz umacniania kultury chrześcijańskiej na wszelkie możliwe sposoby. 

Pomaganie jest fajne

Nie ma warunków wstępnych, by zostać wolontariuszem. Bariery, jeśli są, to po drugiej stronie, zła organizacja i brak koordynacji mogą od zaangażowania odstręczać

Z Wojciechem Kaczmarczykiem, dyrektorem Narodowego Instytutu Wolności, rozmawia Marcin Wikło

Czy Polacy chętnie pomagają innym?
Wojciech Kaczmarczyk: Chętnie. I to nie tylko w okresie bożonarodzeniowym. Są organizacje, które przygotowują akcje pomocowe także w innym czasie.

A potrafimy pomagać?

Najłatwiej jest wspomagać finansowo. Dlatego chętnie wpłacamy na jakiś cel, dzieło czy pomagamy w ten sposób konkretnym osobom. Ale pomagać to nie znaczy tylko dać pieniądze. Pomagać to także dać czas. I tu jest trochę większy problem. Bo chodzi o większe zaangażowanie, bycie z kimś, nawiązanie relacji i utrzymanie jej. Taka pomoc wymaga od dającego większego poświęcenia, czasem przeorganizowania życia, i to w dłuższej perspektywie. Ale jest to taka forma działalności, która zdecydowanie więcej daje, i to obu stronom, może nawet temu, kto daje, daje więcej.

Które więc formy są najbardziej wymagające dla ofiarowującego i które dają mu najwięcej satysfakcji?

Najwięcej wysiłku wymaga niewątpliwie wolontariat długoterminowy. Ktoś angażuje się po kilka, kilkanaście godzin tygodniowo czy miesięcznie. Pomaga komuś konkretnemu albo realizuje wspólny cel wraz z organizacją pozarządową czy instytucją kulturalną. W oprowadzanie gości po Muzeum Powstania Warszawskiego czy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, w to też często zaangażowani są wolontariusze. Niedawno na spotkaniu u wojewody mazowieckiego pozna-

łem grupę pań seniorek, które swój czas poświęcają na pielęgnowanie tradycji regionalnej i przekazywanie jej młodszemu. To też bardzo cenna inicjatywa, to też dawanie siebie innym.

Wolontariuszy czasem widać, a czasem nie. Jak powinna być prowadzona taka służba?

Bywały akcje spektakularne, np. podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie w 2016 r., gdzie ochotnicy byli bardzo widoczni i momentami wręcz fetowani za swoją pomoc. W tych trudniejszych formach wolontariatu, gdy idziemy do kogoś do domu albo do domu pomocy społecznej, do szkoły czy szpitala, ta praca odbywa się w zaciszu tych instytucji. A w placówkach kultury to już zależy od koordynatora, który powinien nie tylko zorganizować pracę wolontariuszy, ale też zadbać, by była ona widoczna, oznaczyć ich. Może ktoś pójdzie ich drogą.

Czego uczy wolontariat?

W wielu opracowaniach naukowych powtarza się stwierdzenie, że wolontariat uczy tzw. umiejętności miękkich: poruszania się w społeczeństwie, wchodzenia w relacje, odnajdywania w sobie predyspozycji do bycia przywódcą w grupie albo tylko jej uczestnikiem. Wykształcają się też postawy społeczne, jak odpowiedzialność za realizację powierzonego zadania, i obywatelskie, czyli troska o sprawy publiczne, co jest bardzo ważne w społecznościach lokalnych. Częściej jeszcze dzieje się to w USA lub na Zachodzie, ale wiele firm traktuje udział w wolontariacie jako kluczowy czynnik w procesie rekrutacyjnym. To jest traktowane na równi z umiejętnościami i wiedzą merytoryczną. Dla pracodawcy to znak, że ten kandydat odnajdzie się w zespole, łatwiej wejdzie w grupę i być może da z siebie więcej.

Mówi pan o bardzo perspektywicznej drodze. Kiedy młody człowiek powinien w ten sposób zacząć myśleć o swojej przyszłej pracy?

Oświadczam, że zaangażowaniu w wolontariat mówimy od 15. roku życia. Dzieciom i młodzieży da ono w przyszłości umiejętność oceny miejsca, w którym się znajduje. Najpierw widzimy, czy wolontariat jest dobrze zorganizowany, czy dobrze wykorzystuje talenty i umiejętności uczestników. Umiejętność takiego rozeznania przydaje się jeszcze bardziej przy wyborze drogi zawodowej.

A co wolontariat daje seniorom, którzy mają niewątpliwie o wiele więcej czasu niż osoby młodsze?

W tym przypadku mówimy o syndromie ponownego otwierania drzwi, które zatrząskują się za osobą kończącą aktywność zawodową. Przychodzą do domu z kwiatami, dyplomem, gratulacjami od prezesa, być może nawet z jakąś nagrodą za przepracowane lata i słyszą w końcu za sobą zatrząskiwany zamek. Jeśli wówczas nie ma ofert wolontariatu dla seniorów w najbliższej okolicy, w domu kultury, w gminie, w parafii, to te drzwi pozostają, niestety, zamknięte. A są to ludzie, którzy mają już doświadczenie i umiejętności, które mogą ofiarować innym. Chcą być aktywni, co doskonale rozumiem, bo to dla nich realna szansa na dłuższe, zdrowsze, piękniejsze i ciekawsze życie.

Co trzeba umieć, by zostać wolontariuszem? Są w ogóle jakieś kryteria?

Myślę, że każdy może być wolontariuszem, a na pewno każdy może się nauczyć nim być. Popatrzmy na dzieci, którym rodzice od wczesnych lat wpajają i pokazują, że pomaganie sobie nawzajem to jest fajna rzecz. Najmłodszy to bardzo szybko łapia. Nie ma więc warunków



wstępnych, czy ktoś może zostać wolontariuszem, czy nie. Bariery, jeśli są, to po drugiej stronie, zła organizacja i brak koordynacji mogą od zaangażowania odstręczać.

Są takie formy pomocy, myślę tutaj o asyście osobom chorym, które wymagają siły fizycznej. W tym chyba nie każdy się odnajdzie?

Ale jeśli nie odnajdzie się w tej formule, a rzeczywiście chce pomagać, to trafi gdzieś indziej, gdzie będzie się spełniać. Pracowałem kiedyś na wyższej uczelni ze studentami, którzy realizowali staże wolontariackie w domach pomocy dla osób ciężko chorych. Jednym z wolontariuszy był młody chłopak spod Bystrzycy Kłodzkiej, który był sparaliżowany od szyi w dół. Sam potrzebował pomocy, a jednak zgłosił się i pełnił służbę. Pokazywał pensionariuszom tego domu seniora, jak posługiwać się internetem. Używał ołówka trzymanego ustami, dzięki temu był bardzo biegły w obsłudze komputera. Czy po takim przykładzie można powiedzieć, że są jakieś granice dla wolontariuszy?

Jak wygląda dzisiaj mapa polskiego wolontariatu? Jak ochotnicy są wspierani przez państwo polskie?

W mniejszych miejscowościach czy nawet na wsiach, gdzie wszyscy się znają, widzimy takie zaangażowanie intuicyjne. Ludzie znają tam nawzajem swoje potrzeby i to nie wymaga form instytucjonalnych. Pomagamy sobie, bo ktoś tego potrzebuje, po prostu. To jest wolontariat, choć nikt tego tak nie nazywa. Taka

Myślę, że każdy może być wolontariuszem, a na pewno każdy może się nauczyć nim być. Popatrzmy na dzieci, którym rodzice od wczesnych lat wpajają i pokazują, że pomaganie sobie nawzajem to jest fajna rzecz. Najmłodszy to bardzo szybko łapia

sąsiedzka pomoc to oczywistość. Nawet w miastach teraz także widzimy kartki na klatkach schodowych, że ktoś chce pomóc w zakupach czy wyprowadzeniu psa. Ale to raczej efekt czasu pandemii, który dotyka nas wszystkich. Na co dzień w dużych miejscowościach potrzeba instytucji, które stworzą przestrzeń do działalności wolontariackiej.

Jak jest tutaj rola Narodowego Instytutu Wolności?

NIW wspiera wolontariat na różne sposoby, naszym sztandarowym projektem jest Korpus Solidarności. Poprzez naszych partnerów regionalnych znajdujemy w całej Polsce z jednej strony osoby i instytucje, które mają doświadczenie w pracy z wolontariuszami, a z drugiej strony nawiązujemy kontakt z miejscami, które potrzebują takiego wsparcia.

Łączymy ich ze sobą, proponujemy szkolenia, zarówno dla początkujących, ale też dla doświadczonych ochotników po to, by uniknęli efektu wypalenia w swojej działalności.

NIW wspiera także organizacje pozarządowe finansowo. Na co najchętniej przeznaczacie pieniądze?

Podam przykład pomysłu, który zrodził się w Suchedniowie w woj. świętokrzyskim. Miejscowy proboszcz dał do dyspozycji pomieszczenia plebanii, a my dofinansowaliśmy projekt polegający na łączeniu różnych pokoleń. Młodzi jako wolontariusze uczą starszych tego, w czym są dobrzy, czyli posługiwania się komputerami, a seniorzy uczą historii, pokazują im miejsca pamięci i opowiadają o nich. Ciekawa wymiana doświadczeń.

Co w działalności wolontariuszy zmieniła pandemia? Jakie formy pomocy ucierpiały?

Wiele instytucji, w tym te zajmujące się osobami starszymi i schorowanymi, na wiele miesięcy zamknęło drzwi dla osób z zewnątrz. W obawie o zdrowie seniorzy wycofali się do swoich domów. Pomoc im kończyła się na przyniesieniu zakupów, które zostawiano na wycieraczce. Ucierpiał też wolontariat relacyjny, to głównie przez wielomiesięczne zamknięcie szkół i przejście na naukę zdalną. Spadła też liczba harcerzy, którzy mieli zbiórki online, nie każdemu to odpowiadało. Kontakty się pozrywały, trzeba te relacje odbudowywać. To się dzieje, ale powoli.



Péter Márki-Zay

Viktor Orbán

Wszyscy przeciwko jednemu

Do wyborów parlamentarnych na Węgrzech zostały niecałe trzy miesiące. Tymczasem na gładkiej dotąd fasadzie zjednoczonej opozycji pojawiły się poważne rysy. Jednocześnie Viktor Orbán – premier i postrach unijnych elit – zyskuje na popularności. Może się ziścić koszmar senny UE: kolejna kadencja Fideszu



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W niedzielę 3 kwietnia Węgrzy pójdą do urn, aby wybrać nowe Zgromadzenie Narodowe. Bukmacherzy stawiają na zwycięstwo Fideszu nad opozycyjną koalicją pod wodzą Pétera Márki-Zaya. Zarówno w Unibet, jak i w BetOnline prawdopodobieństwo ponownego zwycięstwa rządzą-

cej partii wynosi 72 proc. Ale zakłady to jedno, a polityczna rzeczywistość drugie. Gdy w październiku ubiegłego roku grupa sześciu węgierskich partii opozycyjnych połączyła siły, by wybrać burmistrza małego miasteczka Hódmezővásárhely Pétera Márki-Zaya na swojego wspólnego kandydata na premiera, europejskie elity nabrały nadziei, że nadszedł sądny dzień dla Viktora Orbána.

I przez jakiś czas rzeczywiście wyglądało na to, że po 12 latach u władzy Fidesz w końcu będzie musiał ją oddać. Oba bloki szły w sondażach łeb w łeb, a Opozycyjnemu Sojuszowi Wyborczemu udało się przekonać Węgrów, że to ich jedyna szansa, by wyrazić dezaprobatę wobec „korupcji”, chaotycznego zarządzania pandemią oraz drożyzny. Ale

początkowy entuzjazm szybko opadł. Orbánowi udało się bowiem – stosując taktykę „dziel i rządź” – znacznie osłabić egzotyczny blok opozycyjny, gromadzący szerokie spektrum ideologiczne, od Zielonych po skrajnie prawicowy Jobbik. Według najnowszych sondaży (Nézőpont Institut, Politico) Fidesz wyprzedza swoich rywali o 4 pkt proc. (49 do 45 proc.). A tendencja dla partii rządzącej jest rosnąca.

Dla Orbána te wybory to walka o wszystko. Albo Fidesz będzie rządził kolejne cztery lata, albo do władzy dojdzie koalicja, w zasadzie niezdolna do rządzenia, która będzie pełniła funkcję wykonawcy woli Brukseli. Tak w każdym razie opisują kwietniowe starcie media przychylne premierowi. Według nich opozycja straciła dynamikę, którą bez wątpienia udało jej się wytworzyć na starcie. A rosnący brak zaufania pomiędzy partiami, zaczyna działać na jej niekorzyść, podobnie jak wybór Márki-Zaya na kandydata na premiera. Polityka, który świetnie się sprawdził na poziomie lokalnym, ale rzucony na głęboką wodę krajowej polityki robi wrażenie pijanego dziecka we mgle.

PROBLEMATYCZNY KANDYDAT

„Wszyscy wygraliśmy” – krzyczeli politycy opozycji 23 października 2021 r. na wiecu w Budapeszcie po tym, jak we wspólnych prawyborach zdecydowali o wspólnym kandydacie na premiera. Został nim Péter Márki-Zay, zdobywając 57 proc. poparcia. Tuż za nim uplasowała się kandydatka Koalicji Demokratycznej (DK) Klára Dobrev (zdobywając 43 proc. głosów), polityk o wiele bardziej doświadczona od niego, ale jako żona byłego socjalistycznego premiera Ferenc Gyurcsány, który zrujnował gospodarczo Węgry, obciążona sporym politycznym bagażem. A tego bagażu zjednoczona w celu usunięcia Orbána od władzy opozycja woląca zdecydowanie nie przypominać. Do tego Węgrzy z prowinicji niechętnie głosują na lewicę. Co innego na Márki-Zaya, polityka, który sam określa siebie mianem „wierzącego konserwatysty”, ma siedmioro dzieci i w 2018 r. wygrał wybory na burmistrza Hódmezővásárhely, 47-tysięcznego miasta na południu Węgier, gdzie od po-

czątku lat 2000 rządził Fidesz (w 2019 r. Márki-Zay został wybrany na to stanowisko ponownie).

Potencjalny przyszły premier, z zawodu inżynier i handlowiec, także głosował na Fidesz przez wiele lat. Ale potem, jak twierdzi, „zaczął dostrzegać nepotyzm, korupcję i handel wpływami u rządzących”. Z poparciem partii opozycyjnych, od lewa do prawa, zdobył fotel burmistrza. Teraz ma powtórzyć ten manewr na poziomie krajowym. Tyle że Hódmezővásárhely to nie całe Węgry. A kandydat okazał się mało odporny na twardą grę, którą prowadzi z nim rząd oraz prorządowe media. Jednocześnie w opozycyjnej koalicji zaczęły się mnożyć spory.

Już tydzień po wiecu w Budapeszcie pojawiły się pierwsze rysy w anty-orbánowskim froncie. Powodem były billboardy z „licznikiem migrantów” zainstalowane przez Márki-Zaya w całym kraju, by pokazać „hipokryzję” premiera i lidera Fideszu, który zdaniem kandydata opozycji „wspólnie z Sorosem wypuszcza ich do kraju”. Akcja nie spodobała się szefowej partii Momentum Annie Donáth. Jej zdaniem opozycja nie zjednała sobie w ten sposób wyborców, ponadto „nie powinna sięgać po te same narzędzia co Fidesz”. Chodzi oczywiście o akcje billboardowe partii rządzącej uderzające w Sorosa i Unię Europejską.

Głównym źródłem napięć było jednak dążenie Márki-Zaya do stworzenia oddzielnej frakcji w Zgromadzeniu Narodowym, zarezerwowanej dla posłów niezależnych, przeciwnych Fideszowi. Kandydat opozycji w 2018 r. założył ruch Wszyscy Są Węgry (Mindenki Magyarországa Mozgalom – MMM) i chciał jego członków gdzieś upchać. To nieuchronnie wymagałoby od pozostałych partii bloku opozycyjnego poświęcenia części swoich miejsc w parlamencie. Najbardziej sprzeciwiał się temu pomysłowi Péter Jakab, lider Jobbiku, obawiając się konkurencji konserwatywnych towarzyszy politycznych Márki-Zaya.

W grudniu stosunki koalicji opozycyjnej z jej kandydatem na premiera przeżyły kolejny kryzys, gdy ten stwierdził, że młodzi wyborcy odwrócili się od Orbána, a „starszych, skłonnych głosować na Fidesz zdziesiątkował covid”. Sęk w tym, że starsi wyborcy są także nadreprezentowani wśród wyborców

Koalicji Demokratycznej Gyurcsány. Media przychylne Fideszowi oczywiście nie przepuściły okazji, by wytknąć to Márki-Zayowi.

Według „Magyar Hírlap” opozycja straciła kontrolę nad swoim kandydatem, który „nie potrafi się zachować na politycznych salonach”. Zdaniem publicysty „Magyar Demokrata” Gábora Bencsika jest on „uparty i nietolerancyjny”. „Nie nadaje się na premiera ani do tego, by przeprowadzić opozycji” – dodał.

CIEPŁA WODA W KRANIE

Słabych punktów były inżynier ma zresztą więcej, jednym z nich jest choćby to, że pod względem poglądów często oscyluje gdzieś na prawo od Orbána. Zdecydowanie bardziej w okolicach dawnego Jobbiku, który przekształcił się ostatnio z partii radykalnej w umiarkowane konserwatywną, niż socjalistów. Prorządowe media bombardują go więc zarzutami o antysemityzm oraz wspieranie neonazistów. Jeden z konserwatywnych publicystów zarzucił mu w izraelskim dzienniku „The Times of Israel” niechęć do Żydów. Márki-Zay odpowiedział mu na swój niepowtarzalny sposób, twierdząc, że „w Fideszu jest kilku Żydów”. A on jednego zna osobiście. I nawet go „szanuje”. Może teraz – zaczęły się złośliwie zastanawiać przychylne Fideszowi media – zamiast migrantów będzie liczył Żydów?

Ale potyczki i gafy kandydata zjednoczonej opozycji to niejedyne jej problemy. Drugim jest brak spójności. Zebrane w niej partie nic nie łączy z wyjątkiem chęci odsunięcia Orbána od władzy. 3 kwietnia, równoległe z wyborami, odbędzie się referendum rozpisane przez rząd ws. ideologii LGBT. W ubiegłym roku parlament w Budapeszcie (stosunkiem głosów 157 do 1) uchwalił ustawę, zgodnie z którą nikt nie ma prawa prowadzić edukacji seksualnej dzieci w szkołach bez wiedzy i zgody ich rodziców, propagować wśród nich zmiany płci oraz odmiennych orientacji seksualnych, w tym homoseksualizmu, a także podważać biologicznej tożsamości płciowej, z którą się one urodziły. Pomysł rozpisania referendum pojawił się kilka tygodni później, po tym, jak wspomniana ustawa doczekała się zmasowanej krytyki na Zachodzie. Rozpisanie referendum jednocześnie z wyborami

to zręczne posunięcie Orbána, bowiem badania pokazują, że w tej kwestii zdecydowana większość Węgrów myśli tak jak rząd.

To nie oznacza oczywiście, że nie ma ludzi niezadowolonych z Orbána i Fideszu. Te 45 proc. poparcia dla opozycji skądś się bierze. Pandemia, a następnie inflacja, zmęczyli obywateli. Fidesz rządzi już naprawdę długo i wielu Węgrów ma poczucie, że się zużył, skorumpował. Tyle że w przypadku Orbána wiedzą, na czym stoją, natomiast o programie opozycji wiadomo niewiele. Na pewno będzie chciała cofnąć wiele zmian wprowadzonych przez Fidesz na przestrzeni ostatnich 12 lat. W tym znowelizować konstytucję. I to nawet wtedy, jeśli nie zdobędzie konstytucyjnej większości. Jak tłumaczył Márki-Zay zmiany wprowadzone przez Orbána były „nielegalne”, dlatego opozycja, jeśli wygra wybory, nie będzie musiała przestrzegać wymaganej do zmian konstytucyjnych większości w parlamencie. W skrócie: będzie zwalczała „reżim” reżimowymi metodami. Reszta programu opozycji to: demokracja, praworządność, gospodarka rynkowa oraz integracja europejska. A gdzieś tam w dalszej przyszłości przyjęcie przez Węgry euro oraz chłodniejsze relacje z Rosją i Chinami. Płot postawiony przez Orbána na granicy przeciwko migrantom ma za to zostać. Ciepła woda w kranie na modłę węgierską.

Tymczasem węgierski rząd zwiera szeregi i zamraża ceny, by walczyć z inflacją. Przed wyborami nie podróżują cukier, olej, mąka, mięso i mleko. Nauczyciele, służby mundurowe, pracownicy socjalni, medycy, personel żłobków i przedszkoli, pracownicy interwencyjni – to tylko niektóre grupy zawodowe, które w nowym roku otrzymają kilkunastoprocentowe podwyżki pensji. Wzrosnąć także płaca minimalna. Ponadto wszystkie dodatkowe świadczenia, w tym 13. emerytura, wpłyną na konta już w lutym. Przedwyborcze prezenty mają przekonać wyborców do Fideszu. To na tym tle opozycja miała punktować Orbána, ale Fideszowi udało się przesunąć spór na płaszczyznę światopoglądową.

NICZYM DONALD TRUMP

To oczywiście nie oznacza, że partia rządząca ponownie wygra wybory, ale jak zauważa Péter Németh na łamach portalu Hírklikk, kampania idzie opozycji o wiele gorzej, niż zakładano. Jej program ma być niebawem gotowy, ale zdaniem publicysty może być już za późno na mobilizację antyorbánowskiego elektoratu, z którego część uważa, że Fideszowi nie da się pokonać. Inni liberalni komentatorzy wskazują na brak zaufania wśród partii opozycyjnych i przekonanie Márki-Zaya, które wyrażał zresztą wielokrotnie, że niektórzy jego sojusznicy „woleliby Orbána jako premiera”, a nie jego. Nie wykluczył także, że będą próbowali pozbyć się go, jak tylko dojdą do władzy.

Według najnowszych sondaży Fidesz wyprzedza obóz zjednoczonej opozycji o 4 pkt proc. (49 do 45 proc.). I ta przewaga wzrasta. Opozycja straciła dynamikę, którą bez wątpienia udało jej się wytworzyć na starcie. A rosnący brak zaufania pomiędzy liderami partii ją tworzących zaczyna działać na jej niekorzyść

Do tego pojawił się kolejny kandydat na premiera, węgierski król porno György Gattyán, który staruje jako niezależny kandydat i prezentuje się jako alternatywa zarówno dla Fideszu, jak i opozycyjnego bloku. Miliarder założył Ruch Rozwiązanie (Megoldás Mozgalom), który określa jako umiarkowaną partię liberalną. Gattyán celuje w te – jego zdaniem – 2 mln niezdecydowanych węgierskich wyborców, którzy nie chcą ani Orbána, ani Márki-Zaya. Ten ostatni zdążył go już zaatakować, gdyż

„każdy kto nie wspiera zjednoczonej opozycji, działa na korzyść partii rządzącej”. Według Márki-Zaya król porno to „kolejna marionetka Orbána”.

Niepewne zwycięstwo opozycji niepokoi, poza nią samą, europejskie elity i media. Portal Euronews uważa, że Fidesz przegra, ale Orbán, niczym Donald Trump, nie uzna wyniku wyborów. „Może dojść do scen jak w styczniu 2020 r. na Kapitolu” – czytamy. Węgierskie partie opozycyjne, stowarzyszenia obywatelskie i krytyczni wobec rządu eksperci ostrzegają zaś, że w kwietniowych wyborach może dojść do masowych nieprawidłowości. Jedną z organizacji pozarządowych Unhack Democracy domaga się, aby Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) wysłała do tego kraju misję do obserwacji wyborów. Niedawno dołączyła do nich grupa 62 europosłów z pięciu krajów. To, że wyborcza misja OBWE nie stwierdziła żadnych fałszerstw przy urnach w 2018 r. i ograniczyła się do wytykania Fideszowi szeregów propagandy, co miało ograniczyć „możliwość świadomego wyboru obywateli”, nie stanowi najwyraźniej przeszkody. Od tego czasu Fidesz – zdaniem europosłów – wprowadził zmiany do ordynacji wyborczej, które mają mu ułatwić reelekcję. Pod apelem o wysłanie misji OBWE do Budapesztu podpisała się m.in. niemiecka europoseł Socjaldemokratów Katarina Barley, prywatnie zaprzyjaźniona z Klárą Dobrev, żoną Gyurcsána.

Komisji Europejskiej tak bardzo zależy na pozbyciu się Orbána, że wyłożyła spore środki na uruchomienie strony internetowej na Węgrzech, prowadzonej przez francuską agencję prasową AFP we współpracy z Fundacją Media Universalis, która ma „wylapywać medialne kłamstwa”. Strona lakmusz.hu ma oczywiście o wiele dalej sięgające zadanie: wspierać opozycyjny blok w wyborach. Ale na decyzję Węgrów przy urnach raczej nie wpłynie. Ani nie uczyni węgierskiego systemu medialnego bardziej pluralistycznym. Może natomiast pomóc Orbánowi, który już gra w kampanii teżą o zewnętrznej ingerencji w proces wyborczy.

Jeśli Rosja zaatakuje Ukrainę



Minister obrony Ukrainy Ołeksij Reznikow powiedział w wywiadzie dla BBC, że „jeśli Rosja zaatakuje”, to będziemy mieć do czynienia nie tylko z tragedią jego ojczyzny, ale katastrofą dla całej Europy. Bo w jego opinii całkowicie realnym scenariuszem jest to, że „kilka milionów uchodźców” znajdzie się w Polsce i będzie się chciało przedostać do Niemiec

Antony Blinken, amerykański sekretarz stanu, podkreślił zaś w czasie niedawnej, co ważne, niezapowiedzianej, wizyty w Kijowie, że o tym, czy Rosja zaatakuje, przesądzą rozmowy prowadzone w najbliższych dniach, w tym jego spotkanie z Ławrowem w Genewie, które zaplanowano na ubiegły piątek. Kiedy więc ten numer tygodnika „Sieci” dotrze do Państwa rąk, będziemy być może więcej wiedzieć, na jaki scenariusz trzeba się szykować.

Na razie wszyscy przygotowują się do wojny. Wielka Brytania wysłała swe samoloty transportowe, które omijając przestrzeń powietrzną Niemiec, co wydaje się symptomatyczne, dostarczyły do Kijowa najnowocześniejsze rakiety zdolne do zwalczania sił pancernych w czasie walk toczonych w miastach. Ben Walles, brytyjski minister obrony, powiedział w wywiadzie dla dziennika „Daily Mail”, że Londyn oprócz tego, co już wysłał, może przekazać ukraińskim siłom zbrojnym w najbliższych dniach 2 tys. przenośnych wyrzutni rakietowych. „Od ośmiu lat pomagamy im budować obronę



MAREK BUDZISZ

– oświadczył Walles – i postanowiliśmy zwiększyć tę pomoc w obliczu rosyjskiej agresji. Wielka Brytania wspiera swoich sojuszników”. Państwa bałtyckie z kolei poprosiły Amerykanów o zgodę na wysłanie do Kijowa rakiet Stinger mogących zwalczać cele powietrzne oraz przeciwpancernych Javelin. Estonia chciałaby dostarczyć na Ukrainę również haubice samobieżne 155 mm, ale z tym może być problem, bo musi mieć zgodę Berlina, który co prawda zaopatruje w broń pół świata, ale przekazanie czegokolwiek Kijowowi jest niemożliwe w związku z niemieckimi „doświadczeniami historycznymi”. Jednak Waszyngton, jak informuje portal Politico, zamierza szybko i pozytywnie rozpatrzyć wnioski Bał-

tów, a dodatkowo prezydent Biden miał zdecydować o przekazaniu kolejnych 200 mln dol. na wsparcie ukraińskich sił zbrojnych. Białe Dom poinformował też, jak donosi Reuters, amerykańskich producentów czipów, aby ci przygotowali się na istotne ograniczenia eksportowe, które mogą w najbliższej przyszłości objąć Rosję. Sygnał ten można traktować zarówno w kategoriach ostrzeżenia dla Moskwy, że Ameryka, zapowiadając „piekielne sankcje”, w razie jej ataku na Ukrainę nie żartuje, jak i przekonanie, że rosyjskie uderzenie jest bliskie.

NIEZAPOWIEDZIANE MANEWRY

Na ten ostatni scenariusz wskazywałyby doniesienia dziennikarzy z Conflict Intelligence Team, którzy alarmowali pod koniec minionego tygodnia, że rosyjskie wojska znajdują się na Białorusi w odległości 200 km od Kijowa. Nie powinno ich tam być, bo zapowiedziane kilka dni temu manewry rosyjsko-białoruskie mają się toczyć na poligonach zlokalizowanych gdzie

indziej. Pojawienie się oddziałów rosyjskich w okolicach Homla, w odległości 40 km od granicy, wywołało spore zaniepokojenie, bo świadczy o tym, że Rosjanie przyspieszyli koncentrację swych wojsk i okrażanie Ukrainy.

„Sojusznicza Gotowość 2022”, bo tak nazwano niezapowiedziane manewry sił zbrojnych Rosji i Białorusi, odbywać się będzie na pięciu poligonach, a w ich trakcie wykorzystane mają być cztery lotniska, z których większość położona jest w pobliżu granic Ukrainy. Skala tych, mających się zacząć 10 lutego, ćwiczeń, jest też bezprecedensowa, jak na niezapowiedziane manewry typu „snap”, które zazwyczaj sprawdzają stan gotowości oddziałów operacyjnych. Zresztą Aleksandr Fomin, rosyjski wiceminister obrony, jeden z uczestników negocjacji NATO – Rosja w Genewie, już zapowiedział, że zgrupowanie to może zostać powiększone, a w tym celu „trzeba będzie wykorzystać cały potencjał wojskowy” państwa związkowego Rosji i Białorusi.

O tym, że Rosja nie zamierza deeskalować sytuacji, świadczą też doniesienia o przemieszczaniu w stronę Ukrainy oddziałów ze wschodniego, najdalej położonego rosyjskiego okręgu wojskowego.

KONCENTRACJA WOJSK

Innymi słowy, wiele znaków wskazuje na to, że na Kremlu decyzja o wojnie z Ukrainą już zapadła. Kwestią fundamentalną pozostaje pytanie, z jakiego rodzaju scenariuszem tej wojny możemy mieć do czynienia, a tu przydatna jest próba oszacowania, jakimi siłami wojskowymi dysponują Rosjanie. Nie chodzi przy tym o potencjał całego państwa, lecz o siły, które mogą zacząć wojnę niejako z marszu, bez sygnalizacji strategicznej i długich przygotowań. Według ostatnich doniesień CNN, a dziennikarze stacji powoływali się na informacje ukraińskiego wywiadu, Rosja ma obecnie przy granicach z Ukrainą 127 tys. żołnierzy, z tego 106 tys. to wojska lądowe, a pozostała część to marynarka wojenna i lotnictwo. Zbliżone szacunki zaprezentowali niedawno Michael Kofman i Dmitry Gorenburg, analitycy think tanku CNA [główny ośrodek ekspercki amerykańskiej marynarki wojennej]. W ich opinii Rosjanie skon-

centrowali w rejonach nadgranicznych „maksymalnie 60 batalionowych grup taktycznych [BTG] wraz z elementami wsparcia”. BTG są zorganizowanymi zadaniowo formacjami, z których każda liczy średnio 800 osób. Przekłada się to na ok. 48 tys. żołnierzy. Po dodaniu jednostek wspierających całkowita liczba rosyjskich żołnierzy prawdopodobnie wyniesie 85 tys. – a kolejne, jak jeszcze kilkanaście dni temu argumentowali, są w drodze. Oprócz tych regularnych oddziałów rosyjskich w ukraińskim rejonie Donbasu znajduje się ok. 15 tys. sił separatystycznych lub formacji kierowanych przez Rosję. Media informują w sumie o ok. 100 tys. żołnierzy, ale szacunki są bardzo zróżnicowane. To oczywiście nie oznacza szczytu rosyjskich możliwości, tym bardziej że koncentracja wojskowa trwa.

Antony Blinken powiedział niedawno w Kijowie, że jego zdaniem Rosjanie mogą nawet podwoić swój potencjał skoncentrowany wokół Ukrainy, a to oznacza, że szacowana przez amerykańskich ekspertów liczba 175 tys. żołnierzy niezbędnych, aby zaatakować, może się pojawić przy granicach już w najbliższych dniach. Kofman i Gorenburg są zdania, że Moskwa może zaatakować między 10 lutego a końcem tego miesiąca, bo potem zachodzi ryzyko odwilży, co spowolni tempo natarcia.

WOJENNE SCENARIUSZE

W gruncie rzeczy podobnie zdają się myśleć Philip G. Wasilewski, były oficer CIA, i Seth J. Jones, analityk i ekspert, którzy wspólnie przygotowali dla Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS), innego amerykańskiego think tanku strategicznego, prognozę, jak może wyglądać wojna na Ukrainie. Ich zdaniem skala operacji, jeśli oczywiście dojdzie do „wielkiej wojny”, będzie bezprecedensowa, największa w Europie od II wojny światowej. Możliwe w tym wariacie, ale czy prawdopodobne, to osobna kwestia, są trzy podstawowe kierunki rosyjskiego uderzenia. Z północnego wschodu na Nieżyn i z północy na Czernichów, a dodatkowo z Białorusi z okolic Mozyrza po to, aby oskrzydlić i szybko zdobyć Kijów.

Jednak w opinii innych amerykańskich ekspertów, z Institute for the Study

of War, tak szeroko zakrojona operacja wojskowa jest z rosyjskiego punktu widzenia posunięciem bardzo ryzykownym. Decyduje o tym zarówno konieczność pokonania zdeterminowanej obrony ukraińskiej, która z pewnością walczyć będzie o stolicę, jak i warunki geograficzne. Dniepr jest rzeką szeroko rozlaną, trudną do przebycia, najbliższy most na południe od Kijowa leży w odległości niemal 100 mil i Rosjanie musieliby go zdobyć, jeśli chcieliby okrążyć ukraińską stolicę. Walki w mieście też nie są ich specjalnością, a skala ewentualnych strat, także po stronie ludności cywilnej, byłaby w razie realizacji tego rodzaju scenariusza gigantyczna. Kijów to nie Aleppo, które można było długo bombardować i nawet jeśli, dominując w powietrzu, Rosjanie zdecydowałiby się na taki wariant, to straty polityczne w obliczu krwawej łaźni, która wiązałaby się ze zdobywaniem ukraińskiej stolicy, mogłyby przewyższać ewentualne zyski. Chyba że Putin uważa, iż Ukraina to „państwo z dykty”, które upadnie po pierwszym uderzeniu. Eksperci z Institute for the Study of War są też zdania, że Rosjanie musieliby, już po zdobyciu Kijowa i podzieleniu państwa na dwie części, trochę na wzór tego co Hitler zrobił z Francją, wysłać na kontrolowane przez siebie tereny armię liczącą 325 tys. żołnierzy, inaczej nie byłoby w stanie panować nad sytuacją.

Inny wariant brany poważnie pod uwagę to operacja, która ma swój początek w dzisiejszych „republikach ludowych” Donbasu i w zależności od siły ukraińskiego albo ogranicza się do „poprawienia” obecnej linii frontu, która zdaniem ukraińskich ekspertów, takich jak Jurij Butusow, dziennikarz i do czerwca ub.r. doradca ministra obrony, nie przebiega z rosyjskiego punktu widzenia korzystnie. Gdyby się jednak okazało, że marsz rosyjskich oddziałów jest szybszy (Amerykanie wątpią, aby były się one w stanie przemieszczać w tempie większym niż 20 mil dziennie), to Moskwa może się pokusić o zrealizowanie ambitniejszego scenariusza, jakim byłoby uzyskanie korytarza lądowego na Krym. Z anektowanego półwyspu, w opinii analityków CSIS, mogłoby wyjść uderzenie na Chersoń i dalej na północ. W tym rozwiązaniu Rosjanom może przede wszystkim chodzić o opanowanie



źródeł i zbiorników retencyjnych umożliwiających bezproblemowe zaopatrywanie Krymu w wodę. Agdyby uderzenie rozwijało się dobrze, to siły rosyjskie mogłyby się zwrócić w stronę Odessy.

W opublikowanej na początku grudnia przez niemiecki „Bild” analizie mówiło się też o możliwości wysadzenia desantu na Odessę i wykorzystaniu w tym celu rosyjskich sił z Krymu i znajdujących się w Naddniestrzu, ale w opinii amerykańskich analityków wojskowych ten scenariusz jest najtrudniejszy i w związku z tym najmniej prawdopodobny, choć morska blokada Ukrainy może być jednym z punktów rosyjskiej operacji wojskowej.

Wasilewski i Jones są zdania, że te najbardziej agresywne działania Rosji, w rodzaju próby przecięcia kraju na dwie części czy uzyskanie korytarza lądowego na Krym, są, zważywszy na skalę operacji i związane z tym problemy z zakresu dowodzenia, trudności logistyczne i ewentualne straty własne, mniej prawdopodobne. Ukraińcy mieli bowiem osiem lat na odpowiednie przygotowanie obrony.

W większym stopniu należałoby się liczyć z działaniami, które zaczynają się w Donbasie, inicjowane przez separatystów, np. w odpowiedzi na zorganizowaną przez rosyjskie służby specjalne prowokację, a wspierane przez lotnictwo i wojska rakietowe, które atakują ukraińskie zgromadzenia w sposób bezkontaktowy. Może temu też towarzyszyć zmasowany atak internetowy na elementy infrastruktury wrażliwej.

Microsoft Threat Intelligence Center (MSTIT), specjalistyczna komórka tego softwarowego giganta zajmująca się bezpieczeństwem w sieci, poinformowała kilkanaście dni temu o wykryciu w „bardzo dużej liczbie” ukraińskich serwerów, zarówno instytucji publicznych, jak i firm prywatnych wyjątkowo złośliwego oprogramowania, które jeszcze nie zostało aktywowane, co może oznaczać, że w momencie ataku w ten właśnie sposób ukraińska infrastruktura zostanie obezwładniona. Może oczywiście chodzić o wywołanie paniki, chaosu, złamanie woli oporu. O tym, że z tego rodzaju sce-

nariuszem poważnie liczą się w Kijowie, może świadczyć ostatnie orędzie prezydenta Zelenskiego, które wygłosił on po spotkaniu z Blinkenem, a przed przyjazdem do Polski. Uspokajał swoich rodaków, mówiąc, że rosyjska agresja trwa już osiem lat i kraj jest przygotowany na jej odparcie.

MOŻLIWA NIESPODZIANKA

Generalnie wśród zachodnich ekspertów panuje przekonanie, że Putin nie pójdzie na „wielką wojnę”, bo zbyt dużo by ryzykował, a nie uchodzi za człowieka o duszy hazardzisty. Nie oznacza to jednak, że konflikt, który może się zacząć w każdej chwili lokalnie, nie będzie eskalował do poziomu wielkiego starcia. Taki wariant jest możliwy, a nawet prawdopodobny. Specjaliści zwracają uwagę również na to, że Rosjanie zawsze dotąd, w czasie swych ostatnich wojen i interwencji, byli w stanie czymś Zachód zaskoczyć. Tak może być i teraz, co oznacza, że charakter, skala i miejsce ataku mogą stanowić niespodziankę.

Rewolucja antropologiczna

Dokonyuje się totalna dekonstrukcja najbardziej elementarnych składników naszego człowieczeństwa: życia, śmierci, płci czy natury. Znikają wszelkie pewniki, na których przez wieki opierała się ludzka egzystencja. Co w zamian proponują rewolucjoniści?



GRZEGORZ GÓRNY

Zyjemy dziś w świecie, w którym stopniowo dokonuje się pełzająca rewolucja antropologiczna. Na naszych oczach zakwestionowany zostaje sposób rozumienia tego, jak człowiek się rodzi, jak umiera, jaką ma płć czy jaką ma naturę. Wylaniający się z tego procesu nowy model człowieczeństwa nie ma nic wspólnego nie tylko z wizją antropologiczną, którą odnajdujemy w Biblii, lecz także z wiedzą opartą na naukach biologicznych. Spróbujmy prześledzić pokrótce współczesną negację podstawowych elementów *conditio humana*.

JAK POWSTAJE ŻYCIE CZŁOWIEKA?

Z biologicznego punktu widzenia nie ma najmniejszych wątpliwości, że życie ludzkie zaczyna się od momentu poczęcia i nie jest to kwestia wiary, lecz wiedzy, zgodna ze wszystkimi kryteriami współczesnej biologii molekularnej.

Od chwili połączenia komórki jajowej i plemnika powstaje nowa, unikatowa istota ludzka, rozwijająca się dzięki samosterującym procesom wzrostu. Posiada własny niepowtarzalny genotyp i już w pierwszych 30 godzinach swego istnienia jest tak zaprogramowana, iż zawiera w sobie wszystkie informacje na temat własnego rozwoju. Współczesna genetyka mówi, że już wówczas mieści ona w sobie ponad 100 tys. specyfikacji skodifikowanych w genach chromosomów.

A jednak to rozumienie narodzin, oparte na zdobyczach nauk przyrodniczych, jest dziś coraz powszechniej odrzucane. Co znamienne, ci, którzy kwestionują to rozumienie, odwołując się do całej dostępnej nam wiedzy naukowej, sami nie potrafią przekonująco wskazać momentu, w którym miałyby się narodzić życie. Mamy więc do czynienia z sytuacją paradoksalną: z jednej strony na niespotykaną skalę rozwijamy inżynierię genetyczną i snujemy gigantyczne plany manipulowania ludzkim genomem, a z drugiej stajemy nagle bezradni i nie jesteśmy w stanie stwierdzić najprostszego faktu, kiedy zaczyna się ludzkie życie.

W rzeczywistości jest to wiedza znana i oczywista, a jej odrzucenie wynika tylko z jednego powodu: chęci usankcjonowania aborcji jako czynu

dopuszczalnego moralnie. Chodzi o to, by nie przyznać, że mamy do czynienia z uśmierceniem istoty ludzkiej. Właściwie nie ma innej przyczyny, dla której negowano by tak uparcie powszechnie dostępne fakty biologiczne.

KIEDY CZŁOWIEK UMIERA?

Obowiązująca przez wieki definicja śmierci uznawała za odejście z tego świata moment nieodwracalnego ustania akcji serca i czynności oddechu. Wspomniana definicja, oparta na kryteriach krążeniowo-oddechowych, została jednak uzupełniona o definicję alternatywną, wprowadzającą nowe pojęcie „śmierci mózgowej”. Po raz pierwszy znalazła ona zastosowanie w oficjalnym ustawodawstwie w roku 1970, a jej opracowanie było dziełem tzw. Komisji Harwardzkiej, powołanej do życia dwa lata wcześniej. Istotą nowego podejścia było orzeczenie „braku samoczynnego działania mózgu”, nawet jeśli czynności krążenia i oddychania nie ustały, wspomagane przez aparaturę medyczną.

Przyjęcie nowego kryterium orzekania zgonów spowodowało, że zaczęto oficjalnie uznawać za nieżywych ludzi, którzy nie byli zimni, sztywni czy błądzi, lecz mieli normalną lub podwyższoną temperaturę ciała, ich skóra była



Fot. Shutterstock

różowa, układ krążenia funkcjonował, serce biło, płuca pobierały tlen, dokonywała się przemiana materii, rany zablizniały się, działał układ immunologiczny. Mimo to takie osoby definiowano jako martwe z jednego tylko powodu: orzeczenia o stanie ich mózgu. Dlatego w literaturze specjalistycznej pojawił się nawet termin „żyjące zwłoki” na określenie statusu takich ludzi. Czy jednak zwłoki mogą żyć?

Warto odpowiedzieć sobie na pytanie, jakie przesłanki kryły się za wprowadzeniem nowej definicji. Wyjaśniła to sama Komisja Harvardzka, która stwierdziła, iż przystępowała do prac z gotową tezą, by zdefiniować jako nowe kryterium śmierci „nieodwracalną śpiączkę”. Chodziło o to, że dotychczasowa definicja uniemożliwiała transplantację serca. Przeszczep tego organu jest bowiem możliwy tylko wówczas, gdy bije serce dawcy. Gdy bić przestaje, operacja staje się niemożliwa. W świetle starej definicji człowiek z bijącym sercem był jednak

uznawany za osobę żyjącą, a od żyjącej osoby w świetle prawa nie można pobierać narządów niezbędnych do życia. Wyjściem z sytuacji okazało się stworzenie nowej definicji. Wprowadzając ją, Komisja Harvardzka nie kryła, że głównym motywem jej działań było prawne umożliwienie dokonywania przeszczepów serca.

Śmierć jest faktem jednorazowym i nieodwracalnym. A jednak zdarzały się przypadki osób, u których orzeczono oficjalnie śmierć mózgową, a które później „wracały do życia”, ciesząc się nawet pełnią zdrowia. Poza tym od 1968 r., gdy powstała nowa definicja, medycyna poczyniła takie postępy, że dzięki nowym metodom, np. hipotermii, ratuje się dziś osoby, które jeszcze 30–40 lat temu uznawano oficjalnie za martwe i pobierano od nich narządy. Już samo to każe postawić pod znakiem zapytania definicję śmierci mózgowej.

W takiej sytuacji część lekarzy i bietyków uważa, iż uczciwiej byłoby powiedzieć, że mamy do czynienia nie

z osobami martwymi, lecz żywymi, które posiadają uszkodzony pień mózgu i którym lekarze nie dają szans na wyjście z beznadziejnego stanu, rekomendując pobranie organów. Przy takim podejściu transplantacja serca byłaby jednak czynem wątpliwym moralnie, a nawet niedopuszczalnym. Nową definicję wprowadzono, by uporać się z tym problemem.

ILE PŁCI MA CZŁOWIEK?

Wszystkie fakty biologiczne mówią, że człowiek może mieć tylko jedną z dwóch płci: męską lub żeńską. Przekonuje o tym genetyka, anatomia, morfologia, endokrynologia i inne gałęzie nauki. Są tylko dwa rodzaje par chromosomów: XX u kobiet i XY u mężczyzn (nie ma żadnego trzeciego), są dwa rodzaje gamet: komórka jajowa u kobiet i plemnik u mężczyzn (nie ma żadnych trzecich), są dwa rodzaje narządów płciowych: żeńskie i męskie (i nie ma żadnych innych).

Mimo to rozpowszechniła się dziś nowa teoria, która mówi o wielości i płynności płci. Nie znajduje ona jednak żadnego oparcia w naukach przyrodniczych i faktach biologicznych. Jedyne jej źródłem jest świadomość osób, które definiują swoją płciowość w kryteriach wypracowanych przez twórców owej teorii. Jedyne swoje uzasadnienie znajduje ona zatem w tym, co rodzi się w głowach poszczególnych jednostek. Ich wola ma wyższość nad faktami. Jeśli zechcą nazwać się osobami niebinarnymi, to należy to zaakceptować, nawet jeśli wszystkie dowody empiryczne przeczą tej subiektywnej deklaracji.

Główna twórczyni tej teorii, amerykańska feministka Judith Butler, głosi, że płeć nie jest faktem anatomicznym, lecz jest tworzona przez słowo. W tym celu wprowadziła ona do obiegu przymiotnik „performatywny”, co w języku teatru oznacza „taki, który jest tworzony na oczach widzów”. Jej zdaniem nikt nie rodzi się kobietą ani mężczyzną, lecz zostaje na przedstawiciela płci męskiej lub żeńskiej „performatywnie mianowany”. Cóż to znaczy? Otóż istnieją takie zdania, które kreują rzeczywistość. Na przykład: „Ogłaszam

was mężem i żoną”. Albo: „Mianuję cię generałem”. Są to pewne słowa zaklęcia. Takim samym zaklinaniem rzeczywistości jest – według Butler – okrzyk położnej, która odbierając poród i widząc narządy płciowe noworodka, oznajmia „chłopak” lub „dziewczynka”. Owa akuszerka – jej zdaniem – nie opisuje stanu faktycznego, lecz tworzy mityczną narrację, której ulegają rodzice i otoczenie niemowlęcia, bezmyślnie i nieświadomie podtrzymując to nieuzasadnione mniemanie i wprowadzając je następnie do świadomości dziecka.

Paradoksalnie Judith Butler sama reprezentuje to, o co oskarża wszystkie pokolenia we wszystkich cywilizacjach na przestrzeni wszystkich wieków, czyli poddanie się mitycznej narracji. W rzeczywistości to ona zastępuje światopogląd naukowy myśleniem magicznym. Kryje się za tym przekonanie, że możemy zmieniać fakty biologiczne za pomocą słów, np. jednym okrzykiem uczynić z chłopca dziewczynkę lub z dziewczynki chłopca. De facto oznacza to przypisanie człowiekowi prerogatyw boskich, które znamy z biblijnej Księgi Rodzaju, gdy Bóg stwarzał świat właśnie za pomocą słowa.

Rozwinięciem powyższej koncepcji stało się twierdzenie, jakoby płci było więcej niż tylko dwie. Ile? Trudno powiedzieć. Na początku miało być ich pięć: męska, żeńska, biseksualna, homoseksualna i transseksualna. Z czasem okazało się, że może ich być nawet kilkadziesiąt, a ich liczba rośnie wraz z rozwojem teorii gender. W końcu ludzka pomysłowość nie zna granic.

CZY CZŁOWIEK MA W OGÓLE NATURĘ?

Przyjęcie teorii gender oznacza wyzwolenie się od praw natury, które mogą być dowolnie kształtowane przez człowieka. W tej koncepcji człowiek jest panem, a nawet twórcą swej natury i jej praw. Od tego już tylko krok do kolejnego etapu naszego rozwoju, który niezwykle popularny dziś myśliciel Yuval Noah Harari zawarł w tytule swej głośnej książki „Homo Deus” (Człowiek Bóg). Jego zda-

niem dzięki genetycznemu projektowaniu ciał i sztucznej inteligencji ludzie mają szansę osiągnąć nieśmiertelność i doczesną szczęśliwość.

Ten nurt myślenia bierze swój początek od humanizmu ewolucyjnego brytyjskiego biologa Juliana Huxleya (notabene brata Aldousa Huxleya, autora powieści „Nowy wschodni świat”). Szukał on sposobów przekroczenia kondycji gatunkowej człowieka po to, by ludzkość nie tylko biernie uczestniczyła w kosmicznym procesie ewolucji, lecz także kierowała nim. Połączenie ludzkiego umysłu z otaczającym nas światem przyrody, a nawet szerzej

Transhumanistyczna postfeministka Donna Haraway, autorka książki „Manifest cyborga”, uważa, że już w niedalekiej przyszłości transludzie rozwiążą wszelkie problemy płciowe, ponieważ sami będą mogli zmieniać sobie płeć dowolnie, w zależności od nastroju, nawet z dnia na dzień

– z całym kosmosem, ma nadać temu ostatniemu własną samoświadomość.

To właśnie Julian Huxley wymyślił w 1957 r. termin „transhumanizm”, który dziś robi oszałamiającą karierę. Rewolucja cyfrowa nadała temu wyrazowi nowe znaczenie. Jak mówi Robin Hanson, obecnie jest to „pogląd, że nowe technologie są w stanie zmienić świat w następnym stuleciu lub dwóch tak bardzo, iż nasi potomkowie w wielu aspektach nie będą mogli być już uważani za ludzi”. Ma się to dokonać dzięki zastosowaniu innowacji z takich dziedzin, jak m.in. inżynieria genetyczna, nanotechnologia molekularna czy neurofarmaceutyka. Transludzie mieliby

przypominać cyborgi dysponujące np. interfejsami mózg-komputer lub wielofunkcyjnymi protezami.

Już w tej chwili trwają zaawansowane badania i prace nad takimi rozwiązaniami, finansowane przez właścicieli i dyrektorów z branży Big Tech, wśród których jest szczególnie wielu entuzjastów i teoretyków transhumanizmu. Od czasu do czasu wypuszczają oni na rynek jakiś prototyp, taki jak np. nowojorski artysta Neil Harbisson, który jest pierwszym na świecie człowiekiem z wszczepioną anteną w czaszce. Antena przekazuje bezpośrednio do jego mózgu pomiary promieniowania elektromagnetycznego, rozmowy telefoniczne, muzykę, filmy, a nawet umożliwia odbieranie sygnałów i danych z satelitów.

Transpłciowość i transhumanizm mają te same podstawy antropologiczne. Wychodzą mianowicie z założenia, że ludzka natura może być zmieniana zgodnie z tym, czego sobie zażyczymy. Píše o tym zresztą wprost w swej książce „Manifest cyborga” transhumanistyczna postfeministka (jak się sama przedstawia, cokolwiek by to miało znaczyć) Donna Haraway. Uważa ona, że już w niedalekiej przyszłości transludzie rozwiążą wszelkie problemy płciowe, ponieważ sami będą mogli zmieniać sobie płeć dowolnie, w zależności od nastroju, nawet z dnia na dzień.

Dokonująca się na naszych oczach rewolucja antropologiczna sprawia, że wszystko jest płynne: życie, śmierć, płeć, natura... Dokonuje się totalna dekonstrukcja najbardziej elementarnych składników naszego człowieczeństwa. Znikają wszelkie pewniki, na których przez wieki opierała się ludzka egzystencja.

Dekonstrukcja jest jednak potrzebna, by móc później dokonać rekonstrukcji. W miejsce starych pewników mają pojawić się nowe. Płynna tożsamość zakłada, że jesteśmy w stanie się „samokonstruować”, jak tylko chcemy. Kluczowa jest wola. Wola mocy. W sumie to tylko inna wersja słów wypowiedzianych przez węża do niewiasty: „Będziecie jak bogowie”.

Tożsamość konstytucyjna – odkrywana czy kreowana



*„W trosce o byt i przyszłość naszej Ojczyzny, odzyskawszy w 1989 r. możliwość suwerennego i demokratycznego stanowienia o Jej losie, my, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i niepodzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł...”.
Czy zastanawiamy się głębiej nad preambułą polskiej konstytucji?*



BRONISŁAW WILDSTEIN

Spory jej dotyczące odnoszą się do poszczególnych artykułów, a nawet paragrafów tego dokumentu. Dotyczą konkretnego prawnoustrojowego urzędu państwa i wiążą się z pytaniami o zgodność poszczególnych ustaw z najwyższą spisaną normą. Poprzedzenie jednak owych ustrojowych rozwiązań przez preambułę demonstruje ich podstawę. Wskazuje, że dla jej twórców istnienie fundamentalnych zasad, z których musi wyrastać konstytucja, jest niekwestionowalne. Nie mogli oni także abstrahować od stanu ducha narodu, a więc postaw ludzi go tworzących. Preambuła do konstytucji musiała go wyrażać choćby dlatego, że w innym wypadku dokument ten nie zostałby zaaprobowany. Trzeba więc uznać, że podstawowy porządek aksjologiczny jest powszechnie uznawany w naszym kraju.

Wyrażone w preambule idee wykraczają poza naszą narodową specyfikę i stanowią normy ludzkiej egzystencji. Prawda, sprawiedliwość, dobro i piękno są zasadniczymi obiektami odniesienia, w każdym razie cywilizacji zachodniej.

Uznać można, że sam akt powołania konstytucji jest ich uznaniem i wskazuje rzecz oczywistą dla każdego, kto obserwuje historię, a więc także wyodrębnianie się i ewolucję prawa, tzn. fakt, że wyrasta ono z obyczaju, a szerzej ładu fundującego kulturę danej zbiorowości.

Na przywołanie historii wyjątkowo często trafiamy w konstytucjach krajów postkomunistycznych. Bezpośrednio do swoich dziejów odwołują się narody, które spojrzały w oczy ontologicznemu zagrożeniu, stanęły na skraju utraty tożsamości, gdyż zagrożenie takie stanowiła choćby narzucona z zewnątrz rewolucja i postępujący za nią totalitarny system. Ten stan rzeczy rozpoznawany był powszechnie

w narodach wprzęgniętych w komunistyczne jarzmo. Znalazło to swoje odbicie w ich nowych konstytucjach. Naturalnie, nie w tych, przyjętych wcześniej, pod nadzorem przetransformowanych w socjaldemokratów i liberalów komunistów, którzy nadal kontrolowali życie państwa. Toteż nie ma odniesień do historii w konstytucjach Rumunii i Bułgarii, które pochodzą z 1991 r. W Polsce jednak, pomimo że konstytucja uchwalona została przez rządzące wówczas postpeerelowskie ugrupowania, jej twórcy musieli uwzględnić świadomość powszechną, a pogrobowcy dawnego systemu zdecydowanie odcinali się od swoich korzeni.

* * *

Konstytucje narodowe, takie jak polska, odwołują się do uniwersalnych zasad, ale jednocześnie odzwierciedlają tradycję i kulturę polityczną określonej wspólnoty. To fundamentalne znaczenie historii objawia się także paradoksalnie w coraz częstszych wysiłkach jej negacji, czyli wyobrażeniu, że jesteśmy w stanie dowolnie ją przekształcać. Z tego typu podejściem mieliśmy do czynienia przy próbie stworzenia konstytucji europejskiej. Jej projekt odrzucony został w referendum we Francji i Holandii. Nie spowodowało to jednak rezygnacji z jej ustaleń ze strony europejskich elit. Poszczególne jej elementy po cichu wprowadzone zostały do traktatu lizbońskiego, a w konsekwencji do prawa unijnego. Strategia ta jest charakterystyczna dla kontynentalnego establishmentu. Demokratyczne wybory realnie akceptuje on wyłącznie wtedy, kiedy przebiegają zgodnie z jego zamierzeniami. W innych przypadkach formalnej zgodzie towarzyszą próby zakwestionowania demokratycznego status quo. Ostatnio obserwować możemy to ze strony instytucji unijnych w stosunku do ugrupowań rządzących na Węgrzech i w Polsce, które atakowane są za swoją polityczną orientację.

Szczególne rolę w tych działaniach odgrywa Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Faktycznie interpretuje on traktaty jako rodzaj konstytucji, a swoją rolę identyfikuje z trybunałem stojącym na jej straży. Rozszerza przy

tym niezwykle swoje uprawnienia. Obserwowaliśmy to przy okazji nagonki na Polskę pod pretekstem łamania w naszym kraju praworządności. Arbitralność TSUE podnoszona była wielokrotnie. Tytułem anegdoty warto przypomnieć, że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy nasz kraj był pociągany do odpowiedzialności z powodu wpływu władzy ustawodawczej na nominacje sędziowskie, sąd z Luksemburga uznał za zgodne z europejskim prawem mianowanie przez premiera sędziów na Malcie.

TSUE, jak również inne instytucje europejskie z Komisją i Parlamentem na czele, ma skłonność do lekceważenia szczegółowych zapisów lub ich nieistnienia w traktatach i odwoływania się do ogólnikowego artykułu drugiego traktatu o UE: „Unia opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości. Wartości te są wspólne państwom członkowskim w społeczeństwie opartym na pluralizmie, niedyskryminacji, tolerancji, sprawiedliwości, solidarności oraz na równości kobiet i mężczyzn”.

Współcześnie zwłaszcza zapis ten może znaczyć wszystko. A niestety znaleźliśmy się w epoce, w której dowolność w podejściu do prawa jest zagrożeniem nie tylko ze strony trybunałów konstytucyjnych, do której to roli bezprawnie aspiruje TSUE, ale w ogóle ze strony całego współczesnego systemu sądownictwa.

* * *

Zgodnie z obiegowym stereotypem żyjemy w erze postmetafizycznej. Oznaczać to ma, że zakwestionowany został i nie obowiązuje już ład świata, który przyjmowany był powszechnie w poprzednich epokach. Traktowane jest to przez dominujące ośrodki opinotwórcze jako wyzwolenie człowieka z tradycyjnych schematów poznawczych i symptom postępu. Rzecznicy tego wyobrażenia uważają, że nie ma już powrotu do pierwszych zasad, przeświadczenia o naturze rzeczy i świata oraz wywiedzionego z tego

porządku. Podejście takie wyrasta ze swojszczyzny rozumianego historycyzmu, czyli przekonania o rozpoznaniu przez człowieka determinizmu dziejowym i ma niewiele wspólnego z głębszą świadomością historyczną, która w dużej mierze kształtuje nasze postrzeganie i stosunek do rzeczywistości. Jedną z bardziej konsekwentnych rozpraw z tego typu myśleniem opartą na podstawach metodologii dał Karl Popper w „Nędzy historycyzmu”. Paradoksalnie owo deterministyczne podejście jest charakterystyczne dla liberalistów. Jak można je godzić z kultem osobniczej wolności, pozostanie ich słodką tajemnicą.

Wizja świata, w którym nie obowiązują już elementarne zasady, gdyż pluralizm doprowadził do równouprawnienia ich alternatywnych projektów, otwiera pole chaosowi i nie jest możliwa do przeniesienia na praktykę polityczną, ma więc charakter perswazyjno-ideologiczny. Sama bowiem stanowi nową metafizykę. Postrzeganie człowieka jako samostwarzającej się monady pociąga za sobą określoną interpretację rzeczywistości z nacelną tezą, że natura dla ludzi stanowi jedynie plastyczne tworzywo. To, że myśl taka musi wikać się w nieskończoną liczbę sprzeczności, to jedno, drugie, że im bardziej kwestionuje jakikolwiek ład świata, a tym samym fundamenty, na których może oprzeć się praktyka człowieka, tym bardziej dogmatycznie rewindykuje swoje nowe aksjomaty i ustrój, który ma z nich wyrastać. Liberalizm ma również swoją metafizykę, a co więcej, jej konkretyzacja jest mocno zideologizowany ustrój, który ma totalitarne skłonności.

Rzecznicy dominującej dziś ideologii protestują przeciwko takiej kwalifikacji swoich poglądów. Uznają, że wyrażają one po prostu postęp i racjonalność, a więc winny być intelektualną podstawą uniwersalnej cywilizacji, dziś już realizowanej w Europie, przeciw której oponować mogą wyłącznie ludzie uwięzieni w tradycyjnych przesądach lub powodowani złymi skłonnościami

coraz częściej, zgodnie z dziedzictwem komunistycznego Frontu Ludowego, nazywani faszystami. Stygmat taki delegitymizuje i usuwa z cywilizowanego świata.

* * *

Ideologia emancypacji obiecuje pełne wyzwolenie człowieka z wszelkich limitów kulturowych, a nawet naturalnych. Rzeczywiście każda forma to równocześnie ograniczenie; po to, aby wyróżnić i wskazać jakiś byt, trzeba mu nadać kontury, a więc zamknąć go w określonym kształcie. Jeśli przyjmujemy, że człowiek jest jedynym istnieniem, którego naturą jest brak natury, to od razu pojawia się pytanie:

Trzeba zacząć od odejścia od obecnej funkcji prawa oraz prawników i przywrócenia społecznej kontroli nad nimi. W ten sposób odpowiedzieć możemy na pytanie: „Kto dopilnuje strażników?”

na jakiej zasadzie jesteśmy w stanie go wyodrębnić, gdyż sama zdolność autokreacji raczej do tego nie wystarczy. Na podobne paradoksy trafiamy, próbując określić pojęcia-fetysze nowej ideologii, takie jak wolność, równość, tolerancja, pluralizm. Wolność w nowym ujęciu została wyabstrahowana z kulturowego kontekstu. Czy koncentracja wyłącznie na jej negatywnym aspekcie, czyli wyzwoleniu człowieka od wszelkich ograniczeń, nie wydaje go na łup popędów i nie sprowadza do animalnego statusu? Czy stan taki można nazwać wolnością? Zgodnie z klasycznym jej ujęciem jest to jej zaprzeczenie.

Ideologia emancypacji nakierowana jest na walkę z wszelkimi mocnymi, a więc naturalnymi tożsamościami człowieka: od religijnej, cywilizacyj-

nej i narodowej poczynając, na rodzinnej i płciowej kończąc. Taka wyzwolona, a więc samotna i niepewna swojej tożsamości jednostka okazuje się bezbronna wobec ośrodków kształtujących dzisiaj naszą rzeczywistość: wielkiego biznesu, mediów czy ośrodków opiniotwórczych; to konsument idealny zarówno towarów, jak i ideologii, gdyż nie posiada naturalnej osłony, jaką tworzy etos tradycyjnej wspólnoty osadzony na regulatywnych ideach. System totalitarny pojawił się współcześnie w realiach anomii, czyli rozkładu więzi społecznych. Samotny tłum złożony z zagubionych i wyalienowanych indywidualistów jest wyjątkowo podatny na inżynierię społeczną.

Usunięcie tradycyjnych wzorów kulturowych, które określają porządek zbiorowości i stoją na drodze projektów wszelkiego typu utopistów, stwarza możliwość na pozór dowolnego budowania nowych konstrukcji społecznych i kreacji nowego człowieka. Ma się on wyłonić w efekcie osiągnięcia doskonałej racjonalności, której nie będą stały już na przeszkodzie tradycyjne przesady, czytając wielopokoleniowe formy cywilizacyjne, a więc religia, etyka społeczna i obyczaj. Mają one zostać zastąpione przez czysto racjonalny system przepisów

prawnych interpretowany przez specjalną grupę, która przejmie funkcję nowych inżynierów społecznych. Po to, aby stworzyć nową optymalną rzeczywistość, musimy wypełnić tradycyjne, nieracjonalne postawy i zastąpić je doskonałym i wszystko ogarniającym systemem przepisów, który siłą rzeczy zmierza w kierunku totalitarnego modelu. Prawo dziś regulować usiłuje wszystko, a im bardziej jest mnożone, tym bardziej musi popadać w wewnętrzne sprzeczności, a więc tym bardziej polegać musi na wyposażonej w coraz większe uprawnienia prawniczej korporacji, która ma radzić sobie z kontradycjami hipertroficznie narastających przepisów.

Gdyż usiłując regulować wszystko, prawo takie nie ma się na czym oprzeć. Ono samo jako narzędzie nowej ideologii niszczy tradycyjne systemy

uzasadnienia. Kiedyś sędziowie „odkrywali” prawo, czyli w wypadku sytuacji trudniejszych wyprowadzali je z porządku obowiązującej kultury, która była oczywista dla wszystkich. Dziś, w epoce postmetafizycznej, w dobie emancypacji i zakwestionowania zasad pierwszych nie za bardzo jest się do czego odwołać.

Przytoczony wcześniej art. 2 traktatu o UE pełen jest moralistycznej retoryki. Pełno w nim praw, wolności, demokracji i godności. Jeśli jednak nie mają się one do czego odwołać, stają się arbitralną konstrukcją, którą silniejsi uzasadniają swoje interesy. Uderzające jest to w odniesieniu do idei praw człowieka, które stały się świecką religią nowoczesności, ale znaczą to, co mocniejsze środowiska potrafią przeforsować.

Prawa człowieka wyrastały z prawa natury. Dla ich twórców miały religijny fundament, to Bóg bowiem tworząc człowieka na swój obraz i podobieństwo, wyposażył go w niezbywalne własności, których nikt nie ma prawa naruszyć. Jeśli jednak odrzuciliśmy Boga i zanegowaliśmy prawo natury, to na czym oprzeć się mają prawa człowieka? Nic dziwnego, że stały się one dziś koncertem życzeń silniejszych, narzędziem, za pomocą którego potrafią oni uzasadnić swoje interesy. I taki charakter przybrała cała ideologia emancypacji. Szczególnie miejsce zajmuje w nim przededefiniowane na nowo prawo.

Było emanacją kultury i jej ostatecznym formalnym dopełnieniem. Stało się projektem budowy nowego świata. Wraz z tym fundamentalnie zmieniała się funkcja prawników.

Jako szczególnie zorientowani w siłą rzeczy skomplikowanym systemie funkcjonujących norm, zawsze narażeni byli na pokusę manipulacji nimi i wykorzystywania swojej pozycji. Dziś sędziowie nie muszą już niczego odkrywać, gdyż dominująca ideologia odrzuciła jako zestaw nieracjonalnych przesądów mądrość dotychczasowej kultury. Sędziowie zaczęli więc aspirować do prawa współtworzenia. Jako

jego interpretatorzy coraz bardziej abstrahują od intencji prawodawców i dominującego cywilizacyjnego ładu. Chcą przecież w jego miejsce powołać nowy i lepszy.

Jako uzasadnienie służyć mogą im coraz nowsze kierunki filozofii, które podważają tradycyjne podejście do języka, a więc i wszystkich spisanych norm.

Prawa człowieka wyrastały z prawa natury. Dla ich twórców miały religijny fundament, to Bóg bowiem tworząc człowieka na swój obraz i podobieństwo, wyposażył go w niezbywalne własności, których nikt nie ma prawa naruszyć. Jeśli jednak odrzuciliśmy Boga i zanegowaliśmy prawo natury, to na czym oprzeć się mają prawa człowieka? Nic dziwnego, że stały się one dziś koncertem życzeń silniejszych, narzędziem, za pomocą którego potrafią oni uzasadnić swoje interesy

W rozmaitych wyrafinowanych tekstach prawniczych z przekazem pisze się o „naiwności” tradycyjnego, realistycznego postrzegania prawa, które zakłada możliwość jego obiektywnego poznania. Gdyby ich twórców stać było na dystans do własnej finezji, zauważyliby, że postawa ich przypomina zachowanie dorastających, ale ciągle niedojrzałych ludzi, którzy odkrywają, że wpajane im proste zasady są niełatwe do stosowania, a oni sami gubią się w komplikacjach rzeczywistości. Polski psycholog

Kazimierz Dąbrowski nazwał tę fazę dezintegracją pozytywną, tzn. taką, która prowadzi do ponownej integracji obrazu świata, a więc odzyskania jego fundamentalnych reguł, pomimo złożoności warunków czyniących to procesem trudnym, wymagającym i permanentnym.

Kłopot z intelektualistami współczesnymi jest taki, że nie za bardzo chcą wyjść z infantylnej fazy dezintegracji. Może dlatego, że daje im ona szczególne możliwości, a więc po prostu okazuje się zgodna z ich interesem. Wyrażnie widać to w wypadku gildii jurystów, przed którymi dowolność związana z konstruktywistyczną interpretacją prawa otwiera nowe uprawnienia i czyni z nich rzeczywiście zupełnie specjalną kastę, zbiorowego i indywidualnego Herkulesa, o którym pisał najbardziej wpływowi współcześnie teoretycy prawa Ronald Dworkin.

Czy nie za duża to dla nich odpowiedzialność?

* * *

Poczucie wszechmocy rozpiera establishment prawniczy. Nawet stosunkowo umiarkowani, jak niemiecki filozof prawa Robert Alexy, potrafią napisać: „Argumenty, które wyrażają związanie dosłownym brzmieniem ustawy [i które odwołują się do woli historycznego prawodawcy] przeważają nad innymi argumentami, chyba że istnieją racjonalne powody, dla których przyznaje się pierwszeństwo innym argumentom”. Chyba nie muszę tłumaczyć, jakie możliwości podejście takie daje sędziemu, który interpretuje wagę owych racjonalnych powodów.

Czytam, że społeczeństwo powierzyło wyspecjalizowanej grupie, jaką są prawnicy, rolę konstruktywnych interpretatorów, co w tym ujęciu oznacza współtwórców prawa, i mam daleko idące wątpliwości, czy jest to prawda. Wszystkie dane wskazują, że zbiorowość przypisuje prawnikom dalece skromniejszą rolę i jest coraz bardziej niezadowolona z tego, że radykalnie poza nią wykraczają. Problemem jest,

że jedyną możliwością zmiany tego stanu rzeczy są działania demokratycznie wybranych polityków blokowane przez oligarchię, której istotną część składową stanowią prawnicy właśnie. Ten stan rzeczy demokrację zmienia w pozór nazywany demokracją liberalną.

Marcin Matczak opublikował niedawno uznaną w tym środowisku książkę „Imperium tekstu”, zaopatrzoną w podtytuł: „Prawo jako postulowanie i urzeczywistnianie świata możliwego”, co sugeruje samostną sprawczą funkcję prawa. I tak jest ono w niej traktowane. Pozycja prawników w tym ujęciu zdecydowanie przekracza rolę kapłanów którejkolwiek obowiązującej w dziejach religii. Tamci związani byli literą oraz tradycją wiary, ci odwołują się do racjonalności, którą sami w dużym stopniu kreują. Matczak porównuje misję prawnika z pozycją lekarza: „w każdym społeczeństwie istnieje podział pracy polegający na tym, że tworzą się grupy społeczne wyspecjalizowane w poznawaniu danego obszaru rzeczywistości czy danego obszaru praktyki społecznej. Taką grupą są na przykład lekarze, którzy jako grupa społeczna służąca zachowaniu ludzi w zdrowiu odpowiadają za badanie rzeczywistości ludzkiego ciała i trapiących go chorób. Z całą pewnością lekarze wytwarzają specyficzną konstrukcję obszaru, który badają: to lekarze definiują koncepcje zdrowia i choroby, to oni konstruują pojęcia profilaktyki, bólu czy nawet śmierci”.

Można odpowiedzieć, że autor zdecydowanie przesadza. Owszem, obserwujemy również lekarzy, którzy usiłują działać *ultra vires*. To efekt pychy poznawczej, która wypływa z dominującego dziś wyobrażenia pełnej przejrzystości świata, co musi prowadzić do ujmowania go w mechanistyczne kategorie. W konsekwencji dzielimy ludzką rzeczywistość i samego człowieka na segmenty, obsługują je osobni specjaliści, którzy posiadają jakoby pełną wiedzę w swoich dziedzinach. Ten powszechny klimat również lekarzy popycha do przypisywania sobie szcze-

gólnych kompetencji zdecydowanie wykraczających poza ramy, w których powinni operować. Uznanie, że to oni mają definiować kategorię śmierci, budzić powinno co najmniej wątpliwości. Przykładem jest norma „śmierci pnia mózgu”, która wprowadzona współcześnie do medycyny budzi kontrowersje, gdyż znamy ileś przypadków, że tak zdiagnozowani ludzie wrócili do pełni

Pomimo że polska konstytucja uchwalona została przez rządzące wówczas postpeerelowskie ugrupowania, jej twórcy musieli uwzględnić świadomość powszechną, a pogrobowcy dawnego systemu zdecydowanie odcinali się od swoich korzeni

sprawnego życia. Natomiast wiemy, że bez jej założenia transplantologia zostałaby radykalnie zredukowana.

Mimo to porównywanie medycyny i prawa jest niewłaściwe. Działanie tej pierwszej jest w miarę precyzyjnie określone i sprowadza się do materialnego dobrostanu człowieka, rzeczy w miarę zrozumiałej i niebudzącej wątpliwości. Pacjent, który zwraca się do lekarza, chce odzyskać sprawność i zostać wyleczonym. Przy całym swoim probabilistycznym charakterze medycyna jako nauka jest w miarę sprawdzalna. Możemy stwierdzić, że taki to i taki procent danych leków czy szczepionek działa. Pacjent powinien znać konsekwencje uboczne swojej terapii, a zgoda na nią zależy od jego woli.

Prawo nie dysponuje naukową sprawdzalnością swojego działania, chociaż czasami jego funkcjonariusze deklarują to na wyrost. Przede wszystkim jednak, zwłaszcza współcześnie,

jest nieograniczone i obejmuje całość życia społecznego, nb. rozstrzyga także kontrowersje medyczne i pociąga do odpowiedzialności medyków, którzy przekroczyli swoje kompetencje. Pacjent do lekarza zgłasza się z własnej woli i podejmuje leczenie w granicach przez siebie akceptowanych, prawo niezależnie od naszej indywidualnej woli formuje całość naszej egzystencji. Przeświadczenie, że istnieje wyodrębniona grupa, która posiada kompetencje, aby konstruktywistycznie, a więc w dużym stopniu arbitralnie sprawować kontrolę nad całością naszej egzystencji, oznacza powołanie kasty o uprawnieniach nieznanym nam z historii.

Obroncy tego stanu rzeczy odwoływać się będą do racjonalności doskonale dostępnej jakoby prawnikom, tyle że okazuje się ona liberalną ideologią emancypacji. Każda ideologia ogłasza się spełnieniem rozumu. Jakże są tego konsekwencje, mogliśmy przekonać się na własnej skórze i ciągle się przekonujemy. W tym kontekście z pewnością powiedzieć możemy jedynie, że liberalna demokracja, tak jak ludowa, z demokracji zachowuje wyłącznie człon nazwy.

„Specjalistyczna wiedza niezbędna do »uruchomienia« prawa jako społecznie działającego mechanizmu stała się własnością partykularnej grupy z prostego, czysto technicznego powodu – jest jej zbyt wiele i jest ona zbyt skomplikowana” – pisze Matczak. Czy nie powinien to być apel do rządzących i prawników o zasadniczą zmianę tego stanu rzeczy, a nie aprobowanie i utrwalenie go poprzez tworzenie usytuowanej ponad społeczeństwem profanów korporacji, która rozstrzygać będzie jego problemy?

Jak jednak to zmienić? Zacząć trzeba od odejścia od obecnej funkcji prawa oraz prawników i przywrócenia społecznej nad nimi kontroli. W ten sposób odpowiedzieć możemy na pytanie: „Kto dopilnuje strażników?”.

Konstytucję zacznijmy czytać od jej preambuły.

(Skrót wykładu wygłoszonego w Trybunale Konstytucyjnym w grudniu 2021 r.)

Z ziemi włoskiej do Polski

Z *Giuseppem Adamo* (24 lata), Włochem z urodzenia, a Polakiem z wyboru, rozmawia Goran Andrijańić. Dlaczego zamieszkał w naszym kraju?

Mieszka pan i studiuje w Polsce od pięciu lat. Ale kiedy pierwszy raz przyjechał pan do Polski, prawie nic o niej nie wiedział?

Giuseppe Adamo: Dokładnie. To było sześć lat temu. Byłem w ostatniej klasie liceum i przyjechałem do Polski na wakacje z programu Erasmus. Pamiętam, jak wylądowałem w Krakowie, od razu zauważyłem, jak tutaj jest pięknie. Kompletnie inaczej, niż myślałem.

A czego pan oczekiwał?

Jak przeciętna osoba z Zachodu, która nie miała kontaktu z tą częścią Europy, myślałem, że będzie tutaj trochę biednie, szaro, bez nowoczesności. Na swoją obronę chcę powiedzieć, że miałem 18 lat i mój jedyny kontakt z Polską polegał na umiejętności odnalezienia jej na mapie. Oczywiście wiedziałem o Janie Pawle II, bo zawsze byłem osobą wierzącą, wiedziałem też trochę o Solidarności, ale o stanie polskiego społeczeństwa i gospodarki nie widziałem nic. Stąd moje zaskoczenie – nie widziałem, że tutaj, w Polsce, jest aż tak fajnie. Ludzie na Zachodzie nie są świadomi, jak wiele zmieniło się w Polsce w ciągu ostatnich 20 lat.

Co się panu najbardziej spodobało?

Mój pierwszy kontakt z Polską dotyczył Krakowa, który jest przepięknym miastem. W krótkim czasie przekonałem się, że jest tu bezpiecznie, że miasto jest czyste. Dzisiaj w większości dużych miast we Włoszech i na Zachodzie generalnie niestety nie jest ani bezpiecznie, ani czysto. To, że mogę iść do każdej

części miasta o każdej godzinie, było dla mnie odkryciem.

Jestem katolikiem i konserwatystą, kiedy więc zauważyłem, ilu młodych ludzi w Polsce jest wierzących, byłem zachwycony. To kompletnie inna sytuacja niż we Włoszech.

Powiem szczerze, ja w ogóle nie chciałem studiować we Włoszech. Moi przyjaciele studiujący na uniwersytetach publicznych mówili mi o profesorach, którzy traktują studentów jak numery, o mocnym wpływie ideologii komunizmu i neomarksizmu w programach nauczania. Wpływ radykalno-lewicowych grup i ideologii na włoskich uczelniach jest duży, a ja nie chciałem być tego częścią, po prostu nie chciałem mieć do czynienia z kulturą neomarksistowską.

Zapadła decyzja o przeprowadzce do Polski. W ten sposób stał się pan absolwentem stosunków międzynarodowych na UW?

Tak. Po przeprowadzce do Polski studiowałem trzy lata na KUL w Lublinie, a teraz jestem w Warszawie. Jestem zakochany w swoim kierunku. Studiuję po angielsku. Jestem pewny, że podjąłem dobrą decyzję. Widzę tutaj ludzi szczerze wierzących, którzy są zaangażowani w strefie publicznej i bronią swoich



wartości. Dla profesorów nie jestem numerem, ale kimś, kto ma swoją tożsamość i potrafi myśleć samodzielnie.

Nie chodzi tylko o warunki kulturowe, o czym już mówiłem, ale też o kwestie ekonomiczne. W tym momencie poziom bezrobocia wśród młodych ludzi we Włoszech sięga 40 proc. To są bardzo alarmujące liczby. Ale chodzi o coś jeszcze. O sam klimat w społeczeństwie. Pamiętam, kiedy zaczynałem liceum w 2011 r., już wtedy profesorowie mówili nam, że mamy się przygotować na trudną, mało opłacalną pracę, na ciężkie warunki. Nie chciałem akceptować takiego pesymizmu. Nie jestem idiotą, znam trzy języki, jestem ciekawy świata. Choć mam poglądy, które nie są obecnie modne, nie chcę się ich wyrzekać. Tak samo jak nie chcę się wyrzekać swoich ambicji.

Niestety we Włoszech, kiedy jesteś młody i ambitny, to nie jest dobrze widziane. To jest kraj, gdzie średni wiek obywateli należy do wyższych w Europie. Starsi ludzi kontrolują władzę i pieniądze. Nie mają ochoty na zmiany.

Teraz, gdy wie pan więcej o polskiej historii, co pana w niej najbardziej pociąga?

Chodzi o jedną cechę narodu polskiego, z którą się bardzo identyfikuję. Polska w swojej historii nigdy nie wchodziła w kompromis ze złem, zawsze walczyła przeciwko niemu. Nawet kiedy walka była opcją najtrudniejszą, nieopłacalną. Walka przeciw złu i odrzucanie konformizmu, nawet kiedy wiemy, że tracimy – to dla mnie jest fascynujące. Wiem, że są tacy, którzy traktują to jak głupotę. Ale dla mnie jest to bardzo ważne.

Jako Chorwat również jestem nią zafascynowany. Natomiast, jak pan wie, są Polacy, którzy opisują to jako cechę autodestrukcyjną. Dyskusja o sensie wybuchu powstania warszawskiego jest tego najlepszym przykładem.

Ale to jest bardzo ważny element polskiej tożsamości. Bez niego ona nie istnieje, nie byłaby tym, czym jest dzisiaj. Pytanie, czy w ogóle by istniała. Może

byłaby dziś jakimś rodzajem kolonii politycznej. Polska historia utkana jest z sytuacji, kiedy ta walka była konieczna. Tak jest nawet dziś. Jesteśmy na takiej pozycji geostrategicznej. Ludzie, którzy nie są Polakami, tego nie rozumieją. Bardziej szanują życie w komforcie i potrzebę kompromisu.

Czuje się pan Polakiem?

Ja jestem Polakiem. I tu nie chodzi o polski paszport, który właśnie mam. Chodzi o to, że po pięciu latach życia tutaj czuję się kompletnie zintegrowany z polskim społeczeństwem i kulturą. I tego właśnie chciałem od pierwszego momentu swojej przeprowadzki. Dlatego nauczyłem się polskiego języka, co nie było łatwe. Nie czuję się, jakbym żył za granicą.

Co według pana definiuje polskość?

Ogromna duma narodowa, miłość do własnej ojczyzny, wartości katolickie, specyficzny sposób patrzenia na świat i sposób rozwiązania problemów. Dla mnie, największym przykładem polskości jest Witold Pilecki. To symbol walki o prawdę i dobro za najwyższą cenę. Celowo skazać się na obóz koncentracyjny, żeby pomóc innym – to jest dla mnie definicja polskości.

Zachodnia Europa to region, który już 70 lat żyje w komforcie. Region, w którym nie istniał komunizm, który przeszedł przez ogromny rozwój ekonomiczny. Ludzie, którzy doświadczyli tego komfortu, także kultura, która ich wychowała, nie rozumieją do końca tego rodzaju heroizmu. Oczywiście, nie mówię, że tylko w Polsce są bohaterowie, to nieprawda. Mówię o specyfice polskiej historii i tożsamości.

Są jednak Polacy którzy, tak mi się wydaje, byliby szczęśliwi, gdyby tej specyfiki nie było. Woleliby, żeby było tutaj tak samo jak na Zachodzie.

Tak. Jestem aktywny społecznie i jako jeden z najważniejszych celów swojej aktywności widzę właśnie w zniszczenie tego kompleksu niższości, który niektórzy Polacy odczuwają. Zauważyłem, że między ludźmi, którym towarzyszy ten kompleks, jest i dużo młodych, aktywnych społecznie. Myślą, że mają dobre cele i dobre intencje. Natomiast wielu z nich nie rozumie niektórych rzeczy.

Po pierwsze, nigdy nie doświadczyli długoterminowych konsekwencji idei, których bronią. Ja te konsekwencje widziałem, np. następstwa nielegalnej migracji i dla przybyszów, i dla tych, którzy ich przyjmują. Po drugie, ci młodzi są przekonani, że wszystko na Zachodzie jest lepsze, że to jest miejsce idealne. Te dwa elementy są bardzo złą kombinacją. Należy do tego dodać wpływ mediów, który bardzo radykalizuje młodych i dystansuje ich od tych, którzy myślą inaczej.

Następny kłopot polega na tym, że obecnie na Zachodzie jest możliwe zakłamywanie sytuacji w Polsce bez żadnych konsekwencji. Mam na myśli opisywanie walki przeciw nielegalnej imigracji na granicy jako „ludobójstwa” czy też pisanie, że codziennie na ulicach Polski biją homoseksualistów. To rodzaj terroryzmu medialnego. Chciałbym, aby Polska i Polacy zaczęli bronić dobrego imienia Polski, aby pokazywali, że nie wolno kłamać.

Czytałem we włoskich mediach, konkretnie w „La Repubblica”, że funkcjonariuszy obrony terytorialnej opisywano jako „milicję PiS”. Takie kłamstwa stają się normą. Jak inaczej wyjaśnić, że ktoś taki jak Guy Verhofstadt może powiedzieć w Parlamencie Europejskim, że 60 tys. ludzi na Marszu Niepodległości to neonaziści. Oznacza to, że każdy może mówić o Polsce, co chce, bez ponoszenia za to żadnych konsekwencji. Musimy z tym skończyć.

Wspomniał pan, że jest aktywny społecznie. Gdzie?

W organizacjach pozarządowych o charakterze patriotycznym. Jedną to Służba Niepodległej, a druga Warsaw Legend. Chodzi o ciekawe środowiska, które organizują spotkania, panele, najczęściej dotyczące młodzieży. Podejmujemy różne inicjatywy. Jedną z nich jest zaproponowana przeze mnie pomoc psychologiczna dla licealistów w trudnej sytuacji pandemii. Ta generacja jest wyjątkowo specyficzna. Mamy pokolenie, które jest bardzo niezadowolone i radykalizuje się, wbrew temu, że to jedno z najbogatszych pokoleń w historii Polski. To jest problem, który ma konsekwencje polityczne i musimy to zmieniać, ponieważ ci młodzi są przyszłością tego kraju.



Antoni Jeziorański – zapomniany generał 1863 r.

Antoni Jeziorański był przede wszystkim znakomitym żołnierzem i wyższym oficerem. Na polach bitew powstania styczniowego kilkakrotnie dał żołnierską lekcję stronie rosyjskiej. Jego nazwisko znajdowało się na specjalnej liście poszukiwanych carskiej policji



ARTUR JAGNIEŻA

W 50. rocznicę wybuchu powstania styczniowego w 1913 r. wydano Wielki Kalendarz Narodowy, w którym opublikowano biogramy dziesięciu najbardziej znanych dowódców powstania. Wśród nich obok Zygmunta Chmieleńskiego, Zygmunta Sierakowskiego, ks. Antoniego Mackiewicza, Mariana Langiewicza, Edmunda Różyckiego, Edmunda Taczanowskiego, Józefa Haukego-Bosaka, Dionizego Czachowskiego i Michała Heidenreicha „Kruka” wymieniony został Antoni Jeziorański. Dziś postać generała jest trochę zapomniana, tymczasem ze względów wojskowych warto przypomnieć tego dzielnego żołnierza.

Jeziorańscy byli potomkami frankistów, czyli katolickich Żydów, którzy w połowie XVIII w. pod wpływem nauk żydowskiego myśliciela Jakuba Franka ochrztili się i przeszli na katolicyzm. Sam Jakub Frank ochrzcił się w katedrze lwowskiej w 1759 r., a jego naśladowcy w części przenieśli się do Warszawy, stając się zaczynem stołecznej inteligencji w XIX w. Wśród nowych warszawskich rodzin znaleźli się Jeziorańscy, którzy typowo szlacheckie nazwisko prawdopodobnie przybrali od pierwszych rodziców chrzestnych.

Antoni Jeziorański urodził się 13 czerwca 1827 r. w Warszawie. Wiemy, że pobierał edukację w szkole technicznej w Petersburgu. Od młodych lat zbierał doświadczenie wojskowe, co zaowocowało w czasie powstania styczniowego. Wziął udział w kampanii węgierskiej 1848–1849, służąc pod rozkazami gen. Józefa Wysockiego. Następnie służył w legii polskiej w Turcji w stopniu porucznika. W 1852 r. wrócił do Polski. W 1856 r. wyjechał z Warszawy prawdopodobnie pod wpływem tragicznych

okoliczności związanych ze śmiercią w tym samym roku obydwójga rodziców. Do Warszawy wrócił w 1860 r. w przeddzień wybuchu tzw. czasów polskich, których przejawem były organizowane w świątyniach liczne msze za ojczyznę oraz manifestacje. W 1862 r. widzimy go już jako osobę zaangażowaną w konspirację niepodległościową. Działał w pionie wojskowym przygotowań do powstania.

NACZELNIK POWIATU RAWSKIEGO

Pierwsze wystąpienie insurekcyjne 22 stycznia 1863 r. na Mazowszu nastąpiło w Żychlinie, gdzie silny oddział powstańczy wyparł z miasta rosyjską załogę. Tymczasem w środkowej części województwa 23 stycznia absolwent Szkoły Podchorążych w Warszawie i oficer czasu powstania listopadowego mjr Józef Śmiechowski urządził zasadzkę na rosyjskich saperów prowadzących pod eskortą polskich rekrutów pod Grójcem, a następnie, dwa dni później, uderzył skutecznie swoją partią na samo miasto.

Partia Śmiechowskiego po dwóch zwycięstwach skierowała się w stronę lasów Radziwiłłowa, gdzie organizował się kolejny oddział powstańczy pod bezpośrednim dowództwem bohatera naszej opowieści Antoniego Jeziorańskiego, naczelnika powiatu rawskiego.

Połączone siły polskie 4 lutego uderzyły na garnizon rosyjski w Rawie, odnosząc piękne zwycięstwo, zdobywając rosyjskie koszary oraz porzuconą broń. Atak na same koszary poprowadził Śmiechowski. Pamięć o polskim zwycięstwie jest żywa w Rawie do dziś, czego dowodem jest specjalna tablica na budynku starostwa oraz poświęcony atakowi na miasto mural. Po opuszczeniu Rawy 6 lutego Jeziorański urządził skuteczną zasadzkę na Rosjan pod Lubochnią.

Aktywność strony polskiej zaniepokoiła Rosjan, którzy postanowili zniszczyć polskie oddziały. Część z nich rozbита pod Bolimowskimi Budami dołączyła do partii Jeziorańskiego, który w obliczu rosyjskiej oblawy wkroczył na teren województwa sandomierskiego, stając obozem w Studziannej, gdzie 10 lutego znowu spędził Moskali. W tym czasie oddział Jeziorańskiego liczył już 466 strzelców, 197 kawalerzystów oraz 885 kosynierów. Trzeba podkreślić, że jak na warunki początku powstania była to pokaźna siła, co świadczy bardzo dobrze o zdolnościach organizacyjnych oraz dowódczych Jeziorańskiego i o zaangażowaniu lokalnych społeczności w insurekcję.

Po krótkim odpoczynku partia rawska ruszyła do Przedborza, który zajęto 15 lutego 1863 r., znowu przeganiając Moskali. Jeziorański, jak przystało na rasowego partyzanta, rozpoczął marsz w kierunku operujących na Świętym Krzyżu wojsk Mariana Langiewicza. Maszerując na Kielce, wezwany po drodze na pomoc przez okrażoną partię powstańczą udzielił jej pomocy 20 lutego pod Żarnowcem, odnosząc kolejny drobny sukces taktyczny. Wzmocniony ruszył w dalszą drogę w kierunku Małogoszcza.

POD DOWÓDZTWE LANGIEWICZA

W obliczu kolejnych sukcesów naczelnika województwa sandomierskiego i krakowskiego, jakim był płk Langiewicz, Rosjanie postanowili go okrażyć

i zniszczyć, tym bardziej że po połączeniu 22 lutego 1863 r. z wojskami Jeziorańskiego całe polskie zgrupowanie liczyło już blisko 3 tys. żołnierzy, stanowiąc poważne wyzwanie militarne dla strony rosyjskiej. W tym czasie Jeziorański, w przeciwieństwie do wielu innych polskich dowódców, wykazał się dużą odpowiedzialnością, podporządkowując swoją partię Langiewiczowi.

Zgodnie z rosyjskimi założeniami wojska powstańcze zostały zaatakowane 24 lutego 1863 r. pod Małogoszczem z kilku stron. Od północy uderzył będący na służbie Moskwy węgierski płk Czengiery, od południowego wschodu mjr Dobrowolski, a od południa moskiewski mjr Gołubow. Po morderczej bitwie, w której po stronie polskiej zginęło blisko 300 powstańców, a ok. 500 zostało rannych, wojska polskie wyrwały się z okrążenia. W trakcie walk wyróżniła się szczególnie kawaleria Jeziorańskiego, dzięki której udało się osłonić korytarz polskiego odwrotu.

Cztery dni później pod Uniejowem przednie stráže Jeziorańskiego zniosły moskiewskie czujki, zmuszając je do odwrotu. 4 marca 1863 r. doszło do starcia pod Pieskową Skałą, gdzie strona polska odniosła taktyczne zwycięstwo znowu z udziałem żołnierzy naszego bohatera. Następnego dnia doszło do bitwy pod Skałą, w której wojska polskie odniosły piękne zwycięstwo nad Rosjanami. W czasie bitwy atak polski prowadzili osobiście mający już nominację generalską Marian Langiewicz oraz płk Antoni Jeziorański. Według historycznego przekazu polskie natarcie polegało na przebiegnięciu blisko 1,2 tys. kroków pod ogniem. Świadczy to zarówno o bohaterstwie Jeziorańskiego, jego walorze dowódczym dającym osobisty przykład żołnierzom, jak i dużej sprawności fizycznej.

9 marca 1863 r. Jeziorański był świadkiem powierzania władzy dyktatorskiej Langiewiczowi, co – jak dziś wiemy – nastąpiło w wyniku intrygi obozu białych. Już później, przebywając w austriackim więzieniu, drugi dyktator powstania zarzucał Jeziorańskiemu udział w intrygach przeciw niemu, niemniej trudno ten zarzut traktować wiarygodnie, skoro sam dyktator był

głównym narzędziem wewnętrznej walki politycznej między obozami białych i czerwonych po stronie polskiej. Także późniejsze wydarzenia pokazują, że Jeziorański był przede wszystkim oddanym sprawie żołnierzem i starał się od twardej polityki trzymać z daleka.

Wzmocnione kolejnymi ochotnikami i niesione zwycięstwem spod Skały polskie zgrupowanie powstańcze 17 marca 1863 r. pokonało Rosjan pod Chroberzem. W wyniku bitwy zdobyto dwa działa, blisko 500 karabinów oraz mnóstwo amunicji, co wydatnie wzmocniło siłę ognia żołnierzy płk. Jeziorańskiego.

Dzień później doszło do jednej z największych bitew powstania styczniowego – pod Grochowskimi. To chaotyczne starcie zakończyło się pyrrusowym zwycięstwem strony polskiej, ponieważ z jednej strony pobito lub odrzucono atakujących Rosjan, ale z drugiej wojska polskie w trakcie walki bezpowrotnie się podzieliły (odłączył się oddział płk. Czachowskiego). Po naradzie dowódców w Welczu Langiewicz, będąc przekonany o chwilowym wytchnieniu dla swoich wojsk, postanowił zdać dowództwo Śmiechowskiemu i udać się przez granicę austriacką do Galicji celem uporządkowania spraw polityczno-wojskowych w skali całego walczącego kraju. Zgodnie z rozkazem wyruszył do Galicji także płk Jeziorański. Trzeba przyznać, że decyzja ta okazała się bardzo niefortunna, ponieważ wojska pozostawione pod dowództwem mianowanego generała Śmiechowskiego uległy rozproszeniu.

KOBYLANKA

Po krótkim wypoczynku i regeneracji sił, mianowany generałem za sposób dowodzenia i męstwo w dotychczasowych walkach, Jeziorański przystąpił do organizacji nowego oddziału powstańczego po stronie galicyjskiej, celem przejścia granicy i rozpoczęcia walki na terenie Królestwa Polskiego. Aby ułatwić wkroczenie oddziałowi Jeziorańskiego, znany zagończyk powstania z Podlasia i Lubelszczyzny Marcin Borelowski „Leleweł” otrzymał rozkaz połączenia się z wkraczającym generałem, ale 24 kwietnia poniósł porażkę pod Józefowem.

Jeziorański, otrzymawszy nominację na naczelnika województwa lubelskiego, 27 kwietnia 1863 r. wkroczył do Królestwa na czele blisko 740-osobowego oddziału. Co istotne, oddział był dobrze uzbrojony, a szefem sztabu nowej partii powstańczej został Tomasz Winnicki, oficer zaprawiony w bojach pod Rawą, Małogószczem, Skalą i Chroberzem. Tym razem Jeziorański wzorem poprzednich rajdów powstańczych nie wkroczył w głąb terytorium województwa lubelskiego, tylko okopał się na pozycji w lesie głuchowskim, zwanym Kobylanką. 1 maja 1863 r. Rosjanie przypuścili atak na polskie pozycje w sile czterech rot piechoty, plutonu ułanów oraz seciny kozaków wspieranych dwoma działami. Dzięki umiejętnej obronie oraz brawurowemu kontratakowi polskiemu Rosjanie poszli w kompletną rozsypkę, tracąc blisko 90 rannych i poległych. Wojsko dowodzone przez gen. Jeziorańskiego odniosło bezdyskusyjny sukces, a wstrząs Moskali był tak mocny, iż nie mieli odwagi atakować jego pozycji przez kolejne pięć dni, co biorąc pod uwagę dotychczasowe doświadczenie z walk czasów powstania było ewenementem.

Trudno dziś rozstrzygnąć, dla czego gen. Jeziorański, pełniący wtedy funkcję naczelnika województwa lubelskiego, zamiast ruszyć w głąb województwa, postanowił pozostać na umocnionej pozycji, wiedząc, że strona rosyjska zna dokładnie jego położenie. Być może zadecydowała o tym świadomość posiadania małej ilości amunicji. Niewykluczone, że Jeziorański wiedział o trwających przygotowaniach do wybuchu powstania na Rusi i uznał taką decyzję za sprzyjającą polskim planom. Okres od 1 do 5 maja wykorzystano więc na dalsze szarżowanie oraz umacnianie pozycji zasiekami z pni drzew. W tym czasie uzupełniono też brakującą amunicję. Ponadto polskie oddziały zostały wzmocnione żołnierzami z rozbitych drobnych partii powstańczych.

Rosjanie, koncentrując blisko 2 tys. żołnierzy, wsparci sześcioma działami oraz dwoma moździerzami, 6 maja 1863 r. rano rozpoczęli szturm na polskie pozycje. Ogień polskich strzelców

był niezwykle celny, a kolejne ataki Moskali spotykały się nie tylko ze skuteczną obroną, lecz i brawurowymi polskimi kontratakami. W południe jeden z takich kontrataków na bagnety poprowadził osobiście gen. Antoni Jeziorański, dając osobisty przykład poświęcenia i pogardy śmierci. Bitwa zakończyła się po godzinie 15 polskim zwycięstwem. Zginęło lub zostało rannych blisko 400 żołnierzy po stronie rosyjskiej, z kolei

Dzięki umiejętnej obronie oraz brawurowemu kontratakowi polskiemu Rosjanie poszli w całkowitą rozsypkę, tracąc blisko 90 rannych i poległych. Wojsko dowodzone przez gen. Jeziorańskiego odniosło bezdyskusyjny sukces, a wstrząs Moskali był tak mocny, iż nie mieli odwagi atakować jego pozycji przez kolejne pięć dni. Drugie starcie pod Kobylanką też zakończyło się zwycięstwem powstańców

po stronie polskiej poległo blisko 50 żołnierzy, a kolejnych 60 zostało rannych. Strona polska poniosła jednak bardzo dotkliwe starty w kadrze oficerskiej. Właściwie wszyscy oficerowie byli ranni, w tym sam gen. Jeziorański. W czasie bitwy poległ m.in. 17-letni syn gen. Aleksandra Waligórskiego Władysław, który razem z ojcem dawał odpór jednemu z ataków rosyjskich.

SMUTNY KONIEC

Bitwa pod Kobylanką mimo zwycięstwa bardzo mocno nadwerżyła polskie siły. Ranny Jeziorański wyruszył z blisko setką żołnierzy wzdłuż granicy z zabo-

rem austriackim celem wymknięcia się z okrążenia, jakie przygotowywały na jego partię kolejne siły rosyjskie. 11 maja 1863 r. śmiertelnie zmęczony oddział generała został zaskoczony przez Rosjan pod Hutą Krzeszowską, co spowodowało jego rozproszenie. Samemu generałowi udało się umknąć za granicę austriacką. Rozbicie oddziału Jeziorańskiego nie znalazło zrozumienia we władzach Rządu Narodowego. Generałowi odebrano nie

tylko dowództwo i tytuł naczelnika województwa lubelskiego, lecz – co niezrozumiale – oddano go też pod sąd wojenny, zarzucając zmarnowanie oddziału. Zarzut był nie tylko nieprawdziwy, lecz pokazywał odrealnienie czynników politycznych powstania od faktycznych realiów pola walki w 1863 r. Z tego względu sąd oddalił wszystkie zarzuty wobec Jeziorańskiego i uniewinnił go. Mimo to do końca powstania nie powierzono już generałowi żadnej funkcji. W obliczu upadku powstania zaprzestał walki i się ukrywał. Aresztowany przez austriacką policję w 1865 r. został zwolniony i wyjechał do Paryża. W 1873 r. wrócił do Galicji i zamieszkał we Lwowie. Tam zmarł w lutym 1882 r.

Z perspektywy historii gen. Antoni Jeziorański jawi nam się przede wszystkim jako znakomity żołnierz i wyższy oficer. Na polach bitew powstania styczniowego kilkakrotnie dał żołnierską lekcję stronie rosyjskiej. Jego nazwisko znajdowało się na specjalnej liście poszukiwanych carskiej policji.

W trakcie przesłuchania stryjecznego brata generała, jakim był aresztowany w kwietniu 1864 r. bliski współpracownik Romualda Traugutta, Jan Jeziorański, dyrektor Wydziału Komunikacji w Rządzie Narodowym, Rosjanie pytali go o miejsce pobytu generała. Jak dziś wiemy Jan Jeziorański, przetrzymywany w ciemnym lochu, bity i głodzony, nikogo nie zdradził i razem z Romualdem Trauguttem, Józefem Toczyskim, Romanem Żulińskim oraz Rafałem Krajewskim został 5 sierpnia 1864 r. stracony na stokach Cytadeli Warszawskiej. Nie ma więc wątpliwości, że Jeziorańscy dobrze zasłużyli się polskiej sprawie lat 1863–1864. 

K

ULTURY

W „Zaulku
koszmarów”, do którego
w mrocznym klimacie
kina noir zaprasza
Guillermo del Toro,
błyszczą gwiazdy.
Obok Bradleya
Coopera, Cate
Blanchett czy
Willema Dafoe
jest też Toni Collette.
Od czasu
„Wesela Muriel”
niezmiennie
intrygująca

Od komedii po horror

Fot. mat. prasowe



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Takiej sceny mogłyby poza-
źródzić Toni Collette nie
tylko rzesze fanek Bradleya
Coopera, lecz także niejedna aktorka.
W dekoracji wyjętej z lat 40. ubiegłego
wieku, wkomponowanej w przestrzeń
i atmosferę wędrownego lunaparku,
filmowa jasnovidzka Zeena uwodzi
w kąpieli przegarniętego do trupy
przystojnego wędrowca. Przeczuwa
w nim mrok przeszłości, szalbierski
talent i nieposkromione ambicje, które
mogą doprowadzić go do upadku.

HOMME FATALE

Stanton (Bradley Cooper) umie wyko-
rzystywać napotkanych po drodze ludzi.
W adaptacji powieści Williama Lindsaya
Greshama przeznaczono mu jednak nieco
zmodyfikowaną rolę. Wpisaną w charak-
ter kina noir. Del Toro, reżyser i zarazem
współscenarzysta, zamiast figury femme
fatale wprowadził na ekran trzy silne
postacie kobiece oraz galerię życiowych
manipulatorów, w tym jednego „homme
fatale”. Z różnych powodów i na różnych
etapach – Zeena (Collette), Molly (Rooney
Mara) i psychoanalityczka dr Ritter (Cate
Blanchett) – pomagają głównemu boha-
terowi doskonalić jego szalbierskie umie-
jętności. Potem mogą tylko obserwować,
jak na kolejnych życiowych zakrętach
wybiera niewłaściwą drogę.

Jak w wielu swoich filmach Toni Co-
lette ze swobodą wpisuje się w tworzoną
na ekranie charakterystyczną postać. Jed-
nocześnie pogłębia portret jarmarcznej
jasnovidzki i wróżbiarki o doświadczenie
kobiety, która zna życie, a mimo wszystko
zachowała umiejętność empatii oraz zro-
zumienia. Ma też świadomość konse-
kwencji tego, co wokół siebie obserwuje.

W KAŻDEJ ROLI

Reżyserzy chętnie obsadzają Collette
w rolach postaci wyrazistych, ekscen-



Fot. mat. prasowe



tryczek (jak w całkiem niedawnym,
gwiazdorsko obsadzonym filmie „Na
noże” z 2019 r. czy przypominanym chę-
tnie przez telewizję „Był sobie chłopiec”
z 2002 r.).

W jej przypadku nie sprawdza się
„przekleństwo ról matek”, które z reguły
przytłaczają i tłumią aktorki. To właśnie
takie zadania – m.in. matki nadwrażli-
wego ośmiolatka („Szósty zmysł”, 1999,
Oscar za rolę drugoplanową), hippis-
ki z depresją (wspomniany „Był sobie
chłopiec”), rodzinnej „szyi” pozornie
głęboko dysfunkcyjnej rodziny („Mała
Miss”, 2005, Złoty Glob za postać kobiecą)
– udowadniają wszechstronność oraz ak-
torską otwartość Collette.

Jak wiarygodnie potrafi stworzyć na-
wet wielokrotne alter ego jednej postaci,
udowodniła w odcinkowej produkcji
„Wszystkie wcielenia Tary” (w 2010 r.
odebrała Złoty Glob dla najlepszej aktorki
w serialu komediowym).

Znakomicie czuje się w kostiumie
– obok najnowszego „Zaułek koszmarów”
wystarczy wspomnieć choćby oscarowe

„Godziny” (2002), „Hitchcocka” (2012)
czy „Emmę” z 1996 r. Świetnie wpisuje się
w różne gatunki – od komedii romantycz-
nej, przez kryminał (jedną z nominacji do
Złotego Globu 2020 otrzymała za rolę po-
licjantki w serialu „Niewiarygodne”), po
horror („Dziedzictwo. Hereditary”, 2018).

W GWIAZDOZBIORZE

Często pojawia się w gwiazdorskich pro-
dukcjach i – nawet wśród tak mocnych
nazwisk, jak Meryl Streep, Julianne
Moore, Nicole Kidman („Godziny”) czy
Daniel Craig, Jamie Lee Curtis, Don
Johnson, Christopher Plummer („Na
noże”) – nie ginie. Od początku kariery
tak było.

W listopadzie tego roku skończy 50
lat. Większość swojego zawodowego
życia spędziła w Ameryce. Przyje-
chała do niej z antypodów. To w Austr-
lii 23 stycznia 1992 r. odbyła się premiera
filmu „Spotswood”, w którym debiuto-
wała na dużym ekranie. W komediowo
ubarwionej historii o restrukturyzacji za-
kładu produkującego obuwie (polski ty-
tuł „Menedżer w bamboszach”) spotkała
m.in. Anthony’ego Hopkinsa i Russella
Crowe’a. Zawodową trampoliną stało się
dla niej „Wesele Muriel”. Rola marzącej
o bajkowym ślubie, zakompleksionej
wielbicielki zespołu ABBA obok licznych
australijskich nagród przyniosła jej też
nominację do Złotego Globu.

Pulchna Muriel postawiła wszystko
na jedną kartę. Toni Collette również.
Wyjechała do Hollywood. Przez pierw-
sze lata obsadzano ją jeszcze „po warun-
kach” Muriel. Gdy drastycznie zrzuciła
wagę, zaczęła udowadniać, że z nowym
wizerunkiem może się zmieścić w o wiele
szerszym wachlarzu ról. Jej wszechstron-
ność widać do dziś. Ostatnio postanowiła
stać po drugiej stronie kamery. Na
reżyserski debiut wybrała ekranizację
powieści Lily King „Writers and Lovers”
 („Pisarze i kochankowie”).

Mordercy i koneserzy

Książka „Kat kłania się i zabija” Magdaleny Ogórek (kontynuacja „Listy Wächtera”) to wiele śledztw w jednym. Takich, jakich nie powstydziliby się najlepsi tropiciele zbrodniarzy, zmieniających miejsca pobytu, tożsamości, twarze. Jakich nie powstydziliby się pisarze Frederick Forsyth, Ken Follett czy John le Carré. Dociekliwością nawiązuje do najlepszych dokonań reporterskich Krzysztofa Kąkolewskiego. Gdy zaś chodzi o solidność warsztatu historycznego, to można tę książkę postawić obok historycznych śledztw prof. Tomasza Szaroty. Niezmienna, i to najsmutniejszy wniosek z lektury, była solidarność, wzajemna pomoc, a nawet oddanie tych wszystkich – od członków rodzin przez przyjaciół, współników i wyznawców po ludzi szczególnego zaufania, np. duchownych – którzy stworzyli wielką, świetnie zorganizowaną i zasobną siatkę umożliwiającą ukrywanie się, a często beztrudne życie ludzi mających morze krwi na rękach i niemających sumienia.

Bohaterowie książki: Austriak Otto von Wächter, Niemiec Reinhard Heydrich czy Holender Pieter Menten, to ludzie uważający się za koneserów sztuki, za elitę nie tylko nazistowskiej partii i III Rzeszy, ale też arbitrów smaku i elegancji. Jednocześnie potrafili bez zmruczenia oka wydawać rozkazy o masowych mordach. I przy wszystkich swoich aspiracjach byli zwyczajnymi złodziejami. A właściwie niezwykle zwyczajnymi, skoro taki Wächter potrafił okraść Polskę z najcenniejszych obrazów: „Damy z gronostajem” Leonarda da Vinci, „Portretu młodzieńca” Rafaela, „Walki karnawału z postem” Pietera Brueghla, „Krajobrazu z miłosiernym samarytaninem” Rembrandta. Reinhard Heydrich, trzeci człowiek w hierarchii władzy, jak pospolity złodziej okradł zajęty przez siebie pałac Ferdynanda i Adeli Bloch-Bauerów. To Adela pozowała do upaństwowionego potem portretu Gustawa Klimta, nazwanego później „Złotą damą”. A holenderski nazista Pieter Menten okradł m.in. prof. Tadeusza Ostrowskiego, prof. Kazimierza Bartła (w II RP kilkakrotnego premiera) czy prof. Stanisława Ruffa.

Śledztwem głównym są losy i tajemnice zbrodniarza wojennego Ot-



STANISŁAW JANECKI

tona Gustava von Wächtera, Heydricha i Mentena dostajemy jako bonus. Wächter wprawdzie skończył marnie w 1949 r. w Rzymie, otruty przez sowieckiego agenta umierał długo, ale zanim do tego doszło, udało mu się uniknąć schwytania, a nawet stał się obiektem pożądania służb USA i ZSRR. Amerykanie proponowali mu specjalne warunki współpracy, niczym

Reinhardowi Gehlenowi. Miał bowiem stworzone przez siebie archiwum: nie tylko zapis zbrodni na Wschodzie, ale też rejestr tych, którzy wstąpili do 14. Dywizji Waffen SS-Galizien (Wächter był jej „ojcem”), a po wojnie albo uniknęły odpowiedzialności, albo zaczęły odgrywać znaczące role w polityce, wojsku, służbach czy życiu publicznym. Archiwum to była polisa na życie Wächtera. Zawiodła. I nie wiadomo, gdzie jest.

Droga do bezkarności Wächtera tuż po wojnie to zapis degrengolady moralnej. Zapis cynizmu i bezwzględności tajnych służb, które były gotowe współpracować nawet z diabłem. Oto ścigany nazista otrzymał pomoc nawet od ludzi Kościoła (szczególnie od niemieckiego biskupa Aloisa Hudala) i stał się zakonnikiem Alfredem Reinhardtem,

lokatorem klasztoru franciszkanów przy Vigna Pia w Rzymie. Magdalena Ogórek skorygowała wyniki śledztwa samego Szymona Wiesenthala, gdy chodzi o losy Wächtera w Rzymie.

Kiedy śledzimy losy „Złotej damy” Klimta (powstała o tym książka Anne Marie O'Connor, z którą Magdalena Ogórek rozmawiała, i film wyreżyserowany przez Simona Curtisa), rozpoznajemy trudności, jakie mają prawnicy właściciele bądź spadkobiercy z odzyskaniem zrabowanych dzieł sztuki. Widzimy bezradność, która dotyczy też polskiego państwa, choćby w kwestii znalezienia i odzyskania „Portretu młodzieńca” Rafaela. Śledztwa Magdaleny Ogórek to początek drogi, ale bardzo cenny ze względu na formę i zawartość książki. Mamy lekturę, która młodym w pełni może zastąpić fantazje Pana Samochodzika. A poza tym pomaga zrekonstruować zbrodnie na polskiej kulturze i daje nadzieję, że cenne dzieła uda się jednak odzyskać. A morderców udających koneserów umieścić we właściwym miejscu.



Magdalena Ogórek, „Kat kłania się i zabija. Wächter-Heydrich-Menten”, Wydawnictwo Fronda, 2021

Pamięć w nowych przestrzeniach

Muzeum
Pamięci Sybiru
w Białymstoku

O tym, jak w nowoczesny i nieoczywisty sposób można opowiadać o przeszłości, przekonamy się, oglądając nowy cykl TVP Historia „Przestrzenie pamięci”. Z filmowym rozmachem i dynamiczną narracją przedstawia najciekawsze muzea Polski. Prowadzi go dziennikarz tygodnika „Sieci” Marcin Wikło



WOJCIECH LADA

Syberia. Olbrzymi kawałek świata. Zabójczo piękny, w najbardziej dosłownym znaczeniu obu tych słów. Ciągące się przez tysiące kilometrów lasy taigi, monumentalne Góry Czerskiego czy oszalałające bogactwo Bajkału, w niemal każdym miejscu przepłatają się tu z historią łagrów, posiołków i tysiącami innych, całkiem już wchłoniętych przez przyrodę miejsc zsyłki Polaków. Trafiali tam już od XVI w., a 400 lat później już masowo – ich groby są więc wszędzie, a nie brakuje też potomków. I właśnie obie strony Syberii, czy właściwie Sybiru – są to jednak różne pojęcia, a to drugie jest znacznie szersze,

niż zakłada to geografia – starali się pokazać autorzy ekspozycji w białostockim Muzeum Pamięci Sybiru. O tym zaś, czy im się to udało, można się było przekonać, oglądając w niedzielę 18 stycznia pierwszy z odcinków nowego programu „Przestrzenie pamięci”.

– Chodzi o to, by zachęcić ludzi do pójścia do naprawdę dobrych muzeów – mówi prowadzący program Marcin Wikło.

Cel, cenny zwłaszcza w pandemicznych czasach, zrealizowano z rozmachem. To nie statyczne zdjęcia z monotonnym komentarzem i usypiającą muzyką w tle. Już choćby dość krótki czas trwania wymógł na twórcach dynamikę ujęć i żywy, reporterski styl narracji. Olbrzymią przestrzeń Syberii zmieścili w 25 minutach, a było i o Stefanie Batorym, i o tych, których kilkadziesiąt lat później usiłował wyciągnąć z zesłania gen. Władysław Anders. Znalazł się jeszcze czas na kulisy funkcjonowania samego muzeum, rozmowy z jego pracownikami i autorski komentarz.

ODWIEDZINY U PAPIEŻA

Choć zaczęło się od Syberii, większość tematów „Przestrzeni pamięci” rozegra się jednak w cieplejszym klimacie. Dość obszernie reprezentowany zostanie np. Jan Paweł II. Wraz z autorami będzie można się wprawić do jego rodzinnego domu w Wadowicach, a następnie wrócić do Warszawy, gdzie późniejszy papież ściśle współpracował z kardynałem Stefanem Wyszyńskim, dziś zaś dzielą wspólne muzeum w Wilanowie. To nawiasem mówiąc, zabawny zbieg okoliczności, bo komunistyczne władze cieszyły się podobno całkiem szczerze na wieść o wyborze Karola Wojtyły na papieża, licząc, że pozbycie się z Polski młodszego, i bądź co bądź bardziej aktywnego, hierarchy ułatwi im życie. Cóż, pomylili się w kwestii i jednego, i drugiego, o czym można się przekonać, oglądając ekspozycje w Wilanowie.

– Tedwa odcinki to tak naprawdę jedna opowieść – tłumaczy Wikło. – W Wila-



Muzeum Książąt
Czartoryskich w Krakowie



Muzeum Jana Pawła II
i Prymasa Stefana
Wyszyńskiego w Świątyni
Opatrzności Bożej
w Warszawie



Willa Milusin – Muzeum Józefa
Piłsudskiego w Sulejówku

nowie opowiadamy o relacjach dwóch najważniejszych ludzi polskiego Kościoła w bardzo trudnym dla niego momencie. Relacjach bardzo dojrzałych. Obaj co prawda różnili się w wielu kwestiach, ale swoje role odegrali wręcz doskonale. Tym bardziej że w pewnym momencie nastąpiło odwrócenie tych ról. Najpierw to Karol Wojtyła był podwładnym Stefana Wyszyńskiego w hierarchii kościelnej, później odwrotnie – a jednak w obu wariantach znakomicie się uzupełniali, bo mieli świadomość walki o wspólny cel. Natomiast odcinek wadowicki – dla mnie osobiście bardzo ważny – to opowieść o kształtowaniu się przyszłego papieża, jego relacjach z ojcem, o atmosferze rodzinnej. O tym, jak ze zwykłego chłopaka wykształcał się Jan Paweł II.

ROZMIAR NIE MA ZNACZENIA

Autorzy programu nie unikają odwiedzania miejsc bardziej oczywistych. Zamek Królewski w Warszawie, Muzeum Narodowe w Lublinie, Muzeum Czartoryskich w Krakowie – z globalnym arcydziełem, „Dumą z grono-stajem” Leonarda da Vinci, są raczej naturalnym celem wycieczek, choćby i szkolnych. I nikogo raczej do nich namawiać nie trzeba. Ale czy na pewno tak dobrze znamy historię gaf prezydenta Mościckiego w czasie urzędowania na Zamku albo historię jego zburzenia i odbudowy z monumentalną w tym kontekście postacią prof. Aleksandra Gieysztora? Czy pamiętamy, że Zamek w Lublinie był również carskim więzieniem, a więźniowie, którzy z niego uciekli gdzieś na początku XX w., wpłynęli pośrednio na powstanie tak klasycznego dziś opowiadania, jak „Silaczka” Stefana Żeromskiego? Zagadki, anegdoty i py-

tania kryją się więc wciąż nawet w najbardziej oczywistych i pozornie doskonale znanych miejscach.

Co dopiero w tych mniej oczywistych? Bo co właściwie robił starzejący się Józef Piłsudski w Sulejówku i jakie decyzje tam właśnie zapadły? Czy komuś, poza studentami historii, kojarzy się z czymkolwiek Ostrów Tumski – tak naprawdę kolebka polskiej państwowości? Czym na swoje muzeum zasłużyła rodzina Ulmów i dlaczego inni im podobni go nie mają? Dlaczego wreszcie Muzeum Hymnu Narodowego mieści się w kaszubskiej wsi? Starej co prawda, bo XIII-wiecznej, ale liczącej dziś niewiele ponad 200 mieszkańców, podczas gdy hymn śpiewa 40 milionów?

– Chcieliśmy pokazać właśnie różnorodność polskich muzeów. Niektórzy twierdzą, że jest ich za dużo, ale ja myślę, że przeciwnie. Są tylko bardziej i mniej ciekawe. Staraliśmy się wybrać właśnie te najciekawsze. Jednocześnie pełne wspaniałych artefaktów, opowiadające atrakcyjnie historię, ale też robiące to w sposób niekiedy niemalże artystyczny, bardzo sugestywny. Pozwalające historię nie tylko zobaczyć, ale wręcz poczuć. Tak jak w Białymstoku, gdzie w części poświęconej dawnemu miastu zwiedzający chodzi po starym bruku. I wielkość nie ma tu nic do rzeczy. Jest mały Sulejówek, skupiony na jednym bohaterze, i jest wielkie, wielowątkowe muzeum w Lublinie. Ale wspólną ich cechą jest właśnie ciekawa i bardzo nowoczesna prezentacja tematów.

ŚWIATŁO I DRON

Tym też tropem starają się iść autorzy programu. Często na ekranie widzimy zdjęcia z nieoczywistej perspektywy, kręcone z latającego między eksponatami drona. Czasem rozmach przywodzi na myśl raczej produkcję filmową niż telewizyjną. – Sam jestem czasem zaskoczony – przyznaje Wikło. – Ta produkcja jest rzeczywiście dość pracowita, ale efekt czasem sprawia faktycznie filmowe wrażenie. Jak dla mnie miejscami ociera się nawet o animację, jakby grało się w grę komputerową. Długie ustawianie światła, szukanie ujęć, no i ten dron – w telewizji rzadko przykłada się wagę do takich rzeczy. Reżyser Grzegorz Jankowski wykonał w każdym razie wspaniałą robotę. Myślę, że właśnie walory wizualne będą mogły zachęcić młodszego odbiorcę.

Ekipa ma zaplanowane w pierwszej serii 12 odcinków. Jak dotąd zbiera bardzo dobre recenzje, nie można więc wykluczyć, że produkcja będzie kontynuowana. – Myślę, że cała ekipa jest otwarta na dalszą współpracę. Zgraliśmy się już, dobrze nam się pracuje. Decyzja oczywiście nie należy do mnie, ale jeśli dostaniemy zielone światło, to kręcimy dalej – dodaje dziennikarz.

Wielka Księga Manipulacji

Rzeczy nie zawsze są tym, na co wyglądają. Chyba najbardziej niebezpieczne są manipulacje duchowością. Capoeira jest dla młodych osób atrakcyjnym sposobem spędzania wolnego czasu. Ludzie Zachodu odbierają capoeirę jako rodzaj aktywności fizycznej. Gra miniorkiestra. Dwoje ludzi wchodzi w krąg kilkunastu osób i zaczyna, w zależności od nastroju, walczyć lub tańczyć. Można się popisać sprawnością fizyczną, wyobraźnią, koordynacją ruchów. Jednak w capoeirze istnieje rytuał inicjacyjny. Nazywa się batizado. Są kolejne stopnie wtajemniczenia: kordy – czyli sznury różnych kolorów.

Ruch capoeira opiera się na charyzmatycznych mestre, tworzących szkoły. Są mistrzowie capoeiry głoszący, że nauczają jedynie technik walki i tańca, są mestre mówiący wprost, że capoeira jest fizycznym aspektem religii candomblé, synkretycznych wierzeń będących mieszanką animistycznych religii afrykańskich z południowoamerykańskim, indiańskim okultyzmem. Mestre Pastinha (1889–1981) mówił: „Capoeira jest religijna, pochodzi z religii candomblé. Energia axe jest ukryta i w candomblé, i w capoeirze. Wyrażana jest inaczej, ale ilość jest ta sama. Religia jest ta sama”. Najkrócej mówiąc, candomblé to synkretyczny kult 50 bóstw, zbliżony do voodoo. Słyszymy jednak jedynie o aspekcie fizycznym. Wielu ludzi odepchnęłoby bowiem informacja o jej duchowych korzeniach w obecnej chrześcijaństwu religii.

Podobnie jest z aikido. Ruch aikido na całym świecie skupia przynajmniej 3 mln osób. Nazwa aikido składa się z trzech członów. „Ai” to harmonia, „ki” to umysł, energia wewnętrzna, duch, posiadający moc, „do” – potocznie tłumaczy się jako droga. Treningi aikido zaczynają się i kończą medytacją, w której istotą rzeczy jest uzyskanie kontroli

nad „ki”, czyli bezosobową – jak wierzą aikidocy – energią natury, która daje początek i koniec wszystkim zjawiskom i istotom żywym w kosmosie.

Autor strony ju-jitsu.cad.pl pisze: „Nikt dokładnie nie wie, czym jest »ki«, tajemnicza siła psychiczna, mogąca oddziaływać na świat fizyczny. Bezdyskusyjne jest natomiast to, że mistrzowie potrafią z minimalnym nakładem sił rzucać ciężkimi nawet przeciwnikami, podnosić wielkie ciężary na samych palcach czy przeciwstawić się wielkiej sile”.

Aikidocy zakładają zupełnie arbitralnie, że siła „ki” pochodzi ze sfery psychicznej. Jednak na cytowanej wcześniej stronie ju-jitsu.cad.pl przeczytać bowiem można: „Aikido jest całkiem oryginalną sztuką walki opartą na duchowych naukach religii ōmoto kyō”.

Twórcą aikido był Morihei Ueshiba. Kapłan tej właśnie sintoistycznej sekty. Istotą jej duchowości jest 19 technik kamigakari służących do przywoływania duchów, które opanowują ciało wyznawcy ōmoto kyō. Ueshiba opisał w swoich wspomnieniach moment własnego opętania. Umysł Ueshiby, jak pisze, „został poddany destrukcji”, ale jednocześnie pojawiły się nadprzyrodzone dary, między innymi zaczął on „słyszeć myśli” przeciwników oraz uzdrawiać. Dokładnie takie same przejawy mocy manifestują się w przypadku osób opętanych. Ćwiczenie aikido, podobnie jak capoeira rodzi niebezpieczeństwo otwarcia się na toksyczną duchowość.

Bartek ćwiczył aikido. Był na macie niepokonany. Schudł jednak straszliwie, miał też w sobie jakąś dziwną, złą siłę, która sprawiała, że w pracy nikt nie chciał przebywać z nim w jednym pomieszczeniu. Kiedyś w trakcie sprzątania znalazł za łóżkiem różaniec. Od tego momentu zaczął czuć w sobie obcą obecność.



ROBERT TEKIELI

Kultura zachodnia zatraciła całkowicie zdolność oddzielania rzeczy pożytecznych od chwastów i zagrożeń. Kryterium prawdomówności w kulturze zostało całkowicie porzucone. Dziś nie ma autorytetów, każdy może mówić cokolwiek, bez jakichkolwiek konsekwencji, choćby takich jak obniżenie swej wiarygodności. Wartości nic bowiem nie znaczą, liczą się emocje.

Kolejne pokolenia są zdane na metodę prób i błędów. Jednak eksperymentowanie swoim życiem, szczególnie w sferze duchowości, jest zabójcze, ponieważ eksperymentu życia nie da się powtórzyć. Dlatego warto się kierować ku sprawdzonym tradycjom duchowym, których efekty możemy prześledzić na dziesiątkach pokoleń.

Pracuję dziś nad Wielką Księgą Manipulacji. Na projekt będą się składały istniejący już kanał na YouTubie, portal informacyjny oraz poradnia telefoniczna dla osób uzależnionych i zniewolonych. Na YT są już filmiki, w których wykazuję manipulacje związane z astrologią, tzw. pozytywnym myśleniem, oszustwem fengshui, pokazuję słabe strony niektórych technik szybkiego czytania i szybkiego nauczania oraz hipnozy, zajmuję się także „dowodami” na skuteczność działań „jasnowidza” z Człuchowa. Jeśli ktoś chce zostać współtwórcą tego dzieła – zapraszam. Można to zrobić przez portal patronite.pl. Na stronie głównej trzeba wejść w zakładkę Szukaj i wpisać moje nazwisko.



WOJNA CYWILIZACJI

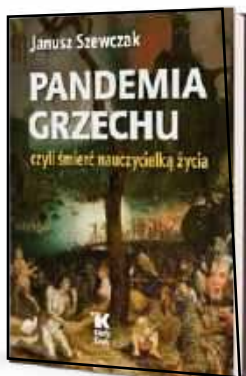
KULTURA

Warto „Heteropatriarchat zabija bardziej niż koronawirus” – oto hasło przetaczającej się przez Zachód rewolucji, jakie autor książki *„Pandemia grzechu”* Janusz Szewczak uznał za swego rodzaju kwintesencję jednego z najgroźniejszych nurtów współczesnej neomarksistowskiej ideologii. Do tego neomaltuzjanizm i Bernard Shaw: „Eugeniczna polityka doprowadzi nas w końcu do tego, że komora gazowa wejdzie w powszechne użycie. Trzeba będzie wyeliminować bardzo wielu ludzi z tego prostego powodu, że opieka nad nimi jest stratą czasu”. Do tego transhumanizm oraz ideologie wymuszające tyranię mniejszości nad większością. I wreszcie rewolucyjna konkluzja: już teraz Bóg i chrześcijaństwo nie są potrzebne.

Współczesny pelzający totalitaryzm urąga racjonalizmowi i naukowemu podejściu do rzeczywistości. Bo jakie ma np. znaczenie dla rewolucjonistów, że niekwestionowany autorytet naukowy, laureat Nagrody Nobla, australijski neurofizjolog John Eccles dowodził swymi badaniami, iż każdy człowiek ma nieśmiertelną duszę: „Materia bowiem nie jest w stanie wytwarzać zjawisk psychicznych, energia fizyczna nie tworzy energii psychicznej”.

Człowiek 2.0 ma być homo mellius (człowiek poprawiony), a w końcu homo deus, choć jednocześnie heroldzi postnowoczesnej przemiany, najbogatsi ludzie świata umierają jak każdy zwykły człowiek. Mimo szalonych starań. No i wreszcie, kto będzie selekcjonował, kto będzie stał na rampie i oddzielał doskonałych od genetycznego motłochu?

Zjemy w świecie, w którym śmierć jest na wyciągnięcie ręki. Boimy się infekcji, kaszlu, grypy, wirusa, cierpimy z powodu samotności, braku spotkań w restauracji, wizyt w galeriach handlowych, u fryzjera czy na siłowni. Nie boimy się za to Boga, szatana ani kary za popełnione grzechy, lekceważymy kwestię życia wiecznego oraz zbawienia duszy. I raczej na pewno rozwiązaniem dla ludzkości nie będzie w zamian nieustanny triumf postępu, nowoczesności, technologii



cyfrowych lub neurobiologii. Autor „Pandemii grzechu” pyta: czy wszechobecna dziś śmierć otrzeźwi ludzkość? Janusz Szewczak podkreśla też paradoks – transhumaniści zwiastują nowego człowieka, który dzięki technologii i ingerencjom w genom będzie żył w zdrowiu 150–180 lat, tworzone są także hybrydy ludzko-zwierzęce, a jednocześnie ludzkość nie potrafi sobie poradzić z kolejnym mutującym wirusem.

Sztuczna inteligencja i humanoidalne roboty mają zająć miejsce „niepotrzebnych i niedoskonałych ludzi”, ale to marzenie o oczyszczeniu rasy, o nieśmiertelności, o zrównaniu się z Bogiem poprzez stworzenie golega, Frankensteina, hybrydy, człowieka edytowanego – to pragnienie pojawia się od 200 lat i zawsze kończy się klęską. A nawet gdyby się zrealizowało, skąd pomysł, że na pewno będzie to zmiana na lepsze? Na koniec autor stawia pytanie: czy jesteśmy w stanie powstrzymać cywilizację śmierci. Właśnie. Jesteśmy?

Niekoniecznie Niestety mająca właśnie swoją premierę na Amazon Prime Video czwarta odsłona animowanego *„Hotelu Transylwania”* nijak się ma do wcześniejszych produkcji pod tym samym tytułem. W najnowszej części „Hotelu” nie ma dialogów z mnóstwem żartów słownych, w dalszym ciągu mamy sympatycznych bohaterów, ale koncept potworów krzyczących ze strachu na widok ludzi już się odrobinę opatrzył. Po 19 latach od premiery pierwszego filmu z wampirzej serii okazuje się również, że animacja czerpiąca inspirację z ikonografii kina grozy nie jest już zbyt atrakcyjna. W trakcie oglądania filmu uśmiechnąłem się raz, wzruszyłem się również tylko raz. Rzecz na tle wielu prześmiesznych, przeuroczych i wciągających współczesnych filmów animowanych wygląda zupełnie przeciętnie. Świat przedstawiony „Hotelu Transylwania” w pełni mieści się w formule tradycyjnej, sprawdzonej baśni, nie ma wrózek transwestytów, homoseksualnych związków natrętnie celebrowanych. Ale to chyba za mało. Chociaż obejrzałem tę bajkę do końca i nie obraziłbym się, gdyby chcieli ją oglądać 12-latk.

Robert Tekieli
Polskie Radio

POPKULTURA



Lansky” wchodzi skromnie na platformy VOD i może zaginać w gąszczu premier kinowych oraz platform streamingowych. Choć nie jest to do końca kino spełnione, to warto zwrócić uwagę na rolę Harveya Keitela, który zasłużył przynajmniej na oscarową nominację.

To zdumiewające, ale 82-letni Keitel dostał w życiu tylko jedną nominację do Oscara za rolę w „Bugsym” (1991) Barry’ego Levinsona.

Zagrał tam w legendarnego gangstera Mickeya Cohena. Ben Kingsley wcielił się u Levinsona w Mayera Lansky’ego, jednego z najczęściej interpretowanych w hollywoodzkim kinie gangsterów. Keitel idealnie nadaje się do roli Lansky’ego. Nie tylko dlatego, że obaj mają polskie korzenie. Lansky urodził się w 1902 r. w Grodnie pod nazwiskiem Meier Suchowlański. Zmarły w 1983 r. na Florydzie był jedną z ikon amerykańskiego syndykatu przestępczego, złożonego z włoskiej mafii oraz żydowskich i irlandzkich grup przestępczych. Lansky stworzył go razem z Charlesem „Luckym” Luciano, budując potem hazardową potęgę Las Vegas. Nie byłoby światowej stolicy grzechu, gdyby kilku gangsterów z Nowego Jorku nie wpadło na pomysł, by na środku pustyni w stanie Nevada, gdzie hazard był legalny, postawić całe miasto. Lansky budował kasyna na Kubie przed rewolucją Castro, na Bahamach, a nawet w Londynie. Nigdy za swoją gangsterską działalność nie dostał poważnego wyroku, choć wyrzucono go z Izraela, gdzie jako Żyd wyemigrował, uciekając przed zarzutami o niepłacenie podatków. Podobno współpracował z Mosadem, więc nie wybaczył premier Goldzie Maier, że pozwoliła na jego wydalenie z kraju.

Nazwisko Lansky’ego przewija się we wszystkich najgłośniejszych mafijnych sprawach w historii USA. Budowa kasyna Flamingo, szantażowanie legendarnego i kontrowersyjnego szefa FBI J. Edgara Hoovera, jeden z wątków zabójstwa prezydenta Johna F. Kennedy’ego, ale też ukrywana latami współpraca z amerykańskim rządem – pomoc w kontaktach aliantów z mafią sycylijską przed inwazją na Włochy podczas II wojny światowej, rozbijanie w latach 30. nazistowskiego niemiecko-amerykańskiego Bundu – o Lanskim mógłby powstać długi serial. To Lansky zainspirował postać Hymana Rotha w „Ojcu chrestnym II” (1974) Francisa Forda Coppoli, u którego zagrał legendarny Lee Strasberg. W innym gangsterskim klasyku, „Pewnego razu w Ameryce” (1984) Sergio Leone, oparto na

nim postać graną przez Jamesa Woodsa. Ciekawą interpretację Lansky’ego stworzył Dustin Hoffman w antycastrowskim filmie Andy’ego Garcii „Hawana miasto utracone” (2005). Najpełniejszy obraz Lansky’ego dostaliśmy w pięciu sezonach „Zakazanego imperium”, gdzie zagrał go brytyjski aktor Anatol Yusef. „Lansky” Eytana Rockawaya to pierwsza próba całościowego spojrzenia na życie żydowskiego gangstera, który dożył spokojnie swoich dni na słonecznej Florydzie. Udana? Nie do końca, ale warta sprawdzenia.

Koncept scenariusza jest mało oryginalny. Oto Mayer Lansky (Harvey Keitel) spowiada się ze swojego życia upadłemu dziennikarzowi Davidowi Stone’owi (Sam Worthington). Ten zaczyna być inwigilowany przez FBI, które chce się dowiedzieć, gdzie Lansky ukrył milionowy majątek. Lansky wie, że Stone go nie zdradzi, bo

jest upadłym zawodowcem i żurnalistą, który dzięki książce może wrócić na szczyt. Potrzebują się wzajemnie. Choć obie postaci są równomiernie zbudowane (Stone zalega z alimentami, choć kocha swoje dziecko i próbuje zbudować nowy związek), to każdą scenę kradnie

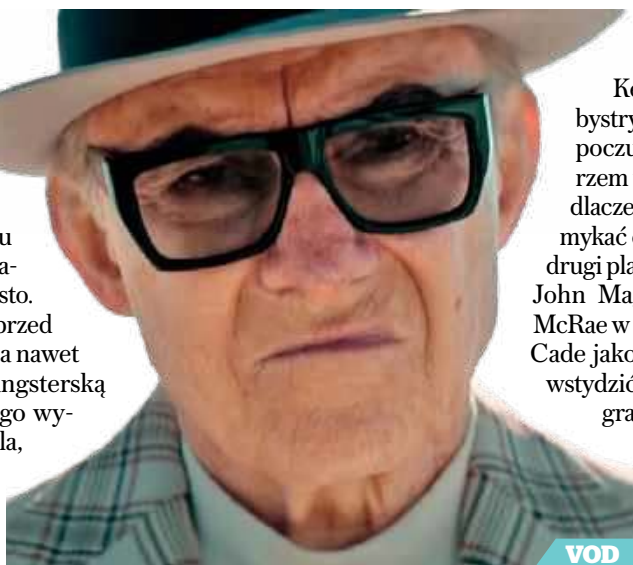
Keitel. Lansky w jego interpretacji jest bystry, ironiczny i czuć ukryte za oczami poczucie potęgi. Panuje nad dziennikarzem w każdym wymiarze. Rozumiemy, dlaczego przez tyle lat udawało mu się wymykać organom ścigania. Świetny jest też drugi plan w scenach młodości Lansky’ego. John Magaro jako młody Meyer, Shane McRae w roli Lucky’ego Luciano oraz David Cade jako Bugsy Siegel nie mają się czego wstydzić w zestawieniu z aktorami, którzy grali te same postacie w przeszłości, na czele ze znakomitymi kracjami w „Zakazanym imperium”. Problem w tym, że scenariusz „Lansky’ego” jest dosyć mialki i opiera się wyłącznie na świetnym aktorstwie. Podobny problem

mieliśmy w „Capone” Josha Tranka ze świetną rolą Toma Hardy’ego jako Ala Capone. Tamten film też opowiadał o starości legendarnego gangstera. Hardy robił wszystko, by rzucić na niego nowe światło, choć historia była pokracznie napisana.

Harvey Keitel to jeden z najbardziej charyzmatycznych i niepokornych amerykańskich aktorów. Były żołnierz marines nie bał się nigdy ryzykownych projektów. Tworzył przenikliwe i odważne role u Scorsesego, Ferrary, Campiona, Ridleya Scotta, Schradera czy Sorrentina. Gdyby nie jego pomoc i zaangażowanie, Quentin Tarantino nie zadebiutowałby „Wściekłymi psami”. Mimo 82 lat na karku Keitel wciąż ma w sobie aktorski ogień i magnetyzm. Nadaje Lansky’emu nową głębię, jednocześnie nie romantyzując postaci. „Lansky” to jego film. W pełni.

„LANSKY” DOSTĘPNY W SERWISACH VOD

Koncert Harveya Keitela





Streaming

Nie taki cynik z niego



Cliwie i sentymentalne? Nieznosnie łzawe? Pozbawione pazura poprzednich sezonów? Wielu krytyków bezlitośnie rozjeżdża finałowy sezon „After Life”. Będę go jednak bronić. Po seansie napisałem na szybko na Twitterze, że kocham cyniczne poczucie humoru Ricky’ego Gervaisa i brakuje mi go w trzecim sezonie jego serialu. Jednak finał chwycił mnie za serce, choć przecież jestem krytykiem filmowym, czyli przedstawicielem nabzdyczonej i napuszonej branży. Ricky dał mi rodzaj sentymentalizmu, jaki lubię. „Udało Ci się wcisnąć odpowiedni przycisk” – napisałem, tagując przy tym Gervaisa. Ku mojemu zdziwieniu dał lajka! Ten czołowy dziś brytyjski komik, odpowiedzialny za legendarny „The Office”, bardzo osobiście traktuje swój netflixowy serial. Odpisuje fanom na Twitterze, dyskutuje z nimi i się spiera. Zresztą jego uzależnienie od Twittera jest znane i szeroko o nim opowiada w swoich znakomitych stand-upach.

W „After Life” Gervais wciela się w Tony’ego – cynicznego i sarkastycz-

nego dziennikarza lokalnej gazety w małym miasteczku Tambury. W pierwszym sezonie chce popełnić samobójstwo. Życie nie ma dla niego sensu. Na raka zmarła jego ukochana żona Lisa (Kerry Godliman). Przy życiu trzyma go tylko ich ukochany owczarek. Spaceruje z psem i ogląda nagrań z Lisą, która zostawiła mu testament wideo, sprawiając mu przyjemność. Tony tryska sarkazmem, rani przyjaciół i bliskich, mówiąc im w oczy, co myśli. Jest dla nich tak samo brutalny jak Gervais prowadzący Złote Globy i szydzący z całego establishmentu Hollywood. W trzecim sezonie wiele się zmienia. Tony próbuje budować związek z kobietą, która opiekowała się w zakładzie jego chorym na demencję ojcem. Jest pogodzony z redaktorami gazety i miłszy dla otoczenia. Nie dokucza już najlepszemu kumpłowi i pomaga nowym pracownikom, zamiast zniechęcać ich do życia. Sam wciąż cierpi, bo czy da się tak naprawdę zastąpić Lisę? A może właśnie nie trzeba jej zastępować? Może miłość do zmarłej kobiety życia samotny Tony powinien przekuć w coś szerszego?

To zdumiewająca, jak mocno Gervais się odsłonił w tym sezonie. Zamiast błyskotliwego, ciętego dowcipu ekranowego mizantropa (przyznaję, że jako mizantrop pokochałem postać od pierwszego wejrzenia!) widzimy bardzo dobrotliwą twarz brytyjskiego komika. Tak, monologi o samotności mają tutaj więcej ładu sentymentalizmu niż cynicznego humoru. Tak, pojawienie się śmiertelnie chorych dzieci może być odebrane jako emocjonalny szantaż. Tak, finałowa scena jest cklewie dwuznaczna. I co z tego, skoro widzę szczerość Gervaisa, który zbudował swój wizerunek na czymś zupełnie innym? Finałowy sezon dotyka pytań nie tylko o samotność i żal, ale także o wiarę, co jest zaskakujące, bo Gervais jest radykalnym ateistą. A może jest tak, że dzisiejszy świat jest już tak cyniczny i podłany relatywizmem moralnym, że potrzebujemy prostego sentymentalizmu i zwyczajnej przyzwoitości ludzkiej? Ten serial jest o przyzwoitych ludziach. Zaskakiły mi się oczy na ostatniej scenie. To wystarczy!

„AFTER LIFE” DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Polska ma trudny punkt startu

Bez energetyki jądrowej neutralność klimatyczna nie jest możliwa – mówi **Karol Pogorzelski**, ekspert Departamentu Analiz Makroekonomicznych w Banku Pekao SA

Jest pan współautorem raportu Banku Pekao poświęconego pakietowi Fit for 55. Pakiet podwyższa cel redukcji emisji gazów cieplarnianych z 40 do 55 proc. do 2030 r. Punkt, który budzi chyba największe kontrowersje, dotyczy kosztów nabycia uprawnień do emisji CO₂...

Karol Pogorzelski: Jest to ok. 1/3 kosztów całego pakietu. 78 proc. tej kwoty wróci jednak do budżetu państwa. Tak ten system został skonstruowany: państwa dostają przydziały praw do emisji, proporcjonalne do ich emisji w roku 2005. Środki te mają wyrzucić presję na firmy, aby obniżały emisyjność, natomiast państwo ma z tego tytułu źródło przychodów. W zeszłym roku było to ok. 25 mld zł. Państwo może wykorzystać te środki na wsparcie inwestycji w nowe źródła energii, w rozbudowę infrastruktury sieciowej, w działania osłonowe – co zresztą już się dzieje.

Czy są to koszty do udźwignięcia przez polską gospodarkę, a także przez polskie rodziny? Realizacja unijnego pakietu ma kosztować

w latach 2021–2030 czteroosobową rodzinę ok. 280 tys. zł.

W praktyce będzie to mniejsza kwota, gdyż 41 proc. wróci do budżetu państwa w postaci wspomnianych przeze mnie dochodów z aukcji do emisji CO₂ oraz funduszy unijnych. Ponadto mówimy o kwocie rozłożonej na dziesięć lat i tylko w części obciążającej bezpośrednio gospodarstwa domowe. Koszty polityki klimatycznej obciążą przede wszystkim energetykę i przemysł energochłonny, który sprzedaje również na eksport, np. branżę chemiczną, huty, producentów cementu... To oni przede wszystkim będą musieli zainwestować dużą część kwoty, o której mówimy.

Koszty wynikające z realizacji Fit for 55, jakie państwo wyliczyli, są szokujące: mogą sięgnąć 2,4 bln zł. Dlaczego są one aż tak wysokie?

Z perspektywy gospodarstwa domowego jest to kwota abstrakcyjna. Co innego perspektywa całej gospodarki. Co roku w Polsce państwo i firmy wydają 400–500 mld zł na inwestycje.

Roczne polskie PKB wynosi zaś obecnie 2,5–2,6 bln zł. Warto też pamiętać, że duża część Fit for 55 już jest wpisana w polską politykę gospodarczą, np. program budowy wiatraków na morzu, energetyki jądrowej, termomodernizacji budynków itp.

Dlaczego jest to jednak taka kwota?

W 2/3 są to nakłady inwestycyjne, konieczne w dwóch obszarach. Najważniejszy to transformacja energetyki. Koszty w tym przypadku muszą być wysokie, gdyż w Polsce mamy już w dużej mierze wyeksploatowany system energetyczny. Siłą rzeczy będziemy musieli wyczołfać wiele starych bloków węglowych i zastąpić je czymś innym. Kończy się nam też powoli węgiel w kopalniach odkrywkowych. Polityka energetyczna państwa zakłada jednak modernizację energetyki: zwiększenie udziału OZE, dołożenie energetyki jądrowej.

A druga część inwestycji?

To renowacje budynków. Koszty wynikają głównie z tego, że w Polsce mamy miliony domów, mieszkalnych

i niemieszkalnych, słabo izolowanych, przez co dość emisyjnych. Koszt zmniejszenia tej emisyjności, czyli wymiany ocieplenia, wymiany pieców, założenie fotowoltaiki, jest więc wysoki. Warto jednak pamiętać, że jest to inwestycja oznaczająca oszczędności na rachunkach. Oznacza też spadek tzw. niskiej emisji, co niesie korzyści dla zdrowia publicznego.

Są to zresztą inwestycje już realizowane.

Tak. Już teraz idą na nie miliardy złotych. Budżet programu Czyste powietrze, przyjęty na dziesięć lat, wynosi 103 mld zł. Już teraz na różne sposoby realizujemy polityki klimatyczne, ponieważ przynosi to realne korzyści, np. mniejsze zużycie energii w domach, mniejszy smog.

Jednak czy te koszty będą ograniczały się jedynie np. do ocieplenia budynków? Ceny energii wzrosną, a to obciąży rodziny. Koszty dla gospodarstw domowych będą miały charakter nie tylko inwestycyjny, lecz również bieżący.

I tak, i nie. Wzrost kosztów, presja ze strony nośników energii ma za zadanie motywować gospodarstwa domowe do tego, żeby inwestowały. Inwestycje w pompy ciepła czy w fotowoltaikę wyraźnie zmniejszają koszty energii. Dzisiaj brzmi to trochę jak science fiction, jednak mówimy o perspektywie kilku lat do przodu. Inwestycje, których dokonamy teraz, będą też procentować po 2030 r.

Czy jednak firmy i cała polska gospodarka są w stanie poradzić sobie z takimi kosztami?

Jest to kwestia priorytetów i dokonania pewnych wyborów. Na pewno będzie wymagać współpracy państwa, funduszy unijnych, banków oraz bardzo przemyślanej polityki gospodarczej. Warto też pamiętać, że polskie firmy uczestniczą w globalnych łańcuchach dostaw, które coraz bardziej się „zazieleniają”. Dostęp do odnawialnej energii oraz ograniczenie emisji będą dla nich niezbędne, aby w dalszym ciągu zajmować w tych łańcuchach miejsce. Jeśli chodzi o gospodarstwa

domowe, to część już realizuje inwestycje wpisujące się w Fit for 55, tylko o tym nie wie, np. wymienia okna, instaluje panele fotowoltaiczne itp. Części na to nie stać. W ich przypadku wsparcie państwa oraz działania osłonowe byłyby niezbędne.

Polska gospodarka, firmy, rodziny będą musiały jednak wyłożyć ze swoich budżetów znaczne kwoty. Szacują państwo, że będzie to ok. 1,2 bln zł, bo taka będzie różnica między środkami unijnymi a polskimi nakładami. Jakie są szanse, że tak wielkie inwestycje kiedykolwiek się zwrócą? Czy wiedzą państwo, kiedy może się pojawić zwrot z tak zainwestowanego kapitału?

Różne typy inwestycji będą zwracać się w różnym tempie, niektóre mogą się okazać nierentowne. Trudno mi podać horyzont czasowy. Warto pamiętać, że części korzyści nie da się łatwo wycenić, np. zmniejszenie smogu z niskiej emisji oznacza poprawę zdrowia publicznego, mniej chorób układu oddechowego i mniejszy koszt leczenia w szpitalach. Jeżeli mówimy o czasie zwrotu z inwestycji, to taki element też trzeba uwzględnić.

Zależy to też od ceny energii. Jeszcze roku temu, gdy energia elektryczna była stosunkowo tania, zwrot z inwestycji np. w fotowoltaikę sięgał ok. 15 lat. Teraz ceny są znaczne wyższe, zwrot również będzie szybszy.

Warto też pamiętać, że wzrost cen uprawnień do emisji CO₂ dla jednych firm oznacza duże koszty, ale dla innych jest to impuls do rozwoju. Są w Polsce firmy zaangażowane w zieloną gospodarkę. Mamy czołowego europejskiego dostawcę ładowarek do samochodów elektrycznych, producenta elektrycznych pojazdów, firmy inwestujące we własne rozwiązania fotowoltaiczne itp.

Pakiet Fit for 55 to propozycja Komisji Europejskiej, ciągle dyskutowana. Kto jest jego zwolennikiem, kto na nim skorzysta najbardziej?

Nie widzę w Unii Europejskiej sporu co do samego kierunku polityki klimatycznej. W tym sensie Fit for 55 ma

dość szerokie poparcie. Istnieje natomiast spór o to, w jaki sposób to robić. Z jednej strony są państwa, które uważają, że trzeba korzystać z energetyki atomowej, z drugiej – jej przeciwnicy. Do pierwszej grupy należy Francja, ale też np. Finlandia i Szwecja. Energetykę atomową posiadają Czechy, Węgry, chce ją budować Polska. KE ostatnio postanowiła, że energetyka jądrowa będzie się cieszyła wsparciem funduszy unijnych i do tej technologii dodała gaz. Przeciwno energetyce jądrowej protestuje rząd Niemiec. Moim zdaniem bez energetyki jądrowej neutralność klimatyczna nie jest możliwa.

Jak pan sądzi, czy Fit for 55 to koncepcja, w której zwycięzcami zostaną ostatecznie wszystkie państwa unijne, jedne wcześniej, a drugie później, czy jednak będą tu tylko zwycięzcy i przegrani?

W tej chwili trwa wyścig między krajami Unii. Zielona transformacja daje szanse gospodarce, jeżeli dokona się jej wcześniej i mądrze. Na przykład państwa chcą teraz stawiać wiatraki na morzu, a statków, które są w stanie to robić, i portów, które potrafią je obsługiwać, nie ma wiele. Państwa ustawiają się więc w kolejce. W tej chwili trudno powiedzieć, kto z tego wyścigu wyjdzie zwycięsko. Polska ma na pewno trudny punkt startu ze względu na energetykę opartą na węglu. Ale ma inne atuty. Na przykład unijny program renowacji budynków realizujemy szybciej niż inne kraje. Mamy kompetencje w tej dziedzinie, firmy, które potrafią to robić, gospodarstwa domowe, które chcą to robić, i państwo, które stworzyło odpowiednie otoczenie regulacyjne. Wspomniałem też już o firmach, które w zielonej gospodarce radzą sobie dobrze. Na przykład elektromobilność to dla nas raczej szansa niż ryzyko. Już przyciągamy duże inwestycje zagraniczne w tym obszarze i mamy szansę zbudować własną markę motoryzacyjną, której trudno byłoby się przebić na rynku tradycyjnej motoryzacji.

*Rozmawiał Stanisław Koczoł,
„Gazeta Bankowa”*



Pokazujemy, jak ważne jest systemowe działanie w gospodarce wodnej

Jesteśmy nastawieni na inwestycje zwiększające bezpieczeństwo wodne Polski, na odrobienie kilkudziesięcioletnich zaległości – mówi cztery lata po utworzeniu Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie prezes **Przemysław Dac**a w rozmowie z Maciejem Wośką i Arkadym Saulskim

Wody Polskie istnieją dopiero od czterech lat, jednak do nadrobienia mamy kilkadziesiąt lat zapóźnień, jeśli chodzi o nieład wywołany nakładaniem się kompetencji różnych urzędów i instytucji. Wody Polskie starają się to uporządkować.

Przemysław Daca: Mieliśmy w przeszłości do czynienia z nakładaniem się wielu kompetencji w urzędach. Uczestniczyłem w dyskusji na ten temat, jeszcze w czasach poprzedniej ekipy rządzącej. Wtedy próbowano zlikwidować administrację żegluga śródlądowej i wcielić ją do administracji gospodarki wodnej, co wzbudziło ogromny sprzeciw środowiska żeglugowego. Teraz gdy istnieją Wody Polskie, scalone są kompetencje gospodarki wodnej. Wcześniej część z nich znajdowała się w ministerstwach: ochrony środowi-

ska, budownictwa, żegluga śródlądowej i rolnictwa. Wiele spraw było też w gestii samorządów, np. marszałków województw, którzy wykonywali zadania powierzone im przez administrację centralną. Zebranie wszystkich było zadaniem niezwykle trudnym, ale okazało się możliwe do wykonania. Teraz działamy jako jedna organizacja zajmująca się krajową gospodarką wodną.

Wody Polskie powstały w trudnej sytuacji – wciąż nie mieliśmy w Polsce wdrożonej Ramowej Dyrektywy Wodnej, która jest swoistą unijną biblią gospodarki wodnej w Europie. Mieliśmy wręcz poważne naruszenie, powodujące, iż byliśmy pod specjalną kuratelą Komisji Europejskiej i musieliśmy zabiegać o specjalne zezwolenia w wypadku każdej właściwej inwestycji. To było wielkie zaniedbanie poprzedniej

ekipy. Było więcej poważnych naruszeń, więc musieliśmy już na samym początku działalności przeprowadzić poważną reformę. Pamiętam moją rozmowę z przedstawicielami Banku Światowego, którzy odpowiadali za kwestie analiz gospodarki wodnej na całym terenie Europy i Azji. Powiedzieli wprost, że nasza reforma, nasze inwestycje i działania były największym przedsięwzięciem na tym obszarze.

To potężna zmiana – organizacyjna, kompetencyjna, która wymaga skoordynowanej, przemyślanej i twardej strategii.

Zacznę od tego, że uzyskaliśmy możliwość prowadzenia działalności gospodarczej, gdyż jesteśmy państwową osobą prawną – dotychczas było tak, że dostawaliśmy tylko dotacje, środki zewnętrzne, które musieliśmy roz-

liczać raz w roku. Teraz zbieramy pożytki, opłaty i gospodarujemy. Nie jesteśmy jednak spółką, której celem jest zarabianie pieniędzy. Gospodarujemy wodami w imieniu skarbu państwa, wszystkie zaś środki, które zdobywamy, przeznaczamy na kolejne inwestycje i działania. Wśród realizowanych przez Wody Polskie celów i zadań trzeba wymienić działania przeciwpowodziowe, przeciwsuszowe, wydawanie zgód administracyjnych. Ponadto, podobnie jak Urząd Regulacji Energetyki dla przedsiębiorstw energetycznych i odbiorców paliw i energii, jesteśmy regulatorem dla przedsiębiorstw wodnokanalizacyjnych przez ustalanie taryf. Reprezentujemy interes obywateli, czyli odbiorcy końcowego, jeśli chodzi o ceny wody i ścieków. Zgodnie z ustawą inicjujemy też cały zestaw dokumentów strategicznych – jesteśmy jednym z niewielu krajów, które przygotowały dokument o przeciwdziałaniu skutkom suszy. Dzięki temu, gdy mieliśmy już poważny problem z suszą, wiedzieliśmy, jak postępować, jak minimalizować jej skutki – a więc mamy plan strategiczny. Przygotowujemy też mapy ryzyka i zagrożenia powodziowego, które są podstawą do skutecznych działań.

To bez wątplenia solidna baza.

Zrealizowaliśmy już kilkaset dużych inwestycji dla bezpieczeństwa wodnego Polski i Polaków, mamy zaawansowane prace w ramach projektu przeciwpowodziowego, który zwiększy bezpieczeństwo 15 mln osób. Ukończyliśmy m.in. budowę zbiornika przeciwpowodziowego Racibórz, który chroni mieszkańców trzech województw przed falą powodziową o rozmiarach tej z 1997 r. Zbudowaliśmy też nowy polder Roztoki w Kotlinie Kłodzkiej, w tym roku oddamy kolejny taki obiekt. Co roku modernizujemy i budujemy kilkadziesiąt kilometrów wałów przeciwpowodziowych. Po czterech latach zdołaliśmy już zaistnieć, chociaż początek naszej działalności był ogromnym wyzwaniem. Musieliśmy zorganizować siedziby dla 392



Fot. Materiały prasowe

Jedna z roboczych wizyt związanych z budową wałów przeciwpowodziowych i polderów realizowanego obecnie projektu przeciwpowodziowego w dorzeczu Odry i Wisły

jednostek, samochody, sprzęt komputerowy i zająć się dokumentacją, która przyjeżdżała do nas dosłownie ciężarówkami. Na początku były problemy, które pokonaliśmy. Teraz co roku zwiększamy środki na inwestycje. Potroiliśmy kwotę na prace utrzymaniowe, w tym roku wydamy na nie pół miliarda złotych. Na inwestycje w 2022 r. przeznaczyliśmy 2,3 mld zł. Wartość wszystkich zadań, jakie realizujemy, przekracza 20 mld zł.

Dlaczego tak późno? Dlaczego dopiero rządy Zjednoczonej Prawicy zdołały utworzyć Wody Polskie?

Gospodarka wodna niestety zawsze była traktowana w naszym kraju po macoszemu. Kiedy byliśmy na do robku, gdy wszyscy się zastanawiali, na co wydawać pieniądze – stawiano na drogi i kolej. Ignorowano rzeki. W tym czasie gospodarka wodna cierpiała na zaniedbania. Pamiętam raport NIK z 2013 r. pokazujący, że państwo przeznacza tylko 20 proc. niezbędnych środków na samo utrzymanie infrastruktury gospodarki wodnej. To oznacza, że nie dość, że nie było nowych inwestycji, to te stare były zaniedbywane, niszczały. Przez całe lata likwidowano branżowe kierunki na uczelniach, a pracownicy gospodarki wodnej przez byli niedofinansowani, co doprowadziło do luki pokoleniowej i braku specjalistów.

Ale budziły nas powodzie – 1997, 2010... to były sygnały alarmowe!

Chcę, by to zabrzmiało – nadal jako społeczeństwo i politycy, ale i dziennikarze, zajmujemy się gospodarką wodną wtedy, kiedy się dzieje coś złego: mamy powódź lub suszę. Zawsze to odbywało się na zasadzie zrywów. Następowaly duże powodzie, o których pan redaktor wspomina, ale i mniejsze, lokalne. Były miliardowe straty, ginęli ludzie i wtedy wszyscy się budzili, prowadzono błyskawiczne inwestycje, a politycy pokazywali w mediach tabelki, ile wykonano wałów przeciwpowodziowych. Jednak to były w pewnym sensie manipulacje, bo taka powódź z 2010 r. uszkodziła mnóstwo wałów, które należało odbudować, i to jak najszybciej. Ale odbudowa odbywała się tradycyjnymi metodami, nienowocześnie, bez przesłon przeciwnie, bez siatek przeciwko zwierzętom ryjącym itd. Rząd rzucał pieniądze, wszystko odbywało się szybko, a skutek był marny. Z tym należało skończyć. Zamiast doraźnych działań potrzebowaliśmy i potrzebujemy nowoczesnych inwestycji i budowania świadomości społecznej. Musimy sobie zdawać sprawę, że w Polsce mamy problem z wodą, i to bardzo duży. A on będzie narastał! Mamy zmiany klimatyczne, coraz częstsze i dłuższe okresy suszy, nawalne opady deszczu, które powodują powodzie błyskawiczne i podtopienia. To są zjawiska cykliczne, nie

do uniknięcia. Gdy ktoś mnie pyta: „Panie prezesie, czy będzie powódź?”. Odpowiadam: „Na pewno będzie, bo powodzie zawsze były, są i będą. Pytanie jak my się do nich przygotowujemy?”. Ostatni rok katastrofalnych powodzi w Holandii, Niemczech i Belgii pokazuje, że musimy mieć respekt przed żywiołem.

Ostatnie tragiczne powodzie w Europie były efektem drogich, ale fatalnych rozwiązań infrastrukturalnych, zastosowanych w tych krajach...

To prawda. Oni spoczęli na laurach, uznając, że udało im się opanować żywioł. A inwestycje w gospodarce wodnej są długoterminowe i należy je precyzyjnie przygotowywać. To trwa długo, bo niezbędne są odpowiednie zgody i opracowanie dokumentacji. Tu często pojawiają się działania pseudoekologów, którzy dezinformują społeczeństwo. Cieszę się jednak, że Polacy wiedzą i doceniają już, że Wody Polskie działają – inwestujemy, naprawiamy błędy poprzedników, budujemy bezpieczeństwo wodne kraju i zapewniamy dostępność wody. Choć i tu jest wiele do zrobienia, bo trzeba pamiętać, że jeśli chodzi o dostępność wody na mieszkańca, jesteśmy na szarym końcu Europy. Retencjonujemy 7 proc. średniorocznego odpływu, podczas gdy powinniśmy zatrzymywać jakieś 15 proc. Ponad 90 proc. wody „ucieka” nam rzekami do Bałtyku. Przez niedostateczną retencję wód opadowych i roztopowych zagrażają nam zarówno susze, jak i powodzie.

Niestety jeśli chodzi o samorządy, to jest to problem szerszy, gdy władze niektórych miast pozwalają budować w miejscach historycznie znanych z tego, że pojawia się tam woda.

Bardzo mocno badamy ten temat. Trzeba pamiętać, że to gminy odpowiadają za odprowadzanie wód opadowych – głównie za pośrednictwem kanałów burzowych, systemów budowanych kilkadziesiąt lat temu. Jednak ta infrastruktura nie spełnia dzisiejszych norm, dlatego poleciłem sprawdzenie nie tylko jej stanu, ale też np. planów zagospodarowania prze-



Fot. Materiały prasowe

Briefing prasowy poświęcony działaniom podejmowanym dla zmniejszenia deficytu wody, w ramach projektu Stop Suszy. Minister Marek Gróbarczyk (w środku) zarówno jako minister żeglugi i gospodarki morskiej w latach ubiegłych, jak i obecnie jako wiceminister infrastruktury jest odpowiedzialny za sektor gospodarki wodnej

strzennego, których analiza była dla mnie szokiem. W Łodzi planami pokryte jest tylko 30 proc. powierzchni miasta, są miejsca w Polsce, gdzie jest to tylko 1 proc. Gdy nie ma planu, mamy samowolkę deweloperów. A nowe inwestycje, np. osiedla, powinny być planowane samowystarczalnie, także pod względem zagospodarowania i retencjonowania wód opadowych. A jeśli wody mają być odprowadzane do kanalizacji miejskiej, ona zwyczajnie nie jest w stanie tego przyjąć! Osiedla są zalewane, jak krakowski Bieżanów, gdzie trzeba pilnie wdrażać działania, budować poldery, żeby ratować mieszkańców. Osiedla powinny mieć odpowiednią infrastrukturę, by nie dochodziło do lokalnych podtopień. Nie powinno się też zabudowywać terenów zalewowych. W systemie europejskim najpierw tworzy się mapy ryzyka powodziowego, a potem robi się program zarządzania ryzykiem powodziowym, czyli inwestycje niwelujące zagrożenie. Tak samo powinny robić samorządy – odnajdywać miejsca zagrożone i te zagrożenia eliminować.

Mówi pan o ekologii, w mediach zaś często zafalszowuje się wizję inwestycji wodnych jako nieekologicz-

nych ingerencji w przyrodę. Choćby zarzut „betonowania brzegów rzek”.

To temat złożony, ale w kwestii ochrony środowiska mamy tutaj do czynienia z wprowadzaniem w błąd polskiego społeczeństwa przez organizacje eko, i to z premedytacją. Betonowanie brzegów rzek? W XXI w. tego się nie robi! Ubezpieczanie brzegów rzek, podobnie jak inne prace, planuje się na podstawie analiz środowiskowych i nowoczesnych rozwiązań hydrotechnicznych oraz ekologicznych. Na ogół używa się kamienia, wikliny, naturalnych materiałów. Takie uparcie powtarzane mity sięją zamęt, szczególnie w młodym pokoleniu.

Kolejnym mitem są tzw. dziewicze rzeki. Tymczasem wiele polskich rzek jest uregulowanych, lekko licząc, od czasów Jagiellonów... tylko przez lata zaniedbań o tym zapomniano.

Być może są dziewicze rzeki w dzikim interiorze albo w okolicach terenów rolniczych. Wisła jest uregulowana w 90 proc. swojego biegu. Są kołowania, ujęcia wody etc. Mało tego – Wisła jest żeglowna i swego czasu była najbardziej wykorzystywaną gospodar-



Fot. Andrzej Wiktor

czo rzeką w Europie. Twierdzenie, że ta rzeka jest dziewicza, jest nieporozumieniem. Powiem więcej – Wisła jest właśnie zdegradowana przez swoją niejednorodność. Staramy się temu przeciwdziałać.

Żegluga śródlądowa, która na zachodzie kwitnie, a u nas zniknęła. Dlaczego nie możemy do niej wrócić? Zwłaszcza że wpisuje się w korytarz transportowy północ-południe i może współgrać z projektami energetycznymi, ekologicznymi.

Można powiedzieć, że jako społeczeństwo odwróciliśmy się od rzek – dopiero po wielu latach różnych inicjatyw udało się na nowo dostrzec ich walory. Żegluga śródlądowa nie miała też po czym pływać. Wierzę, że czas żeglugi śródlądowej jeszcze nadejdzie. Zwłaszcza że jako Polska, przyjmując porozumienie AGN, zobowiązaliśmy się do dostosowania naszych dróg wodnych do międzynarodowej klasy.

Bronisław Komorowski w 2010 r. mówił o tym, iż „woda ma to do siebie, że się zbiera i stanowi zagrożenie, a potem spływa do morza”. To samo mógłby powiedzieć prezy-

dent Trzaskowski? Pan jednak nie jest tak optymistycznie usposobiony?

Po dwóch katastrofalnych awariach systemu przesyłającego ścieki do oczyszczalni Czajka w Warszawie, kiedy do Wisły trafiło 15 mln m³ nieoczyszczonych ścieków bytowych, przemysłowych i poszpitalnych, po kilkuset mniejszych incydentach, utworzyłem Departament Gospodarki Wodno-Ściekowej w Wodach Polskich. To efekt naszych analiz tego, co dzieje się w wielu polskich miastach. Podczas pierwszej awarii systemu przesyłowego Czajki w 2019 r. realnie to my ocaliliśmy sytuację, także dzięki współpracy z premierem, gdy otrzymaliśmy zezwolenia, wsparcie wojska itd. Już wtedy mówiłem publicznie, że konieczna jest kompleksowa naprawa, że usuwając awarię, usunięto jej skutek, a nie przyczynę. Dosłownie dzień przed drugą awarią byłem w mediach i ostrzegałem, że zaraz może dojść do kolejnego wycieku ścieków! Zwracaliśmy uwagę zarówno prezydentowi miasta, jak i warszawskim wodociągom, że zamiast budowy jednej nitki kolektora awaryjnego konieczna jest budowa minimum dwóch, że niezbędne są analizy, nowe pozwolenia wodnoprawne. Nie było dialogu,

co więcej, w efekcie ze strony wodociągów doczekałem się kilku procesów. A przecież bezpieczeństwo i czystość wód to interes publiczny, zgodnie z prawem tu trzeba współdziałać dla dobra społecznego.

Natrafiając na taki opór samorządu, trudno mówić o inwestycjach w bezpieczeństwo wodne czy wodno-ściekowe stolicy i wielu polskich miast.

W Wodach Polskich skutecznie realizujemy nasze zadania i udowodniliśmy, jak ważna jest spójna koordynacja gospodarki wodnej w kraju. Wykonaliśmy wiele inwestycji, inne dokończyliśmy. Mamy duże wsparcie ministra Marka Gróbarczyka i całego rządu dla realizacji inwestycji przeciwpowodziowych, dalszych działań związanych ze zmniejszeniem ryzyka błyskawicznych powodzi miejskich oraz z rozwojem retencji. Takie sytuacje, jak awaria układu przesyłowego do stołecznej Czajki, jasno wykazują, jak ważna jest jednolita strategia wobec bezpieczeństwa wodnego. Musimy działać, bo woda jest niezbędna do życia dla każdego z nas, do funkcjonowania przemysłu, rolnictwa i innych gałęzi gospodarki.

Fot. Andrzej Wiktor



Daniel Obajtek, prezes zarządu PKN Orlen:

*Nasz cel to zapewnienie klientom stabilnej
oraz przyjaznej środowisku energii*

Połączenie PKN Orlen i Grupy Lotos weszło w decydującą fazę. Fuzja to strategiczny projekt dla polskiej branży paliwowej, krajowej gospodarki i regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Skutecznie realizujemy budowę silnego koncernu multienergetycznego. Ten proces wymaga konsolidacji polskich spółek paliwowo-energetycznych oraz ekspansji geograficznej i te elementy uwzględniliśmy w naszej strategii Orlen 2030. Z determinacją pracujemy nad finalizacją połączenia, bo to przełoży się na wzrost wyników finansowych zaangażowanych spółek oraz zagwarantuje bezpieczeństwo energetyczne Polski, a także stabilne i atrakcyjne ceny energii dla klientów. Co więcej, transakcja ta otworzy przed nami nowe możliwości rozwoju za granicą, na rynkach kluczowych z punktu widzenia strategii całej Grupy Orlen. Będziemy jednym z głównych graczy rynku paliwowego na Węgrzech i wzmocnimy swoją pozycję na Słowacji.

Wybraliśmy partnerów do realizacji środków zaradczych wynegocjowanych z Komisją Europejską. W przypadku rafinerii PKN Orlen zachowuje 70 proc. udziałów w wydzielonej spółce, której będzie operatorem i którą będzie mógł skutecznie zarządzać. W ten sposób zrealizujemy synergie wynikające z włączenia gdańskiej rafinerii do systemu Grupy Orlen. Dalszy rozwój aktywów rafineryjnych na Pomorzu będziemy realizować wspólnie z partnerem – Saudi Aramco, największą firmą energetyczno-chemiczną na świecie. Zachowanie kontroli operacyjnej nad Rafinerią Gdańską przez PKN Orlen było dla nas kluczowe i to się udało. Dzięki temu sprzedaż mniejszościowego udziału w gdańskiej rafinerii jest neutralna z punktu widzenia bezpieczeństwa energetycznego Polski i długoterminowej pozycji Grupy Orlen w regionie.

Od początku procesu przejęcia Grupy Lotos zapowiadaliśmy, że jest on realną szansą na dywersyfikację dostaw surowców. Wywiązujemy się z naszych deklaracji. Dlatego nierozłącznym elementem oferty Saudi Aramco jest podpisanie długoterminowej umowy na dostawy ropy naftowej. Dostawy z kierunku arabskiego, już po połączeniu z Grupą Lotos, mogą sięgnąć aż 45 proc. łącznego zapotrzebowania nowej Grupy Orlen. Dla koncernu to pewne źródło stabilnej

jakościowo ropy naftowej, a z punktu widzenia polskiej gospodarki dalsza dywersyfikacja kierunków dostaw.

W ramach partnerstwa przy środkach zaradczych z Saudi Aramco będziemy też rozmawiać o wspólnych inwestycjach w zaawansowany i wysokomarżowy sektor petrochemiczny. Nawiązanie takiego strategicznego partnerstwa oznacza też bliską współpracę z podmiotem posiadającym dostęp do technologii, mocno zaawansowanym w obszarze badań i rozwoju.

Realizacja środków zaradczych umocni też pozycję Grupy Orlen w obszarze sprzedaży detalicznej w regionie Europy Środkowo-Wschodniej. W wyniku transakcji z MOL powiększamy naszą sieć detaliczną o blisko 300 nowych stacji i otwieramy drogę do przejęcia kolejnych 100. Łącznie zatem będzie to prawie 400 nowych stacji wspierających sprzedaż i wzmacniających rozpoznawalność marki Orlen na kilku kluczowych rynkach. Równolegle planujemy dalszą ekspansję, tak aby zgodnie ze strategią do 2030 r. w regionie pod polską marką Orlen działało co najmniej 3,5 tys. stacji.

W związku z polityką klimatyczną prowadzoną przez Unię Europejską widoczny jest trend odchodzenia od tradycyjnych paliw, co skutkuje systematycznym zamykaniem rafinerii. W takich realiach sprzedaż rafinerii stanowi dziś dla koncernów paliwowych duże wyzwanie. PKN Orlen temu wyzwaniu sprostał z korzyścią dla obu firm, akcjonariuszy, pracowników i klientów. To był skomplikowany proces, nad którym prace trwały od czterech lat, a struktura transakcji została potwierdzona już w maju 2021 r. w porozumieniu z Ministerstwem Aktywów Państwowych, którego udział w akcjonariacie rozszerzonego koncernu zostanie zwiększony.

Stabilność gospodarki i regionu wymaga więc od nas otwarcia na niestandardowe rozwiązania i gotowości do podejmowania ważnych, czasem trudnych, decyzji. To nie tylko biznes, ale też bezpieczeństwo gospodarcze Polski. Dlatego cały czas idziemy do przodu. Sfinalizuję proces połączenia Orlenu z Lotosem i PGNiG. Stworzę silny koncern z przychodami na poziomie 220 mld zł, o łącznej kapitalizacji ok. 80 mld zł. Z korzyścią dla zaangażowanych firm, ich akcjonariuszy i klientów.

Orlen zachowuje kontrolę nad rafinerią w Gdańsku

PKN Orlen, finalizując proces przejęcia Grupy Lotos, wchodzi w kluczowy etap budowy silnego koncernu multienergetycznego, który będzie gwarantem bezpieczeństwa energetycznego Polski. I właśnie z takiej perspektywy należy patrzeć na jeden z najważniejszych projektów biznesowych w historii polskiej gospodarki. Zwłaszcza w obliczu polityki klimatycznej Unii Europejskiej. Zakłada ona walkę ze zmianami klimatu poprzez rozwój odnawialnych źródeł energii i paliw alternatywnych, co nie pozostaje bez wpływu na przemysł rafineryjny

Trend przechodzenia na paliwa alternatywne jest widoczny od kilku lat coraz bardziej. Od 2008 r. w Europie zamkniętych zostało ponad 30 rafinerii, w tym pięć od 2020 r. Na unijną politykę klimatyczną nałożyła się bowiem dodatkowo

trudna sytuacja związana z globalną pandemią, która w pierwszym okresie spowodowała zatrzymanie światowych gospodarek i spadek popytu na paliwa płynne.

Transakcję, której dokonał PKN Orlen w ramach realizacji środków

zaradczych przy przejęciu Grupy Lotos, należy więc postrzegać jako duży sukces. Mimo tak trudnych warunków Orlen pozyskał inwestora, który jest zainteresowany współpracą nie tylko w obszarze rafineryjnym, lecz również znacznie szerzej. Rafineria Gdańska

będzie miała istotne znaczenie także dla intensyfikacji działań w segmencie petrochemii.

Strategicznym partnerem PKN Orlen został koncern Saudi Aramco, największy światowy producent ropy naftowej i lider rozwoju nowoczesnej petrochemii, z którym Orlen współpracuje już od dawna w zakresie dostaw ropy naftowej. Teraz ta współpraca zacieśni się jeszcze bardziej.

Rozszerzenie współpracy ze sprawdzonym partnerem to dla PKN Orlen korzystne rozwiązanie. Od początku procesu przejęcia Grupy Lotos, ze względu na skalę i skomplikowanie tej transakcji, Komisja Europejska oczekiwała bowiem sprzedaży całej gdańskiej rafinerii. Początkowo PKN Orlen miał oddać także rafinerię w czeskich Kralupach.

W wyniku negocjacji z Komisją Europejską koncern utrzymał jednak pełną kontrolę nad rafinerią w Kralupach. Przede wszystkim jednak zachował 70 proc. udziałów w wydzielonej spółce, która będzie zarządzać Rafinerią Gdańską.

Z punktu widzenia bezpieczeństwa energetycznego Polski i długoterminowej pozycji Grupy Orlen w Polsce oraz Europie przekazanie mniejszościowego udziału w rafinerii w Gdańsku, przy zachowaniu kontroli operacyjnej, należy postrzegać więc nie jako zagrożenie, lecz otwarcie na nowe możliwości rozwoju. Współpraca PKN Orlen z saudyjskim koncernem będzie bowiem obejmowała nie tylko obszar rafineryjny, ale także petrochemiczny i badawczo-rozwojowy, w tym w ramach technologii zrównoważonego rozwoju.

Co więcej, zgodnie z umową z PKN Orlen, Saudi Aramco zagwarantuje dostawy do Polski w granicach 200–400 tys. baryłek dziennie. Saudyjski koncern plasuje się w czołówce najbardziej dochodowych przedsiębiorstw na świecie.

Szacuje się, że dostawy od saudyjskiego partnera, już po połączeniu Orlenu z Lotosem, mogą zaspokajać do 45 proc. łącznego zapotrzebowania całej Grupy Orlen zarówno w Polsce, jak i na Litwie oraz w Czechach.

PKN Orlen ma ogromne doświadczenie w przejmowaniu spółek i fuzję z Grupą Lotos z pewnością dobrze wykorzystado budowania swojej wartości również poza Polską. Warto przypomnieć, że to właśnie polski koncern przez wiele lat, wspólnie z włoskim Eni i brytyjsko-holenderskim Shellem, był udziałowcem rafinerii w Czechach, operacyjnie kontrolowanych przez Unipetrol.

Na uwagę trzeba mieć także to, że model współpracy PKN Orlen z Saudi Aramco, czyli w formie joint venture, jest powszechnie stosowany w Europie i na świecie. Orlen nie jest tu wyjątkiem. Takie rozwiązanie umożliwia bowiem korzystną wymianę aktywów, a także wzmocnienie swoich kompetencji i możliwość wykorzystania najlepszych praktyk obu stron. Orlen dostrzega te szanse. Wspólny podmiot utworzony przez obie firmy na rafinerii, a docelowo budowa partnerstwa w zakresie petrochemii oznacza skokowy rozwój polskiego koncernu, a tym samym polskiej gospodarki.

Umowa PKN Orlen z Saudi Aramco zwiększy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Dywersyfikacja dostaw ropy naftowej i zwiększenie bezpieczeństwa energetycznego zarówno Polski, jak i regionu to kluczowe założenia strategii realizowanej przez PKN Orlen. Partnerstwo z Saudi Aramco, największą firmą energetyczno-chemiczną na świecie, to gwarancja stałych dostaw wysokiej jakości surowca z pewnego źródła

Porozumienie z Saudi Aramco, zawarte przy okazji realizacji środków zaradczych w związku z planowaną fuzją Orlenu z Lotosem, oznacza zwiększenie importu ropy naftowej. To zagwarantuje pewność i bezpieczeństwo dostaw. Zgodnie z umową Saudi Aramco ma dostarczać do systemu Orlen 200–400 tys. baryłek ropy dziennie – co pokryje prawie połowę zapotrzebowania na ropę całej Grupy Orlen zarówno w Polsce, jak i na Litwie oraz w Czechach.

NIEZALEŻNOŚĆ = BEZPIECZEŃSTWO

Zapewnienie stałych dostaw ropy z niezależnych źródeł nie jest jedynie obietnicą, a konkretnym celem, nad którego realizacją PKN Orlen pracuje od sześciu lat. Takie działanie zwiększa nie tylko bezpieczeństwo energetyczne, lecz rów-

KALENDARIUM

styczeń 2022: zawarcie strategicznego porozumienia z Saudi Aramco w związku z planowaną fuzją Orlenu z Lotosem na zwiększenie importu ropy naftowej (do 400 tys. baryłek dziennie)

marzec 2021: pierwszy w historii kontrakt terminowy z Exxon Mobil – jedną z największych spółek paliwowych – na dostawę amerykańskiej ropy

2020: PKN Orlen zwiększa comiesięczne dostawy ropy naftowej z Saudi Aramco

luty 2019: do gdańskiego Naftoportu trafia ładunek ropy naftowej z Angoli

styczeń 2019: do rafinerii w Czechach i na Litwie zostaje dostarczona ropa ze Stanów Zjednoczonych

październik 2018: do płockiej rafinerii trafia ładunek ropy naftowej z Nigerii

kwiecień 2018: zostaje podpisany aneks do zawartej w 2016 r. umowy z Saudi Aramco zwiększający miesięczny wolumen dostaw

niez stabilność dostaw, co przekłada się na płynność pracy rafinerii należących do Orlenu. Jak istotne i potrzebne jest zapewnienie dostaw z kilku niezależnych źródeł, pokazała sytuacja z 2019 r., kiedy w związku z zanieczyszczeniem surowca na 46 dni zostały wstrzymane dostawy rosyjskiej ropy z rurociągu Przyjaźń. Mimo to, dzięki procesowi dywersyfikacji, rafinerie w Płocku i w Czechach mogły pracować bez zakłóceń i bez konieczności redukcji wykorzystania mocy przerobowych. PKN Orlen wykorzystuje każdą możliwość podjęcia szerszej współpracy z nowymi dostawcami spoza Europy, w tym z Afryki czy Zatoki Perskiej. Od 2018 r. do Polski dociera ropa naftowa z Angoli, Nigerii, ze Stanów Zjednoczonych czy Zjednoczonych Emiratów Arabskich. 



Mohammed Al Qahtani, wiceprezes Aramco odpowiadający za segment downstream, i Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen

Klienci na Węgrzech zatankują na Orlenie

Segment detaliczny to jeden z kluczowych obszarów dla dalszego wzmacniania pozycji Grupy Orlen w Polsce i za granicą. W ostatnich latach notuje rekordowe wyniki. Strategia Orlen 2030 zakłada jego dalsze wzmacnianie, m.in. poprzez rozbudowanie sieci stacji paliw. Do końca tej dekady w regionie pod polską marką Orlen ma działać co najmniej 3,5 tys. stacji, w tym udział stacji zagranicznych w całej sieci ma wzrosnąć z 37 do 45 proc.

Istotną rolę w osiągnięciu założonego celu odgrywa przejęcie Grupy Lotos. Transakcja ta otworzy bowiem przed PKN Orlen nowe możliwości rozwoju za granicą. Podczas negocjacji środków zaradczych w obszarze detalu od samego początku priorytetem PKN Orlen pozostawała gwarancja ekspansji geograficznej. I to się udało.

Koncern, podejmując współpracę z firmą MOL, zyskać może wiele. Wymiana aktywów z węgierską spółką oznacza dla PKN Orlen silną pozycję na rynkach kluczowych z punktu widzenia strategii całej Grupy Orlen. Dzięki transakcji koncern stanie się właścicielem 144 stacji paliw na Węgrzech, co przybliży go do realizacji założeń strategicznych i ułatwi ekspansję na kolejne rynki Europy Środkowo-Wschodniej. W ramach jednej transakcji wymiany aktywów PKN Orlen stanie się czwartym koncernem na rynku węgierskim pod względem liczby stacji.

Koncern poszerzy również o 41 nowych obiektów sieć na Słowacji, gdzie ma 16 stacji. Dodatkowo sieć Orlen zasilą ok. 100 stacji pod marką Lotos, które nie zostaną włączone w pakiet środków

zaradczych wymaganych przez Komisję Europejską. Ponadto część funduszy ze sprzedaży stacji paliw przeznaczona zostanie na akwizycję kolejnych 100 stacji w regionie. Łącznie zatem będzie to prawie 400 nowych obiektów wspierających sprzedaż i wzmacniających rozpoznawalność marki Orlen na kilku kluczowych rynkach.

Efekty tych działań bezpośrednio przełożą się na wyniki finansowe koncernu. Szacuje się, że w obszarze detalicznym do 2030 r. EBITDA wzrośnie półtorakrotnie, czyli do ok. 5 mld zł.

Wejście na węgierski rynek i wzmocnienie obecności na Słowacji to kontynuacja skutecznych działań koncernu w obszarze detalicznym za granicą. Szczególnie w ostatnich latach bardzo mocno inwestuje on na sąsiednich rynkach. W Niemczech, Czechach, na Litwie i Słowacji Orlen ma łącznie już ponad tysiąc stacji. Od zeszłego roku funkcjonują one nie tylko pod lokalną marką, ale mają w nazwie także Orlen. Co więcej, w 2020 r. w Niemczech, a w 2021 w Czechach otwarte zostały pierwsze stacje wyłącznie pod marką Orlen.

O tym, że była to trafna decyzja, świadczą popularność tych stacji. Klienci

bardzo chętnie wybierają je, ponieważ kojarzą Orlen z profesjonalizmem, wysoką jakością usług i produktów, co ważne, w coraz większej mierze pochodzących od polskich producentów. Potwierdzeniem tego są osiągnięte wyniki finansowe. Dla przykładu w Niemczech, w których działa 586 stacji koncernu, Orlen Deutschland wypracował w 2020 r. 131 mln euro zysku operacyjnego.

W Polsce Orlen to niekwestionowany lider wśród sieci stacji paliw. Według badań przeprowadzonych m.in. przez Instytut Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS, Polacy oceniają Orlen jako najbardziej rozpoznawalną markę stacji paliw, którą darzą także największym zaufaniem i sympatią. Wpływ na to ma z pewnością najwyższa jakość paliwa, na którą wskazało aż 80 proc. ankietowanych, i wysoka jakość obsługi, którą doceniło niemal 90 proc. osób.

Najwyższą jakość, którą gwarantuje marka Orlen, teraz będą mieli okazję poznać także klienci na Węgrzech. Natomiast PKN Orlen dzięki prowadzonym działaniom, w tym obecności na kolejnym zagranicznym rynku, dołączy do grona najbardziej liczących się koncernów paliwowo-energetycznych w Europie. 

Własny sklep Żabka – idealny biznes dla ambitnych kobiet

Analizy wskazują, że zdecydowanie większy odsetek przedsiębiorców stanowią mężczyźni. Również rynek sprzyja rozwojowi ich indywidualnych karier, natomiast kobiety muszą wciąż walczyć o zawodową pozycję w tym zakresie. Są jednak obszary, w których panie z sukcesami realizują się nawet częściej niż panowie. Przykładem biznesu, w którym większy odsetek stanowią kobiety, jest franczyza sieci Żabka – aż 63 proc. współpracujących z siecią przedsiębiorców to kobiety! Doceniane są m.in. za swoją determinację, zaangażowanie i umiejętności interpersonalne. Sieć dodatkowo wspiera przedsiębiorczość wszystkich zainteresowanych franczyzą, oferując im m.in. przychód gwarantowany, gotowy sklep i dodatkowe benefity

Zwielu przyczyn rozwijanie swojej kariery jako niezależnego przedsiębiorcy jest nadal utrudnione z punktu widzenia kobiet, dodatkowo era koronawirusa sprawdziła na wszystkich Polaków wiele negatywnych konsekwencji, jak chociażby widmo utraty pracy i obawę o powodzenie własnego biznesu. Tym bardziej na znaczeniu zyskuje odpowiednie wsparcie pań w realizacji marzeń o pójściu na swoje. Co ważne, znakomicie sprawdzają się one w roli szefowych, wykazując naturalnymi predyspozycjami do kierowania zespołami. Znakomitą okazją do rozwoju swoich kompetencji i samorealizacji w roli przedsiębiorcy jest współpraca w ramach franczyzy. Duże organizacje, takie jak Żabka, dają możliwość prowadzenia stabilnego biznesu i oferują bardzo wiele udogodnień, dzięki którym start na rynku jest znacznie łatwiejszy. Nic zatem dziwnego, że w minionym roku aż 63 proc. wszystkich przystępujących do współpracy przedsiębiorców stanowiły kobiety.

– Kobiety to świetne kandydatki na francyzobiorczynie – mają naturalne predyspozycje, by z sukcesem prowadzić własny biznes, w szczególności w handlu. Cechuje nas silna wola i determinacja, jesteśmy dobrze zorganizowane, potrafimy stawić czoła niemal każdemu wyzwaniu – to kluczowe, jeśli chcemy się sprawdzić w roli przedsiębiorcy. Ponadto uważam, że kobiety są z natury zdolne do odpowiedniego kierowania swoim zespołem – jesteśmy empatyczne, potrafimy się wczuć w sytuację naszych pracowników, okazać zrozumienie, podchodzimy do wielu kwestii ze spokojem. Działając w ramach sieci Żabka, mam także okazję każdego dnia doskonalić swoje kompetencje w zakresie prowadzenia własnego przedsiębiorstwa – zaznacza Iwona Bartnicka, francyzobiorczyni ze Swinoujścia.

Niewątpliwą zachętą do prowadzenia biznesu w ramach sieci jest atrakcyjna oferta Żabki. Nowy system rozliczeń z francyzobiorcami, wprowadzony z początkiem br., opiera się na trzech filarach: bezpieczeństwie, motywacji oraz partnerstwie. Przedsiębiorcy działający pod zielonym szyldem otrzymują czytelną informację o możliwości generowania



dotaddkowego przychodu. Obecny system gwarantuje przychód każdemu, nie tylko nowym francyzobiorcom. Między styczniem a listopadem 2021 r. aż 83 proc. partnerów biznesowych osiągnęło miesięczny przychód w wysokości 18 tys. zł lub więcej. Sieć oferuje też w pełni wyposażony sklep, liczne szkolenia oraz pełne wsparcie technologiczne i logistyczne ze strony Żabki, a także „Polisę na biznes”, chroniącą na wypadek strat finansowych w przypadku zakończenia współpracy z ujemnym saldem.

Placówki sieci Żabka prowadzi w całej Polsce już ponad 6,6 tys. francyzobiorców. Każdy kandydat musi przejść pomysłnie etap rekrutacji i szkoleń, podczas którego zapoznaje się z modelem biznesowym oraz zasadami działania w ramach sieci. Jednocześnie nie jest wymagane kierunkowe wykształcenie.

Więcej informacji o franczyzie Żabki na: www.zabka.pl/franczyza

*Przeszło 83% Franczyzobiorców osiągnęło 18 tys. zł
lub więcej przychodu miesięcznie w okresie 01-11.2021 r.

zabka

Otwórz Żabkę i osiągnij
18 000 zł
przychodu miesięcznie*

NOWA OFERTA

Franczyzobiorca
Przemysław Kozakiewicz



www.franczyza.zabka.pl

eprasa.pl de49d50894

Gdy technologia staje się sojusznikiem w walce z paleniem

Możemy znacząco zredukować szkody społeczne, jakie powoduje palenie tytoniu, zastępując tradycyjne papierosy wyrobami alternatywnymi – mówi prof. Andrzej Sobczak, były kierownik Zakładu Chemii Ogólnej i Nieorganicznej Wydziału Nauk Farmaceutycznych Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach. Według profesora edukacja i przyjęcie strategii redukcji szkód powinny się stać globalnym trendem w walce z paleniem



PIOTR FILIPCZYK

Co najbardziej szkodzi w dymie tytoniowym? Raport Naczelnego Lekarza Stanów Zjednoczonych mówi o tym, że składniki dymu tytoniowego mogą potencjalnie generować kilkanaście lokalizacji nowotworowych w organizmie palacza. Oprócz raka płuca to również niekorzystny wpływ na układ krążeniowo-naczyniowy, układ oddechowy i wiele potencjalnych chorób metabolicznych.

Warto wiedzieć, że substancje rakotwórcze zawarte są przede wszystkim w dymie tytoniowym, choć nie brakuje ich w samym tytoniu. Typowym przykładem są bardzo silnie rakotwórcze ni-

trozoaminy, które powstają w wyniku przygotowania tytoniu do fermentacji. Podczas spalania przedostają się one wraz z dymem do organizmu palacza. A sam proces spalania to czynnik, który powoduje, że z praktycznie nieszkodliwych związków powstają związki rakotwórcze. I tak w tytoniu nie znajdziemy formaldehydu, który przez Międzynarodową Agencję Badań nad Rakiem zaliczany jest do grupy pierwszej – najgroźniejszej – związków rakotwórczych.

CO WIEMY O SUBSTYTUTACH

Wielu badaczy, ale i organizacji, przygląda się nowym produktom mającym stanowić alternatywę dla tradycyjnych papierosów. Nie możemy jednak mówić o w pełni bezpiecznym substytucie tradycyjnych wyrobów tytoniowych. A to przede wszystkim ze względu na nikotynę, która sama w sobie jest substancją

psychoaktywną. Jednak są one – jak wskazuje wiele badań i raportów – mniej szkodliwe niż tradycyjne wyroby.

Prof. Sobczak wyjaśnia: – W wyrobach alternatywnych nie następuje proces spalania, który jest głównym źródłem powstawania tlenku węgla oraz wielu substancji toksycznych, rakotwórczych. Brak tego procesu sprawia, że cała gama produktów będących efektem spalania tytoniu nie występuje np. w aerozolu z e-papierosów. Nie ma zatem żadnych wątpliwości, i podkreślają to raporty, że choć alternatywne formy palenia nie są w pełni bezpieczne, są jednak o wiele mniej szkodliwe niż dym tytoniowy.

Bardzo istotną kwestią jest też rozróżnienie pomiędzy e-papierosami zawierającymi liquidy a podgrzewaczami tytoniu. Czy to produkty tak bardzo zbliżone do siebie, że możemy mówić o nich zamiennie? Profesor nie pozostawia złudzeń: – W żadnym razie. Różnica jest bardzo duża. Powiązanie e-papierosów z papierosami konwencjonalnymi to wyłącznie nikotyna. Pozostałe składniki liquidów to produkty, takie jak gliceryna czy glikol propylenowy, używane w produktach spożywczych. Natomiast w przypadku podgrzewaczy mamy do czynienia z tytoniem, tyle że specjalnie spreparowanym. Z tego tytoniu mogą się wydobywać również takie związki, jakie powstają w dymie tytoniowym. Badania jednoznacznie wskazują – i nie ma tu żadnych wątpliwości – że ilość związków szkodliwych emitowanych przez podgrzewacze – choć mniejsza niż w przypadku papierosów – jest zdecydowanie większa, niż ta emitowana przez produkty oparte na liquidach.



DOŚWIADCZENIA MIĘDZYNARODOWE

Jak wygląda podejście poszczególnych państw do walki z paleniem tytoniu poprzez promowanie e-papierosów jako bezpieczniejszej alternatywy dla palenia tradycyjnego? Przyjrzyjmy się Wielkiej Brytanii. Tamtejsza polityka dotycząca palenia jest prowadzona na poziomie rządowym. Niedawno Izba Gmin poprosiła o specjalny raport dotyczący e-papierosów. Był on bardzo korzystny dla tego typu wyrobów. Takie raporty przygotowuje od 2014 r. Public Health of England (instytucja rządowa). Płynące z nich wnioski są jednoznaczne, a Wielka Brytania należy obecnie – poza Szwecją – do krajów, w których występuje najmniejsze spożycie palnych wyrobów tytoniowych. Natomiast liczba użytkowników e-papierosów jest najwyższa w Europie i według Eurobarometru sięga ok. 7 proc. Przy populacji przeszło dwukrotnie większej niż

w Polsce, daje to naprawdę dużą grupę ludzi korzystających z produktów bezpieczniejszych dla zdrowia. Co ważne, na Wyspach Brytyjskich e-papierosy wykorzystywane bywają także w szpitalach jako alternatywa dla palaczy, którzy na czas pobytu w tych placówkach nie są w stanie zrezygnować z palenia.

– Badania prowadzone z udziałem użytkowników e-papierosów, którzy korzystali z tych wyrobów przez 3–5 lat, pokazują, że

ich wpływ na zdrowie jest znacząco mniejszy i niesie ze sobą znacznie mniej negatywnych konsekwencji. Co więcej, wiele osób twierdzi, że są to skuteczne rozwiązania dla palaczy z chorobami, takimi jak astma, którzy nie potrafią po prostu rzucić nałogu. Należy przy tym pamiętać – opierając się na badaniach i przykładzie brytyjskim – że istnieje szansa, iż e-papierosy mogą znaleźć swoje miejsce w globalnym trendzie zwalczania nałogów – podkreśla prof. Sobczak. 



– Prof. dr hab. Andrzej Sobczak –

były kierownik Zakładu Chemii Ogólnej i Nieorganicznej Wydziału Nauk Farmaceutycznych z Oddziałem Medycyny Laboratoryjnej Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach, były kierownik Zakładu Szkodliwości Chemicznych i Toksykologii Genetycznej Instytutu Medycyny Pracy i Zdrowia Środowiskowego w Sosnowcu. Autor ponad 200 publikacji, w tym ponad 80 z listy filadelfijskiej. Otrzymał kilkanaście nagród naukowych i dydaktycznych rektora SUM oraz dwukrotnie nagrodę ministra zdrowia – za osiągnięcia naukowe (2010) i za całokształt działalności (2020). Były redaktor prowadzący działu „Redukcja szkód: zdrowie – społeczeństwo – rodzina” w czasopiśmie „Medycyna Rodzinna”. Odznaczony brązowym Krzyżem Zasługi i medalem Komisji Edukacji Narodowej.

RADOSŁAW LISZEWSKI*

Nie ma to, jak wrócić do domu

Gdy pierwszy raz pojechaliśmy do Stanów Zjednoczonych – to było po sukcesie piosenki „Ona tańczy dla mnie” – trasa była długa, w dwa tygodnie zagraliśmy 13 koncertów – poczułem się... zdeglustowany. Tak naprawdę nie widziałem nic oprócz hotelu, samolotu i miejsc, gdzie graliśmy.

Nie mogłem się po tamtym wyjeździe nadziwić: czym się ci ludzie tak zachwycają? Gdzie ta sławna Ameryka, o której są kręcone filmy, że jest taka wielka i fantastyczna...

Po jakimś czasie znów pojechaliśmy do USA na koncerty, ale tym razem mieliśmy prawie dwa tygodnie dla siebie. Dopiero wtedy Amerykę poznałem. I się przekonałem, jaka jest piękna, jakie ma różnorodne i magiczne miejsca.

Tak naprawdę każde miejsce może być piękne, tylko trzeba je poznać. Dać sobie na to czas. Bo jak się wpada na chwilę i ogląda po lebkach, to niewiele z tego wynika. Tak jak człowieka nie pozna się po krótkiej rozmowie i trudno po kilku zamienionych zdaniach powiedzieć o nim coś racjonalnego, tak i na poznanie nowej przestrzeni trzeba mieć trochę czasu.

Jest sporo miejsc w Ameryce, do których chciałbym wrócić. Floryda jest niesamowicie malownicza, przepiękna, miejscami wręcz niebiańska. Chicago jest swojskie, bo mamy tam największe zgrupowanie Polonii. Gdzie nie pójdziesz, słyszysz nasz język. Nowy Jork jest cudowny. Cały ten Manhattan... Człowiek czuje się w nim naprawdę mały, przytłoczony gabarytami wysokościowców. Szczególnie, jak trafi do NY pierwszy raz. Wrażenie jest niesamowite. Zwłaszcza że czterdziestopię-

trowe budynki, z tamtejszej perspektywy patrząc, są małe...

Manhattan nigdy nie zasypia, cały czas jest wypełniony ludźmi. Z kolei Phoenix w Arizonie – tu wchodzimy w klimat pustynny. I jeszcze Las Vegas, gdzie kończyliśmy trasę kilka lat temu. Wszystkie te miejsca Ameryki dały mi niesamowite wspomnienia. Dlatego tak ważne jest, żeby nie poznać niczego i nie oceniać w pośpiechu. Żeby nie mieć takiego wrażenia, jak ja po pierwszym wyjeździe.

Jako zespół prawie ciągle jesteśmy w drodze. Poznaliśmy wiele fantastycznych miejsc, również w Polsce, ale po każdej trasie nie ma to, jak wrócić do domu. Mieszkam na Suwalszczyźnie, w swoich przepięknych, niewielkich Sejnach. Przysiąkłem tym miasteczkiem (liczącym raptem kilka tysięcy mieszkańców). To moja mała ojczyzna. Tu się wychowałem, chodziłem do

szkoły, a teraz żyję. Tu mieszka większość mojej rodziny. I wspinali sąsiedzi.

Naprawdę nie wiem, czy gdziekolwiek indziej znalazłbym drugie miejsce, w którym chciałbym być. Może to i małomiasteczkowe klimaty i położenie gdzieś na rubieżach Polski (blisko granicy z Litwą), ale to moje miejsce. Własne. Chcę do niego wracać.

A jeśli chodzi o dalsze wyjazdy, w przyszłości, to marzyłaby mi się podróż do Azji. Chciałbym zobaczyć Tajlandię, Bangkok, Singapur. Nie miałem okazji dotrzeć w tamte rejony świata. Poza tym prawie wszędzie już byliśmy. Czy to z koncertami, czy na wakacjach.

Teraz brakuje trochę czasu, albo zdarzenia losowo-pandemiczne utrudniają przemieszczanie się po świecie, ale obiecałem sobie, że kiedyś odwiedzę czy to Chiny, czy Tajlandię. Bardzo chciałbym tam pojechać. I życzyłbym – sobie i wszystkim – żebyśmy, jak najszybciej mogli podróżować bez zawirowań. 

Notowała: **Jolanta Gajda-Zadzworna**

*Lider zespołu Weekend





SŁODKO-SŁONY

Rokitnik z miodem

ANNA MONICKA

Bylałam wczoraj na targu – kruczo ze sprzedawcami, zieleniny mało, ale natknęłam się na rzadko u nas spotykaną ciekawostkę. Otóż jeden ze sprzedawców miał kilka słoików konfitury z oblepichy, rosyjskiej, przywiezionej przez znajomych. Na wschodzie, zwłaszcza daleko za Uralem, nazywana jest złotem Syberii. A Czyngis-Chan mawiał, że polega na trzech fundamentach w życiu: dobrze zorganizowanej armii, silnej dyscyplinie i rokitniku... Każda kuleczka jest jak tabletką naturalnej i najlepiej przyswajalnej multiwitaminy oraz tłuszczu. Dzięki tej roślinie trudne chwile przetrwali i wojownicy i ich konie. Na stronie Lasów Państwowych przeczytałam też, że radzieccy kosmonauci sok z owoców rokitnika zabierali ze sobą na orbitę, by ich chronił przed szkodliwym promieniowaniem. U nas jednak najbardziej cieszą się z niego ptaki – pomarańczowe owoce są dla nich zimą ratunkiem. Dla nas też, tylko o tym nie wiemy, bo w Polsce rokitnik (taką właśnie ma oficjalną nazwę) traktowany jest raczej jako ozdobny krzew, a nie zielona podręczna apteczka.

A wy znacie oblepichę? Na pewno widzieliście krzew lub drzewko ze srebrzystymi listkami i gałązkami dosłownie oklejonymi, bardzo gęsto, pomarańczowymi owocami. Rośnie u nas w wielu miejscach, a najbujniej nad morzem, na wysokich wydmach i klifach. Stamtąd jednak zbierać pomarańczowych kuleczek nie polecam, bo są pod ochroną, podobnie jak całe wydmy. Ale jeśli roślina przedrze się i wyjdzie za granicę parku, nie krępujcie się. Zbiór owoców poza siedliskami chronionymi jest dopuszczalny, tyle tylko, że trzeba uważać, by nie uszkodzić krzewów.

Najlepiej zbierać je jesienią, wtedy są najbardziej wartościowe. Teraz, na przednówku, warto zapolować na sok lub olej jadalny, który ma działanie wzmacniające. Albo na suszone owoce – robi się z nich herbatkę. Konfiturę warto potraktować jak suplement diety – codziennie jeść jedną lub dwie łyżeczki na chlebie lub z twarożkiem. Można też przekładać nią ciasto, dodawać do deserów. Ma ciekawy, lekko ananasowy smak. A jeśli trafią wam się jesienią świeże owoce – koniecznie pozbierajcie je i rozgniecione widelcem zalejcie miodem. Ten przepis w „Dzkiej kuchni” podaje Łukasz Łuczaj, etnobotanik i ekolog.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Tinaja

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wyprodukowanie lub zdobycie jedzenia to pierwszy etap wyżywienia się, podstawowej czynności w świecie przyrody. Zaraz potem to, czego nie zje się od razu, trzeba zabezpieczyć. Ryjówki i rzesorki, które nie magazynują zdobyczy, muszą jeść nieustannie, w przeciwnym razie niezwykle szybka przemiana materii doprowadziłaby do samozniszczenia, wycieńczenia i śmierci z głodu po kilkunastu zaledwie minutach bez posiłku. W przypadku tych zwierząt wyżywienie się jest tak absorbujące, że aż dziw, jak im się to udaje.

Wiewiórki i sójki przygotowują sobie w kryjówkach zapasy orzechów i żołędzi, przy okazji rozsiewając drzewa; dzierzba gąsiorek i srokoś tworzą spiżarnię, nabijając upolowane owady, gryzonie i jaszczurki na ciernie tarniny.

Ludzie również stają przed koniecznością zdobycia pożywienia, a następnie zabezpieczenia przed zepsuciem, zjedzeniem przez gryzonie, owady itp. W naszym rejonie znakomitym wynalazkiem okazała się ziemianka. Zbudowanie ziemianki utrzymującej chłód w lecie, nie przemarzającej zimą, w której nie ma wilgoci, wcale nie jest łatwą sztuką. Oplaca się jednak – wzorem najnowocześniejszych „zielonych” technologii ziemianka działa za darmo i w pełni ekologicznie.

W Hiszpanii tradycyjnym rozwiązaniem kwestii przechowywania żywności jest *tinaja*. Wykonana z gliny, ma kształt dzbanka czy też amfory. Najbardziej znane są *tinajas* z centralnego regionu La Mancha. Stoją tam przy każdym niemal obejściu i gospodarstwie, nadając im malowniczości. I wciąż pełnią swoje funkcje – na tej tradycyjnej hiszpańskiej prowincji trudno znaleźć dom, który nie miałby *tinajas* stojących na patio, pod ścianą, w kuchni, w piwniczce lub w przydomowej jaskini. Niekiedy są bardzo duże i mają pojemność liczoną w hektolitrach. Przechowuje się w nich zboże i oliwę, mają jednak więcej zastosowań. Właściwości glinianej ceramiki sprawiają, że produkty spożywcze długo utrzymują świeżość.

Do przechowywania płynów naczynia się glazuruje. Słowo *tinaja* pojawia się w hiszpańskojęzycznej wersji Pisma Świętego przy opisie cudu w Kanie Galilejskiej, gdy woda zebrana w wielkich *tinajas* została przemieniona w wino. Także w tej roli – filtrujących zbiorników na wodę deszczową – wciąż wykorzystywane są w Hiszpanii.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Gazyfikacja kopalin

Prokurator generalny przygotowuje pismo do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie decyzji podjętych w 2014 r. przez premierów Donalda Tuska i Ewę Kopacz. Chodzi o ich bezwarunkową akceptację nowych zasad handlu emisjami CO₂, jakie przyjęła Unia Europejska. Tusk i Kopacz zostali poinformowani, że w latach 2019–2020 nastąpią znaczne podwyżki cen za certyfikaty, gdyż do handlu nimi zostaną dopuszczone firmy inwestycyjne (czytaj: spekulanci). Na jakiej podstawie premier Kopacz mówiła do kamery „Wiadomości” TVP, że jest przekonana o tym, że w 2019 r. energia w Polsce nie zdrożeje? Po prostu kłamała czy jako kompletnie naiwna „doktor Ewa” dała się ogrzać unijnym cwaniakom od robienia fortun na nowych produktach inwestycyjnych, tym razem na „dymach”. Dziś widzimy, jak krótkowzroczna była to polityka i ile może kosztować Polskę wybór ludzi na wysokie stanowiska zagrażające polityce państwa, kompletnych dyletantów.

Za sprawą UE drakońsko wzrosły ceny surowców energetycznych, rusza dwucyfrowa inflacja. A była szansa zablokowania tamtej zgubnej dla nas polityki poprzez prawo weta, ale i z tej możliwości Tusk i Kopacz nie skorzystali. Dali sobie wmówić, że zasada jednomyślności nie działa w sprawach bezpieczeństwa energetycznego, choć traktaty mówią co innego. I znowu – udawali, że nie wiedzą, a więc kłamali, czy dali się świadomie ogrzać? Próba sądowej naprawy tej sytuacji podjęta przez śp. prof. Jana Szyszkę zakończyła się potwierdzeniem przez TSUE, że jednomyślność w tych sprawach nie obowiązuje. I to było preludium do narzucenia nam jeszcze bardziej restrykcyjnego pomysłu unijnych ideologów, umiających jednak dobrze liczyć, czyli pakietu Fit for 55.

Jeżeli TK uzna, że podjęte przez polskich premierów tamte decyzje są niezgodne z naszą konstytucją, to pewnie jest jakaś szansa odkreślenia utopijnych „zielonych”, „klimatycznych” planów Fransa Timmermansa, byłego dyplomaty holenderskiego w Moskwie.

Ale czy warto czekać na decyzję Trybunału nieuznawanego przez Komisję Europejską i unijnych lewacko-liberalnych biurokratów? Czy nie trzeba już teraz oprotestować plan Fit for 55 i ogłosić, że Polska nie jest i nie będzie nim zainteresowana, gdyż nie jest w stanie ponieść kosztów transformacji gospodarki, że dla tych pomysłów Polska nie godzi się zostać biednym krajem w środku Europy?

Przypomnę, że plany emisji CO₂, narzucane arbitralnie przez UE, przewidują redukcję emisji gazów cieplarnianych do 2030 r. z 40 do 55 proc. względem poziomu z 1990 r. Przyjęto też założenie, że w 2030 r.

udział energii odnawialnej osiągnie 27 proc. Według szacunków niezależnych ekspertów może to być roczny koszt od 500 mld euro do biliona, pomnożony przez najbliższe siedem lat. Wskutek tej zabójczej dla nas polityki Polska przestanie się rozwijać, a zyskają beneficjenci pakietu – Niemcy i Rosja, właściciele podwójnej gazowej rury bałtyckiej.

Polska od samego początku sygnalizowała, że plany redukcji emisji dwutlenku węgla (w skali świata to poziom bez znaczenia, gdyż na Europę przypada mniej niż 10 proc. globalnej emisji CO₂) muszą uwzględniać tzw. miks energetyczny poszczególnych krajów członkowskich. W przypadku Polski miks ten miał brać pod uwagę dominującą u nas produkcję energii elektrycznej z węgla brunatnego i kamiennego. Takie indywidualne podejście kraju członkowskiego UE w sferze energetyki gwarantował nam traktat lizboński. Dziś postanowienia traktatu są przez Komisję Europejską kompletnie ignorowane. A przecież wiadomo, że państwo, w którym miks energetyczny ma dominujący udział węgla, będzie musiało, jeżeli przystąpi do realizacji pakietu Fit for 55, ponieść jeszcze większe koszty.

Unia w obecnym jej kształcie ma tego faktu pełną świadomość. Wie, że Polska straci na konkurencyjności i zahamuje na całe lata swój potencjał cywilizacyjny, gospodarczy, społeczny, kulturowy. Nie czarujmy się, tego właśnie oczekuje dominujący w UE jej najważniejszy gracz – Niemcy w porozumieniu z Rosją.

Najwyższy czas powiedzieć sobie prawdę. Polski nie stać na utopijne eksperymenty Unii Europejskiej pod hasłem naprawiania „polityki klimatycznej”, „walki z globalnym ociepleniem” itd.

Polska popełni zbiorowe samobójstwo, jeśli odejdzie od swojego największego bogactwa, czyli od wydobywania paliw kopalnych. Chodzi o to, że potrzebne są nam pieniądze na najnowsze technologie obniżające emisję CO₂ oraz na sprawdzone, efektywne technologie gazyfikacji węgla, metody znane już w XIX w. Gazyfikacja węgla przegrywała z płynnym gazem głównie wskutek zabiegów państw zasobnych w ten surowiec, łatwy do wydobywania i sprzedaży rurociągami. Wieloletnia unijna polityka dekarbonizacji energetyki to cios w polską suwerenność gospodarczą. Trzeba się temu stanowczo przeciwstawić i powrócić (jeżeli Polska jest naprawdę krajem suwerennym) do uruchamiania masowej produkcji paliw płynnych z węgla i jego zgazyfikowania pod ziemią.

www.wojciechreszczyński.pl



Polska, do nogi!

Wiceszefowa Parlamentu Europejskiego Katarina Barley – niemiecka socjalistka – mówiąc jesienią 2020 r., że tylko „zagłodzenie finansowe” może przywrócić Polskę i Węgry na łono praworządności, nakreśliła, a może raczej zdradziła, pewien plan, który wydaje się metodycznie realizowany. To europejska krucjata, a właściwie konkwista przeciwko Polsce.

Rozlazła, bezbożna, przejeżdżona i zamieniona w kulturową miazgę Europa Zachodnia nie jest w stanie znieść ani polskiego postępu gospodarczego, ani polskiej tradycji, ani polskiego Kościoła i katolicyzmu, ani polskiej historii, ani Polaków w ogóle. Przeszkadzamy, psujemy Europie dobre samopoczucie, budzimy obawy, że ich społeczeństwa się jeszcze kiedyś obudzą i będą chciały, aby u nich było tak jak w Polsce. A wtedy zatrząsą się neomarksistowski fundament dobrobytu i zatrwoga tęczowo-czerwone elity Berlina, Paryża, Madrytu czy Rzymu. Warto zobaczyć film „Wielkie piękno” Paola Sorrentina, w którym znakomity reżyser sportretował zbławazowanie elit. Polska ma być taka sama, ma być jakimś wschodnim województwem podległym bliżej nieokreślonej centrali, której rozum mogliśmy poznać w trakcie październikowej debaty w Brukseli, tuż po wystąpieniu polskiego premiera. Mamy być też wygodnym, bo szerokim pasem przygranicznym zabezpieczającym „właściwą” Europę przed psychopatycznym bojem z Kremla i jego mińskim ciurą.

Jeśli Polska jest dla Europy kłopotem, to najskuteczniej można ją zdyscyplinować, sprawiając jej kłopoty. To względnie tani sposób hybrydowej tresury. Na dodatek możliwy do wykonania z dużym udziałem rodzimych rąk. I tak się właśnie dzieje.

Polscy kierowcy przeszkadzają Europie? To proste, trzeba wymyślić „pracowników delegowanych”, aby ważna część polskiej gospodarki dostała łupnia. Polska za bardzo chce niezależności energetycznej? Myk i naszczuje się Czechów, aby gryźli nas w turowską lydkę. Za dużo zarabiamy na znakomitej polskiej żywności? Przecież jest trująca, toksyczna i niejadalna. Za dużo mamy gazet niezależnych od zagranicznych koncernów medialnych? To trzeba trąbić, że w Polsce nie ma wolności słowa i w tym trąbieniu nie ustawać, a jak zabraknie tchu, to nie zabraknie trębaczy z Polski. Chcemy zrobić porządek z TVN, to szybciej trzeba wyciągnąć z rękawa Pegasusa. Chcemy bez Frontexu



**Aleksander
Nalaskowski**

*Ilość kłopotów, którymi
nasz kraj można nękać,
jest niezliczona, bo kłopoty się
zmyśla, izoluje od prawdy*

wygrywać wojnę o nienaruszalność naszej wschodniej granicy? Oj niedobrze, niedobrze! No to uruchomi się Ochojską i jej podobnych, i będzie z tego niezły dym. Tunel pod Świną? Niedopuszczalne! Trzeba pokazać, że przeinwestowany, przecieka i w ogóle brzydki.

Duma ze stulecia Niepodległości, z Westerplatte i powstania warszawskiego? No to łup „polskim Holokaustem” i Grossami, Engelkingami i Grabowskimi! Katolików za dużo? Sekielski już biegnie z odsieczą, tylko dokończy oglądać „Kler”. Jesteśmy zbyt ważni i wiarygodni w NATO? Co za problem, będzie wyciek tajnych danych i się sprawę załatwi. Za dużo ludzi na Marszu Niepodległości, za

spokojnie? To się go przemianuje na marsz faszystów, nacjonalistów, nazistów i już świat się dowie, że Bąkiewicz to Adolf, który wrócił z Argentyny. Wzmacnianie rodziny? Przecież to instytucja przemocowa! Niech Polska zabawi się na tęczowo!

Konserwatywne elity się burzą i boczą? Niegrzeczni... To się im przywali Szymborską i poprawi Tokarczukową z suportem Stuhrow.

Niech siedzą cicho Krasnodębscy, Rymkiewiczze, Łabonarskie i inne Glińskie. Zachciało się filmów o Legionach i odsieczy wiedeńskiej? No to usłużny Pawlikowski nakręci „Idę”, a Smarzowski „Wesele” i dowali się Oscarem. Zachciało się bohaterów? No to się posadzi „Bolka” na tronie. Zapragnęło się dobrych duchownych? No to ks. Stryczek na stryczek, a Schwertner po srebrniki.

Ilość kłopotów, którymi można nasz kraj nękać jest nieskończona, bo kłopoty się zmyśla, nagłaśnia i precyzyjnie izoluje od prawdy. Medialne kurtyzany powiedzą, pokażą i napiszą wszystko, czego tylko kłopototwórca od nich zażąda. Jeśli Morozowski, Węglarczyk czy Łaszcz, Schwertner czy Meller są nazywani dziennikarzami, to znaczy, że doszło do zbiorowej utraty rozumu. Przynajmniej u dużej części Polaków. Bo jak inaczej nazwać nieumiejętność odróżnienia tuby od gazety?

Tresura trwa. Czy naprawdę trudno dostrzec w tym niezłe przemysłaną strategię? Pomału z wolnego bielika mamy się stać owczarkiem niemieckim. A droga do tego jest jedna, a bodaj jedyna – przetrącenie kręgosłupa, posadzenie na wózku inwalidzkim wyprodukowanym przez Volkswagena na podzespołach rosyjskich. A wtedy będziemy zależni od tego, który nas będzie na tym wózku popychał.



JAN POSPIESZAŃSKI

W obliczu zagrożenia

Obok liczebności armii, stanu wyszkolenia i uzbrojenia spójność społeczna stanowi też o zdolności obronnej

W powietrzu śmierdzi wojną. Zdaję sobie sprawę, że pokoleniom wychowanym w czasie pokoju trudno wyobrazić sobie czołgi na ulicach i krwawy konflikt militarny, jednak z tak realnym zagrożeniem jak dziś nie mieliśmy jeszcze do czynienia. Właśnie przed chwilą dowiedziałem się, że na Białorusi pojawiły się oddziały rosyjskie i że grupują się przy granicy z Ukrainą. Podobno mają brać udział w „niezapowiedzianych manewrach wojskowych”.

Gorączkowe zabiegi dyplomatyczne trwają cały czas. Analitycy zauważają, że ultimatum rosyjskie – zaprzestania jakiegokolwiek pomocy Ukrainie, żądanie gwarancji nierozszerzania Sojuszu Atlantycznego i nierozmieszczania uderzeniowej infrastruktury wojskowej w krajach sąsiadujących – oznacza właściwie wycofanie amerykańskiej obecności wojskowej z terytoriów Europy Środkowej i Wschodniej. Strona rosyjska wyraźnie zaznacza, że chodzi o kraje, które przystąpiły do NATO po 1997 r. Zatem żądanie dotyczy nie tylko Litwy, Estonii, Łotwy, Rumunii, Słowacji, Bułgarii, Słowenii, lecz także Polski, Czech i Węgier. Putinowi już nie tylko śni się odtworzenie stanu posiadania z czasów zimnej wojny, lecz zaczyna ten groźny dla nas sen realizować.

Nie będę się tu silił na analizę, dlaczego Zachód dopuścił do takiego

stanu rzeczy, kto wyhodował bestię i jak nieskuteczne się okazały wszelkie sankcje. Wiemy, że Rosja dziś może sobie pozwolić na dyktowanie warunków z pozycji siły, bo jest silna. Ostatnią dekadę poświęciła właśnie na wzmacnianie potencjału militarnego. Natomiast Zachód, na czele z USA, jest osłabiony. Przykładem słabości Ameryki było nie tylko upokarzające wycofanie się z Afganistanu. Stany Zjednoczone, tak jak większość krajów Zachodu, są osłabione wewnętrznie. Nowotworem, który atakuje i niszczy od wewnątrz tkankę społeczną, jest przede wszystkim neomarksistowska ideologia, manifestująca się z jednej strony szaleństwem gender/LGBT, z drugiej agresywnym ruchem BLM. Konsekwencją są postępujący kryzys rodziny i depresja demograficzna, a z drugiej strony, zakwestionowanie historycznego dziedzictwa, unieważnienie takich pojęć jak naród i patriotyzm oraz ideologizacja debaty publicznej (czego przykładem jest cancel culture). To wszystko demoluje więzi społeczne i międzyludzką solidarność. Czy tak ukształtowani młodzi ludzie będą chcieli nadstawiać karku, by stanąć w obronie wolności, demokracji, ojczyzny? Przecież postmodernistyczna antykultura przedefiniowała wszystkie te pojęcia.

Jesteśmy krajem frontowym i możemy stanąć wobec groźby realnej agresji. Instynkt samozachowawczy podpowiada, że powinniśmy zrobić wszystko, by być gotowi do obrony. Obok liczebności armii, stanu wyszkolenia i uzbrojenia, spójność społeczna stanowi też

o zdolności obronnej. Choć patologie trapiące Amerykę i kraje Zachodu nie poczyniły u nas jeszcze takiego spustoszenia, bez wątpienia mamy aktywną piątą kolumnę. Starą postkomunistyczną i tę neobolszewicką. Tym bardziej należy rozpoznać te czynniki, które osłabiają więzi międzyludzkie i niszczą tkankę społeczną. W Polsce, obok starych, politycznych i światopoglądowych podziałów, niszczący jest brak zaufania do władzy. Zjednoczona Prawica zrobiła ostatnio sporo, by je utracić.

Wracam znowu do ustawy nr 1846, która lada moment ma być głosowana, jest to projekt nielogiczny i wysoce szkodliwy. W moim poprzednim felietonie („Można jeszcze uniknąć kompromitacji”/10.01.2022) przytoczyłem argumenty, pokazując niezasadność tej ustawy. Dziś powtórzę: według oficjalnych statystyk dotyczących Polski i krajów UE widać, że szczepienia nie stanowią ochrony populacyjnej – nie blokują transmisji. Zatem segregacja ludzi na zaszczepionych i niezaszczepionych jest bezzasadna. Przyjmując nawet, że szczepionka chroni przed ciężkim przebiegiem i śmiercią (która dawka?), jest to kwestia indywidualna, a nie populacyjna. Szkody społeczne, jakie niesie ustawa, generując wrogość i niszcząc zaufanie do władzy (która wprowadza też przymus szczepień w armii, szkolnictwie, ochronie zdrowia, ale nie wśród parlamentarzystów), mogą Polskę drogo kosztować. Bezpieczeństwo Polski to wystarczający powód, by wycofać ten szkodliwy projekt i wyjść z twarzą.

Odważny test Bartłomieja Sienkiewicza

Cena postępu jest często wysoka. Wymaga poświęcenia i ofiar, a najwięcej postęp w medycynie, bo dotyka najbardziej wrażliwej strony ludzkiej egzystencji. Ileż to ofiar okupiło cierpieniami, nie mówiąc już o większych kosztach, wynalezienie skutecznych metod leczenia? Jeszcze więcej stworzenie cudownych leków na nieuleczalne przez wieki plagi prześladowające naszą ziemską planetę. Nieliczni przedstawiciele ludzkiego gatunku, dzięki swej odwadze i determinacji ratowania zdrowia i życia swojego, ale i innych braci i siostr, gotowi są na samych sobie doświadczać świeżo stworzonych medykamentów o nieprzebadanych do końca skutkach. Stąd na każdym leku – w tym wprowadzanym dopiero do stosowania – umieszczono ostrzeżenie, aby „przed użyciem zapoznać się z treścią ulotki dołączonej do opakowania albo skonsultować się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża życiu lub zdrowiu”.

Spójrzmy prawdzie w oczy. To nie jest bułka z masłem. Na podejmowanie ryzyka wypróbowywania nowych leków stać



**Jerzy
Jachowicz**

tylko wybitne osobowości o żelaznej odporności psychicznej. Bez wątpliwości do takich ofiarnych śmiałków należy znany poseł Platformy Obywatelskiej Bartłomiej Sienkiewicz. Prawdopodobnie podjął się przetestowania jakiegoś bliżej nieznanego nowego leku. Dzięki refleksowi jednego z posłów, który nagrał na komórce krótki filmik, mogliśmy zobaczyć nietypową reakcję Sienkiewicza na preparat medyczny, który niedawno pewnie zażył.

Na nagraniu widzieliśmy, jak po wejściu na salę posiedzeń Sejmu lekko się chwia. Podeszedł do swego kolegi partyjnego Borysa Budki, prawdopodobnie informując go, że nagle słabo się poczuł.

Wnoszę to po tym, że Budka natychmiast wstał i niczym ratownik sanitarny wyprowadził swego towarzysza z sali.

Walki konkurencyjne, jakie toczą koncerty farmaceutyczne, nie pozwolą nam prędko się dowiedzieć, jaki medykament zażył poseł. Raczej wątpliwe, aby zbagatelizował ostrzeżenie dołączane do leków. Musimy żyć z nierozwikłaną tajemnicą, podziwiając zarazem Bartłomieja Sienkiewicza.

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE
nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Balcerowicz musi wrócić!

Idolem ekonomicznym opozycji stał się Leszek Balcerowicz

Posel Michał Szczerba – podpora intelektualna Platformy – złożył na Twitterze życzenia urodzinowe:

„Serdeczne życzenia dla @LBalcerowicz. Potrzeba Planu, by przywrócić uczciwość i konkurencję w gospodarce i polityce, odpowiedzialność i praworządność. Pan Profesor trzy dekady temu miał Plan i potrafił go zrealizować. I nieustannie inspiruje!”. Jak to ciągnie swój do swego. Wzięcie na sztyndar kogoś, kto zniszczył życie wielu polskim rodzinom, przeciwko tym, którzy robią, co mogą, by te polskie rodziny ratować, idealnie obrazuje podejście opozycji do państwa. Pokazuje też, co nam szykują w momencie dojścia do władzy.



Ryszard Makowski

A prof. Leszek Balcerowicz bryluje. Głowa uniesiona butnie do góry. Wypowiedzi esencjonalnie sentencjonalne. I ma pomysły nie tylko ekonomiczne. Na Campusie Polska Przyszłości, zorganizowanym przez Rafała Trzaskowskiego za niemieckie pieniądze, nawoływał: „Zróbcie internetowy prężerz!”, czyli internetową listę dziennikarzy „Wiadomości” z imionami, nazwiskami i wizerunkami. Jeszcze można by adresy dodać...

Senator Jan Filip Libicki z PSL też zażądał: „Im bardziej patrzę na #PolskiLad, tym bardziej myślę: @LBalcerowicz, wróć!”. Ot tęga głowa. Chciałoby się zakrzyknąć: przyzwitość, wróć! Ale ona niestety nie ma skąd wracać w III RP. Szemrana moralność okragłostołowców jest wiecznie żywa. Z drugiej strony powinniśmy opozycji być wdzięczni, że się specjalnie nie kamufluje. Interesuje ją wyłącznie rozgrabianie Polski, a symbolem tego Leszek Balcerowicz jest naprawdę spiżowym.

Michał Korsun prezentuje:
Novak Djoković vs Australia



Wycinki z przeszłości

Uprogu roku 1983 nastroje nie były wesołe. Te polityczne i te związane z codziennym życiem. „Według ostatnich badań w 15,5 proc. domowych gospodarstw nie wystarcza pieniędzy na podstawowe potrzeby. W blisko 33 proc. stwierdza się, że starcza, ale przy nieustannym oszczędzaniu. W 28 proc. gospodarstw domowych przynajmniej jedna osoba ma prócz pracy jeszcze dodatkowe płatne zajęcie” – informowała „Przyjaciółka” (wydanie, którego okładkę reproduujemy). Redakcja dodawała, że „można szukać wyjścia z trudności jeszcze inną drogą”. Konkretnie? „Sami malujemy, tapetujemy, robimy meble, szyjemy, szycielkujemy, prujemy, przerabiamy. Tego typu działanie więcej może przynieść korzyści rodzinie niż wzięcie dodatkowej płatnej pracy”.

Oj, narobiły się kobiety i napracowali panowie w tamtym czasie. Ale dali radę, zwykle z większą pogodą ducha i życzliwością przechodząc przez kłopoty niż niejednen współczesny młody rodzic, chwiejący się przy byle przeciwnościach losu, zakwaszający otoczenie wiecznym narzekaniem. **mk**



27 stycznia – dzień, o którym pamiętamy

W 2016 r. zostałem zaproszony na wigilię byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Przychodnię dla nich prowadziła w Krakowie dr Alicja Klich-Rączka, geriatra. Wspaniała lekarka, z którą wkrótce połączyła mnie serdeczność, a jej wsparcie – jestem za nie bardzo wdzięczny – okazało się niezwykle. O misji doktor Alicji dowiedziałem się z książki „Dobranoc, Auschwitz” Aleksandry Wójcik i Macieja Zdziarskiego. Młodzi autorzy spisali opowieści m.in. Józefa Paczyńskiego, więźnia numer 121, i Karola Tendery, po latach procesującego się z telewizją ZDF.



Leszek Długosz

Podczas wigilii poznałem innych bohaterów książki – Stefana Lipniaka (spędził za drutami 44 miesiące) i Lidie Maksymowicz, poddawaną pseudomedycznym eksperymentom dr. Mengele. Niezwykłe doświadczenie obcowania z ludźmi, którzy pomimo obozowego piekła dożyli późnych lat, wykazując hart i pogodę ducha.

W kolejną rocznicę wyzwolenia niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz myślę o nich. A grozę niemieckiej zbrodni oddał Jacek Kaczmarski w teście pieśni – komentarza do obrazu łódzkiego malarza Jerzego Krawczyka.

Jacek Kaczmarski „Birkenau”

*Porządny w pryzmach marnuje się opał
I zimny komin zbędne ma przestoje
Mizernie niebo czeka na swój pokarm
Thuste obłoki słodkich swądów zwoje
Skrzętni palacze gdzieś się zapodziali
Wystygły ruszta popiół tuli gлина
I w bezcielesnym milczeniu umarli
Słuchają jęków głodnego kamina
Po ustalonych raz na zawsze drogach
Płynie nad nimi ślepe oko Boga*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZ

Ekologia infosfery

Cyberświat – zwłaszcza zaś media społecznościowe – daje niebywale okazje i pokusy do prowadzenia złych rozmów. Nigdy w dziejach ludzkości nie prowadzono tylu złych rozmów

BEZREFLEKSYJNIE

Miliardy ludzi już są podpięte do cyberświata. A cyfrowe technologie uzależniające nie pozwalają nam się od tego świata odłączyć. Świata pełnego dezinformacji, fejków, hejtu, pornografii... Tak bardzo przywykliśmy do tego infozgiełku, iż już nas to nie dziwi?

Cyberświat – zwłaszcza zaś media społecznościowe – daje niebywale okazje i pokusy do prowadzenia złych rozmów. Nigdy w dziejach ludzkości nie prowadzono tylu złych rozmów. Nigdy! Złe rozmowy to złe obyczaje. Złe obyczaje prowadzą do złych czynów. Jak ktoś chce na serio walczyć o planetę, o jej czystość, o zdrowe powietrze, kryształową wodę, o życie w zgodzie z naturą, to najpierw niech się zatroszczy o zdegradowany ekosystem informacyjny.

Stale mnie zadziwia, że tak bezrefleksyjnie godzimy się na życie w głęboko zatrutej infosferze. Dlaczego godzimy się na przetechnologizowany świat?

Przecież nie chodzi o radykalne odrzucanie technologii, to byłoby nierozsądne. Rozwój cywilizacyjny to także rozwój technologiczny. Tyle tylko, że już od dawna nad tym ostatnim straciliśmy kontrolę. Nawet giganty technologiczne mogą już jej w pełni nie posiadać. Wszyscy otoczeni jesteśmy urządzeniami codziennego użytku, które działają jak czarne skrzynki – tj. maszyny, których wewnętrznego funkcjonowania nie rozumieją nawet eksperci.

Czy ludzkość wpadła w pułapkę bez wyjścia? A może należy rzecz opisać innym językiem?

METAFORY ZAMYKAJĄCE DYSKURS

Są określenia, które choć trafnie ujmują jakieś sytuacje, to jednak zarazem omal

zamykają drogi do rozwiązań. Nazywam je metaforami zamykającymi dyskurs. Gdy stwierdzimy z bólem (lub entuzjazmem), że młode pokolenie i tak jest skazane na życie w świecie cyfrowym, to czy tak sformułowana diagnoza posunie nas naprzód?

Dobrze wiemy, jak trudna jest walka z uzależnieniami. Ludzkość ma wiele doświadczeń z alkoholizmem i narkomanią. Ostatnio coraz częściej mówi się też o uzależnieniu od pornografii. Jak w XXI w. można zrobić młodzieży skuteczny odwyk od internetu?

W STRONĘ EKO

Wprowadźmy do debaty pojęcie: ekosystem informacyjny. Ileż to jest już na świecie organizacji trzeciego sektora zaangażowanych w ocalenie naszego naturalnego ekosystemu! Jest nawet politycznie wymuszany pakiet klimatyczny! Tylko czy ratowanie przyrody uratuje człowieka, którego umysł będzie głęboko skażony (o) błędnymi wyobrażeniami na temat świata i natury ludzkiej?

Człowiek to istota, która poza aktywnymi przedsięwzięciami wyróżniającymi ją spośród innych gatunków – których ubocznym skutkiem jest degradacja przyrody – zajmuje się także komunikowaniem i gromadzeniem informacji. W tym obszarze skala destrukcji zdrowego rozsądku i stopień zatrucia myśli już chyba pobili poziom degradacji przyrody.

Św. Paweł mówi jeszcze „Ocknijcie się...”. Czy doczekamy się nowej Gretty walczącej w pierwszej kolejności o ekologię infosfery? Może nie trzeba od razu chodzić na wagary.

Katarzyna Zybortowicz

Wskutek złych rozmów psują się dobre obyczaje” – mówi św. Paweł (1 Kr 15,33), przywołując starożytnego greckiego poetę i twórcę komedii Manandra.

UZALEŻNIENIE

Niedawno Rzecznik Praw Obywatelskich zlecił badanie jakości życia dzieci i młodzieży. W podsumowaniu czytamy: „Dzieci i młodzież często nie radzą sobie z próbami ograniczenia czasu poświęcanego na media społecznościowe. Czują się złe, gdy są poza siecią, a korzystanie z social mediów jest ich sposobem na poprawę samopoczucia. To objawy uzależnienia. Musimy pomóc im rozwijać alternatywne formy spędzania czasu, uczyć organizacji czasu wolnego i zachęcić do budowania zdrowych relacji w świecie realnym”.

Ale jak? Czym dla młodzieży jest coś takiego jak świat realny? O zdrowych relacjach już nie wspominając.

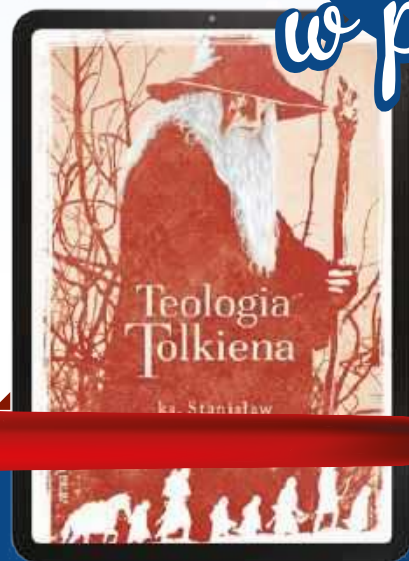
A gdyby na świecie pojawiła się nowa Greta Thunberg głosząca potrzebę troski o ekologię infosfery? Nastolatka, która stała się ikoną ekologów, a zasłynęła wagarami dla klimatu. Opuściła zajęcia szkolne, by z marsową miną protestować np. przed parlamentem w Sztokholmie na rzecz ochrony planety.



Najlepszy pakiet e-prenumeraty

SIECI

3
e-booki
w prezencie



TEOLOGIA TOLKIENA

Ukazuje chrześcijańskie prawdy wiary ukryte w losach bohaterów Śródziemia. Miłośnicy Tolkiena poznają go jeszcze lepiej, a wielbicieli teologii – dowiedzą się więcej o Bogu.



OJIEC WOLNYCH LUDZI

Wciągająca opowieść oparta na faktach z życia Prymasa Tysiąclecia. Książka jest lekturą uzupełniającą dla szkół średnich.



SZUSTA RANO

Książka motywator o. Adama Szustaka z inspirującymi myślami na każdy dzień nadchodzącego 2022 r. Najlepiej ją czytać przy porannej kawie!

Zamów już dziś na

www.siecprzyjaciol.pl



ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ



Ochrona polskiej granicy wschodniej

MONETA KOLEKCYJONERSKA NBP



Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu monetę kolekcjonerską „Ochrona polskiej granicy wschodniej”.

Srebrna moneta o nominale 10 zł została wyemitowana w hołdzie funkcjonariuszom Straży Granicznej oraz policjantom i żołnierzom, którzy strzegąc naszego terytorium – w obliczu działań o charakterze wojny hybrydowej – dają dowody najwyższego profesjonalizmu oraz oddania państwu polskiemu i jego obywatelom.

Moneta kolekcjonerska do nabycia od 27 stycznia 2022 r.
w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym: kolekcjoner.nbp.pl